



*Ethel Mary Dell*



**CZARNY RYCERZ**

# CZEŚĆ PIERWSZA



## ROZDZIAŁ I

### Lilian

- Lilian, moja droga, przecież chyba mu nie odmówiłaś!

- Ach, nie bądź głupia, Joyce! Oczywiście, że odmówiłam! Żadnej kobiecie nie zadościłabym takiego męża jak Biały Królik.

- Ależ, Lilian, sama go ośmieliłaś. Zdajesz sobie chyba z tego doskonale sprawę.

- Istotnie, za to teraz odebrałam mu całą śmiałość, jak widzisz! Proszę cię, kochanie, podaj mi jeszcze jedną grzanekę. Te grzanki dzisiaj są wyśmienite!

- Lilian, jesteś bez serca!

- Dzięki Bogu! Nienawidzę kobiet, które rządzą się sercem w stosunku do wszystkich mężczyzn. Zresztą mógłby poślubić córkę Jervis'ów, jeżeliby zechciał. Gospodarniejsza jest ode mnie i zdaje się, że go lubi.

- Zupełnie cię nie rozumiem, Lilian. - W głosie mówiącej brzmiał odcień niechęci. - Dopiero kilka dni temu zachowywałaś się tak, że wszyscy byliśmy pewni, iż jesteś w nim zakochana.

- To bardzo głupio. - Odpowiedź była rozbrajająca w swej konsekwencji. - Dlatego że stanęłam w obronie nieobecnego, to przecież nie znaczy, że gotowa jestem oddać mu rękę i serce. Musisz przyznać, że podobny pomysł nie był zbytnio mądry.

- Zupełnie cię nie rozumiem - padła odpowiedź wypowiedziana ze smutkiem.

- Nikt mnie nie rozumie - zawołała Lilian, zakładając z nonszalancją nogę na nogę. - Ale to nie moja wina. Przykro być niezrozumianą, Joyce. Jestem pewna, że ty nie znasz zupełnie tego uczucia. Widzisz, moja droga, ja należę do pokolenia skomplikowanego nieco, podczas gdy ty, biedactwo, jesteś kobietą normalną i zazwyczaj obmyślisz dokładnie przedtem to, co masz powiedzieć lub uczynić. Aha, zapomniałam, o której oczekujesz tego „milczącego bohatera”? Bo przecież przed jego przyjściem muszę się chyba przebrać. To nie

jest, co prawda, kandydat do małżeństwa. Tacy ludzie nigdy na mężów się nie nadają, ale w każdym razie trzeba go przyjąć z honorami. Wicehrabia, jak ci wiadomo! Mam wrażenie, że czasami nawet wicehrabiowie potrafią być ludźmi, nieprawdaż?

- Bogami nie są - zauważyła towarzyska - on zresztą sam nie jest wcale taki milczący. Ale w każdej chwili może się tu zjawić. Radzę ci, pośpiesz się.

- O Boże! - Lilian chwyciła filiżankę z herbatą jakimś konwulsyjnym ruchem i w pośpiechu wychyliła całą jej zawartość. - Joyce, muszę mieć papierosa, bo umrę. Daj mi, ale prędko! Wypalę w kąpielni. Siostrzyczko, bądź łaskawa rozchmurzyć nieco swą przyjemną twarz, jak wrócę! Z taką wyciągniętą miną wcale ci nie jest ładnie, zresztą skwaszone twarze wyszły już z mody. Dzisiaj najmodniejsze są rzeczy jasne, pogodne i szykowne.

- Czy ty kiedyś myślisz o czymś poważnie? - westchnęła starsza siostra.

Młodsza wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Zapytaj Hildebranda, on ci powie. Mieliśmy dzisiaj straszną awanturę na polowaniu i sądzę, że jednak ostrość mego języka zwyciężyła. Naprawdę, kochanie, nie rozumiem, dlaczego tak chcesz mnie wydać za męża. Przecież byłabym cudownym przykładem dla twoich córek, gdybym została starą panną.

- Ja nie żartuję, Lilian - zaprotestowała siostra.

- Wiem o tym, moja droga. Jesteś najpoważniejszą osobą na kuli ziemskiej. Ja znów jestem inna. Należę do gatunku ludzi wesołych. Z chwilą, gdy przestanę się śmiać, to znaczy że przepadłam i że dostałam się pod pantofel Hildebranda. Pamiętasz ów dzień, dawno, dawno temu, pamiętasz, Joyce, jak Hildebrand zmuszał mnie do połknięcia pigułki, i gdy już był pewny, że połknęłam, to wyplułam mu pigułkę prosto w twarz? Tyś nigdy nie widziała w tym nic śmiesznego? A ja jeszcze do dzisiaj śmieję się, gdy sobie o tym przypominę.

- Spóźnisz się, jak będziesz tu siedzieć dłużej - zauważyła Joyce łagodnie. - Lady Tristram przyjeżdża zawsze punktualnie.

- Boże święty! - zawołała Lilian wesoło. - Całe szczęście, że nie mam ochoty na tego „milczącego bohatera”. Jestem pewna, że Lady Tristram nie byłaby zadowolona z takiej synowej. Czy Sambo ma także przyjechać?

- Nie mam pojęcia. - Joyce mówiła z powątpiewaniem. - Był zaproszony, ale skoro mu odmówiłaś...

- Ach, to nie ma nic wspólnego - zapewniła Lilian. - Na pewno przyjedzie. Przecież go nie obraziłam. Takim głupstwem nie można obrazić Białego Królika. Rozstaliśmy się w przyjaźni i pomogłam mu nawet skosztować wszystkie kanapki. Na miłość boską, nie kiwaj nade mną głową! Jesteśmy nadal serdecznymi przyjaciółmi, zresztą może kiedyś wyjdę za niego, jak nabiorę ochoty i jak nie będę miała już nic do stracenia. Uważam, że jest całkiem przystojny. Wątpię, czy Nancy Jervis w międzyczasie zdoła go zawojować. Jeżeli będzie mógł się ożenić z dziewczyną, mającą takie nogi jak ona, to winszuję gustu!

- Lilian, wstyd mi za ciebie - rzekła siostra surowo. - Jestem pewna, że nie myślisz tak jak mówisz. Nie mogę po prostu słuchać twoich poglądów. Za młoda jesteś, aby tak cynicznie patrzeć na życie.

- Moja droga Judy, mam dwadzieścia dwa lata - zawołała cyniczka, podrywając się na równe nogi. - Dwadzieścia dwa lata i jeszcze niezamężna, przy tym jeżeli już zdarza się ktoś chętny, to mu odmawiam. Gdyby ten osioł Hildebrand nie wtykał swoich trzech groszy, to na pewno od dawna byłabym już mężatką. Sama to rozumiesz, prawda?

- Lilian! - siostra zgromiła ją surowo. - Nie pozwolę nikomu w ten sposób odzywać się o moim mężu.

Lilian skłoniła się głęboko.

- Cofam ten epitet, chociaż uważam, że był za skromny dla niego. Jak będziesz z nim rozmawiała, co przypuszczam wkrótce nastąpi, bądź łaskawa mu powiedzieć ode mnie, że gdybym się zakochała w kimś do szaleństwa, to i tak nie wyszłabym za niego, wiedząc, że Hildebrand tego pragnie. Świadomość ta obniżyłaby natychmiast szanse mego ukochanego.

- Wątpię, czy potrafiłabyś się w kimś zakochać - rzekła Joyce z powagą. - Przykro mi mówić o tym, Lily, ale często wątpię, czy mnie kochasz.

Wybuch głośnego śmiechu był całą odpowiedzią. Lilian poczęła tańczyć po lśniącej posadzce w swych zabłoconych butach, po czym nagle pochyliła się nad siostrą i pieszczotliwie otoczyła szyję jej ramieniem.

- Wstydź się! Musisz koniecznie tę sukienkę zapiąć wyżej pod szyję. Zresztą zapytaj Hammond o to! Ona jest autorytetem, jeżeli chodzi o modę. Tak, masz słuszość, muszę już koniecznie iść, ale bądź spokojna, kochanie, w sercu moim jest kawałek miejsca dla ciebie.

Chwyciła z krzesła szpicrutę i pobiegła w stronę drzwi, lecz u progu zatrzymała się na chwilę, zwracając się w stronę siostry.

- Słuchaj, Judy, nie potępiaj Białego Królika, dobrze? Prochu, co prawda, nie wymyśli, ale dobry z niego chłopak.

- Moja droga, czyż kiedyś zawiodłam twe zaufanie? - zagadnęła Joyce z lekkim gniewem.

- Nigdy, dopóki stary podżegacz nie wziął się do dzieła - zaśmiała się dziewczyna od progu. - Ach! Hallo! Słyszę jego kroki. Bawcie się dobrze! Ustępuj swemu władcy i panu.

Mówiąc te słowa, otwarła szeroko drzwi i złożyła głęboki ukłon wysokiemu, przystojnemu mężczyźnie, w średnim wieku, który ukazał się na progu.

Rzucił jej krótkie, niechętnie spojrzenie, przystanął na chwilę, jakby chcąc coś powiedzieć, po czym ustąpił jej z drogi, pozwalając wyjść z pokoju i zamknąć drzwi za sobą.

Hildebrand Courtenaye z Courtenaye, aczkolwiek nie używający tytułów, wysoko nosił głowę, dumny ze swego hrabiostwa. Był właścicielem sławnej courtenaye'skiej psiarni, którą odziedziczył po ojcu wraz z majątkiem i uważał się za uosobienie sprawiedliwości i pokoju, toteż prawdopodobnie z tej przyczyny często staczał zażarte walki ze swą młodą szwagierką.

Żona jego, młodsza o lat dziesięć, przez cały czas pożycia małżeńskiego okazywała mu wiele posłuszeństwa, zawsze czujna na jego rozkazy. Darzyła go cichym uwielbieniem i wybaczała nawet surowość stosowaną względem Lilian. Między Hildebrandem i Lilian toczyła się od lat zacięta wojna. Lilian była jedyną osobą w domu, której nie mógł nagiąć do swojej woli. Jej popędliwość, temperament i przekora były tym, co przez długie lata usiłował zwalczyć. Po prostu Lilian całkiem otwarcie kpiła z Hildebranda od najdawniejszych czasów, od czasów swego dzieciństwa.

- Nie mam zamiaru omamiać ludzi - mawiała Lilian do swej siostry, Joyce. - Każdy powinien okazywać się innym takim, jakim jest. Po co się zmuszać? Zarozumiałość u kobiety jest bardzo nieprzyjemna, ale zarozumiały mężczyzna jest jeszcze gorszy.

Lilian odznaczała się w każdej walce zawziętością i odwagą, poddawać się nie umiała. Skoro Hildebrand pochodził z wielkiego rodu Courtenaye'ów, to przecież ona nosiła nazwisko Devereux, należące do starej szlacheckiej rodziny. Przypominała to Hildebrandowi przy każdej sposobności. Ród Devereux'ów wymarł już dawno i ona pozostała jedyną spadkobierczynią tego nazwiska. Joyce, sympatyczna Joyce Courtenaye, łagodna i kochająca żona, była tylko jej siostrą przyrodnią i w swych żyłach nie posiadała ani odrobiny krwi Deve-

reux'ów. Wyszła za męża, gdy Lilian była sześćioletnią dziewczynką, osieroconą przez matkę. W trzy lata później umarł również ojczym. Dziewięcioletnią siostrzyczkę Joyce zabrała do swego domu. Lilian jednak nie była naturą łatwą i trudno było poradzić sobie z jej wychowaniem. Wywierała najgorszy wpływ nawet na piastunkę Hammond, wmawiając jej, że jest wielką damą i nie może się przyzwyczaić do trybu życia tutejszego, aż wreszcie Joyce ze łzami w oczach musiała ulec żądaniu męża, aby dziewczynkę wysłać do szkoły.

Lilian w ciągu lat kilku wędrowała z jednej szkoły do drugiej i gdy wreszcie skończyła lat siedemnaście, oznajmiła siostrze i szwagrowi, że uważa swą edukację za skończoną i że nie ma zamiaru „wkuwać” dalej. Na ten temat stoczyła zawziętą walkę ze szwagrem, lecz i on w tym wypadku okazał się zupełnie bezsilny, dziewczyna bowiem zapowiedziała, że jeżeli będzie się starał umieścić ją w jakimkolwiek seminarium, to zaraz pierwszej nocy stamtąd ucieknie. Nie było rady.

W ten sposób, dzięki stoczonym walce, Lilian otrzymała wreszcie swobodę i nastał teraz okres, którego Joyce nigdy już zapomnieć nie mogła, okres, w którym dzieci jej skazane były na najgorsze wpływy ze strony wyemancypowanej młodej ciotki. W owym okresie Hildebrand przebywał dłuższy czas za granicą w sprawach związanych z przedsiębiorstwem, w którym piastował urząd dyrektora, Lilian zaś, korzystając z jego nieobecności, roztaczała swą opiekę nad całym domem.

Sławna już była w całej niemal okolicy ze swych wariackich pomysłów i szaleńczych eskapad, a gdy Hildebrand wrócił po rocznej niemal nieobecności, wówczas dopiero rozpoczęła się między nimi prawdziwa wojna. Biedna Joyce, zawsze trochę chorowita, teraz przygnębiona była jeszcze bardziej ciągłymi utarczkami męża z siostrą i wreszcie po całym szeregu przykrości zdecydowała się odesłać Lilian do miasta pod opiekę ciotki Minerwy, kobiety starej, której siła charakteru stała się przysłowiowa w rodzinie.

Ciotka Minerwa podjęła się matkowania Lilian, zamierzając ukrócić nieco wybryki dziewczyny. Lilian zaś, marząca o życiu miejskim, z radością przyjęła propozycję wyjazdu. Nie знаła dobrze ciotki Minerwy, lecz postanowiła prędko urobić ją sobie. Pojechała więc, a Joyce w ciszy swego domowego ogniska, z dreszczem lęku, oczekiwała z dnia na dzień jakichś nowych wiadomości o śmiałych wyczynach swej siostry. Wieści jednak nie nadchodziły i Joyce zaczęła się już pocieszać nadzieją, że Lilian ustatkowała się nieco i że będąc dziewczyną przystojną i posiadającą nieprzeciętny kobiecy czar, znajdzie w mieście odpo-



wiedniego dla siebie męża, dzięki któremu rodzina pozbędzie się wreszcie wszelkiej odpowiedzialności za szaleńcze wybryki niepoprawnej Lilian. Wbrew tym przewidywaniom doszło do uszu Joyce, że Lilian zaprzyjaźniła się z ciotką Minerwą i obydwójce państwo Courtenaye wieszowali sobie pomysłu wysłania Lilian do miasta.

Zarówno od Lilian, jak i od ciotki Minerwy przychodziły nader skąpe wiadomości. Stara kobieta, złożona reumatyzmem od lat wielu, pisać nie mogła, Lilian zaś nie lubiła się przemęczać korespondencją. Od czasu do czasu tylko nadchodził jakiś krótki liścik, naspikowany samymi zachwykami i donoszący, że wszystko dzieje się jak najlepiej.

Gdy przy końcu sezonu Joyce zaproponowała w jednym ze swych listów, aby Lilian wróciła do domu, ku swemu wielkiemu zdziwieniu otrzymała odpowiedź wesołą, lecz odmowną. Obydwie panie zajęte były składaniem obowiązkowych wizyt, które miały się przeciągnąć, aż do końca roku, a może nawet i dłużej.

Joyce więc zrezygnowała z dalszych zaprosin, pochłonięta zupełnie codziennymi swymi obowiązkami. Bardzo była przywiązana do Lilian, lecz trudno zaprzeczyć, że od chwili jej wyjazdu w domu panował większy spokój, a powodów do lęku nie było żadnych, bo Lilian wszakże czuła się dobrze pod opieką ciotki Minerwy. Może się zakochała, myślała Joyce z uśmiechem, mając nadzieję, że ciotka Minerwa na pewno czuwać będzie nad tym, aby Lilian oddała swe serce tylko takiemu mężczyźnie, który by pod każdym względem na jej miłość zasłużył.

Sama Joyce rzadko wyjeżdżała do miasta. Hildebrand zaś niechętnie widywał się w mieście ze swą znieawidzoną szwagierką, nic więc dziwnego, że Lilian i ciotka Minerwa pozostawione były same sobie, zaabsorbowane podobno obowiązkami towarzyskimi. Wreszcie pod koniec roku Joyce otrzymała nieoczekiwaną wiadomość, że ciotka Minerwa umarła, Lilian zaś wyjechała nie wiadomo dokąd.

Pojechawszy do miasta, dowiedziała się od pokojówki, że Lilian nieobecna już była od kilku miesięcy, ciotka Minerwa jednak, przykuta do łóżka wzmagającą się chorobą, nie chciała Joyce zawiadomić o tym, lękając się przykrych wymówek. Joyce straciła zupełnie głowę, lecz mąż pocieszał ją ciągle, zapatrując się na całą kwestię filozoficznie.

- Czekaj cierpliwie! Wróci, gdy wyda całe zapasy pieniężne - mówił.

Podejrzewano Lilian, że wyjechała za granicę, nie dawała jednak ani znaku życia o sobie. Joyce, trawiona coraz większym niepokojem, zamierzała już przyjąć prywatnego de-

tektywa, mąż jednak odwiódł ją wkrótce od tego zamiaru i obydwójce wrócili do domu, postanawiając cierpliwie czekać powrotu nieobecnej.

Powrót ten nastąpił w trzy miesiące po śmierci ciotki Minerwy, tak samo nieoczekiwanie, jak nieoczekiwanie następowało wszystko, co czyniła Lilian. Zjawiła się przed obliczem swej siostry, pewnego letniego popołudnia z najniewinniejszą miną, jakby wyjechała stąd dopiero wczoraj. Oznajmiła na wstępie, że wraca z podróży dookoła świata.

- A biedna ciotka Min umarła! - biadała. - Bardzo mi przykro, chociaż nigdy do niej nie byłam zbyt przywiązana, a ona po prostu nienawidziła mnie, o ile ci wiadomo. Zawsze byłam niesforna.

Na temat swych podróży Lilian udzieliła bardzo skąpych wyjaśnień. Była z przyjaciółmi, oczywiście, ludzi tych siostra nie zna, nie słyszała o nich nawet, nazywają się Silver. Podróż przeszła cudownie, ale przyjemnie jest wrócić do domu, na łono rodziny. Jeżeli pozwolą, to chętnie tu zostanie na stałe.

- Będę cicha jak baranek, Judy - przyrzekała z poważną miną. - Daj mi tylko jakiś kącik i nikt nawet nie będzie wiedział o mojej obecności.

Wzruszona Joyce przywitała siostrę czule i z macierzyńską tkliwością przyjęła ją z powrotem do swego domu. Sam fakt, że Lilian pragnęła tu pozostać, był najoczywistszym dowodem jej poprawy. Zresztą mniejszym niebezpieczeństwem było przyjąć ją do rodziny teraz, kiedy dzieci oddano już do szkoły.

Hildebrand, który był jednym z prawnych opiekunów Lilian, nie sprzeciwiał się postanowieniu żony. Skłonny był roztoczyć opiekę nad szwagierką do chwili jej pełnoletności, a nawet i w ciągu dalszych kilku miesięcy.

Obecnie termin ten dawno już minął, Lilian miała dwadzieścia dwa lata i stała się panią swej woli, jednocześnie jednak zaliczała się do członków rodziny Courtenaye'ów i nie zdradzała najmniejszych inklinacji do dalszej wędrówki. Nie staczała już teraz walk ze szwagrem, wyzbyła się dawnej swej przekory i rozkapryszenia. Traktowała go teraz, jak sobie równego i jak z równym sobie, kłóciła się z nim od czasu do czasu. Hildebrand, aczkolwiek nie darzył szwagierki głębszym uczuciem, to jednak uważał za swój święty obowiązek udzielić swego zezwolenia na to, aby pozostała w jego domu. Pocieszał się nadzieją, że przecież wreszcie wyjdzie kiedyś za mąż, a wtedy on odetchnie swobodnie, wyzbywszy się nieprzyjemnego balastu. Obecność Lilian w swym domu Hildebrand tolerował za ledwie i



zachowywał się tak, jakby wyrządzał szwagierce wielką łaskę. Po podróży dookoła świata Lilian spoważniała nieco, nie staczała walk ze szwagrem, lecz go wyraźnie ignorowała. Wyzbyła się dawnych swych szaleńczych pomysłów, zastępując je teraz niezwykłym na jej wiek cynizmem. Była stałą i nie zwalczoną oponentką i dla Hildebranda nie była zbyt sympatyczna. Nie widział nawet w szwagierce swej powabu kobiecości, lecz sam fakt, że innym mężczyznom się podobała, nakazywał mu szanować to i nie wypowiadać głośno na ten temat własnego zdania. Jeśli potrafi zręcznie kokietować, to chyba wkrótce znajdzie się jakiś kandydat, dzięki któremu on, Hildebrand, odetchnie z ulgą.

Najstraszniejsze jednak było to, że sama Lilian zdawała się wcale nie myśleć o małżeństwie i nie troszczyć o swoją przyszłość. Bardzo lubiła flirtować, lecz gdy sytuacja stawała się poważniejsza, dziewczyna wycofywała się ze wszystkiego, zbywając oświadczenia żartami. Każda dobra rada siostry lub szwagra przyjmowana była przez nią niechętnie. Wybuchy dawnego jej żywego temperamentu rzadko kiedy stawały się widoczne. Otoczyła się jakąś dziwną tajemnicą i nikomu swych myśli nie powierzała. Nic dziwnego, że Hildebrand Courtenaye marzył o wydaniu jej za mąż, był jednak przekonany, że żadna dobra rada nie zostanie przez Lilian przyjęta. Możliwe nawet było, że dziewczyna pewnego dnia zdecyduje się zostać starą panną tylko z tej przyczyny, aby okazać swój upór szwagrowi.

Taka była Lilian Devereux, gdy dziecięce jej marzenia się ziściły, gdy ujrzała już świat szeroki.

# ROZDZIAŁ II

## Uraza

- Siadaj, kochanie - zwróciła się Joyce do męża. - Musisz być zmęczony.

Podszedł do kominka i z wściekłością poprawił płonące głównie mosiężnym pogrzebaczem.

- Jeżeli ta twoja zwariowana siostra nie przestanie mnie prowokować - rzekł - gotów jestem spróbować, na niej mojej szpicrucy. Doprowadza mnie do ostateczności.

- Ach, kochanie - zawołała Joyce przerażona. - Nie uczynisz tego.

On ciągnął dalej swą tyradę:

- Jest najbardziej niesforną, źle wychowaną dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem w życiu. Wolałbym, żeby już była chłopcem. Wówczas potrafiłbym z nią sobie poradzić.

- Jestem pewna, że ona nic złego nie ma na myśli - wyszeptała błagalnie Joyce.

- Nic złego nie ma na myśli, tym gorzej - odwrócił się i rzucił pogrzebacz do koszyka.

- Dlaczego u diabła nie może wyjść za mąż, nie rozumiem? Sądzę, że nie znalazł się jeszcze taki głupi, który by się chciał z nią ożenić.

- O, nie myśl tak - odezwała się łagodnie. - Wiem dobrze, że niejednokrotnie zdarzały jej się najlepsze okazje.

- To dlaczego ich nie wykorzystywała? - indagował zniecierpliwiony Hildebrand.

- Lilian posiada wyższe aspiracje - wyjaśniła Joyce nerwowo. - Ja byłam całkiem inna w jej wieku.

- Dziękuję - burknął.

Spojrzała nań przerażona.

- Kochanie, co ja takiego powiedziałam? Myślałam tylko, myślałam, och wcale nie chciałam cię urazić! Źle mnie zrozumiałeś.

Uśmiechnął się ponuro.

- Masz dziwny sposób wyjaśniania swych myśli - zauważył. - Wybaczam ci. W przeciwieństwie do swojej siostry, nie jesteś nigdy zaczepna.

- Nie, nie! - zawołała Joyce niepewnie, nie orientując się, czy powinna to przyjąć jako komplement czy obrazę. - Wszystko to wynika dlatego, że nie rozumiesz Lilian, że myślisz o niej o wiele gorzej. Dobra z niej dziewczyna i poczciwa, tylko zbyt impulsywna. Jestem pewna, że wkrótce wyjdzie za mąż. Najważniejszą rzeczą jest, żeby dostała przyzwoitego człowieka. Straszne byłoby, gdyby przy swoim temperamentie miała popełnić omyłkę.

- O, za dużo ma sprytu, jeżeli się nie mylę - mruknął małżonek, siadając na krześle. - Pragnie znaleźć kogoś, kim będzie mogła rozporządzać. Zauważyłem, że ten młody Gregory adorował ją dzisiaj rano. Ale to nie jest odpowiedni dla niej typ. Ten chłopak nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Bardzo lubię Sama Gregory - wtrąciła Joyce.

Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, nie mogąc się pozbyć złego humoru.

- Oczywiście. Jest on typem młodego durnia, a tacy potrafią cię ująć. Mówi ci pewno, że tańczysz bosko i że cudnie ci w tej fryzurze z przedziałem pośrodku.

Zarumieniła się nieznacznie.

- Jest zbyt dobrze wychowany, aby mi miał czynić tego rodzaju uwagi - odparła.

- Dziękuję - rzekł Hildebrand znowu.

Nie sprzeczała się już z nim więcej, usiadłszy w milczeniu przed kominkiem. Dwie łzy spłynęły jej po policzkach. Otarła je pośpiesznie. Hildebrand tymczasem szedł za biegiem swych myśli.

- Ja tam nie słyszałem o nikim, kto by się o nią starał - zauważył nieoczekiwanie. - Nie ma w niej nic godnego uwagi i nic, czym by potrafiła kogoś ująć. Nikt nie poleci na jej posiadłości w Rossingdon. Nikogo nie skusi dobra rodzina! Nawet Sam Gregory nie jest aż takim osłem, mam wrażenie.

- Wątpię, czy ona by go chciała - odparła Joyce. - Wielokrotnie mówiła o tym, że sama chciałaby zamieszkać w Rossingdon, ale oczywiście nigdy bym się na to nie zgodziła.

- Dziewczyna odbywająca samotnie podróż naokoło świata, gotowa jest na wszystko - mruknął Hildebrand.

- Nie była przecież sama - zaprotestowała żona. - Miała Silver'ów.

- Tak, a kim są Silverowie? Ludzie, żyjący dzięki swemu sprytowi i podróżujący pod przybranym nazwiskiem, jak mi mówiono.

- Ach, przestań, mój drogi! Przecież nie wiemy - zawołała Joyce nerwowo.

- Nie, nie wiemy. O to właśnie idzie. Ta twoja siostra nigdy szczerze o tym nie mówi. Według mnie, była to jakaś tajemnicza afera od początku do końca.

Hildebrand mówił ze złością, a Joyce nie indagowała go już więcej. W głębi duszy była skłonna przyznać słuszność mężowi, bo Lilian nie lubiła poruszać tematu swej eskapady. Z drugiej znów strony wierzyła święcie w uczciwość swej siostry. Prawdopodobnie Lilian mówiła o tym niechętnie tylko ze względu na ustawiczną wojnę, jaką prowadziła ze szwagrem. Joyce karciła samą siebie za jakiegokolwiek podejrzenia w stosunku do Lilian.

- Wiesz - rzekła wreszcie - sądzę, że lepiej będzie nie wtrącać się w sprawy Sama Gregory. Niech sam sobie radzi. Mam wrażenie, że bez niczyjej pomocy łatwiej sobie poradzi z Lilian.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Hildebrand. - Nie miałem najmniejszego zamiaru interweniować w tej sprawie.

- Właśnie o to mi idzie, najdroższy. Wszelkie rady dawane Lilian, na nic by się nie zdały - odparła żona dyplomatycznie. - Wiesz, że nie lubi, gdy ją się do czegoś zmusza.

- O, upór ma niezwyciężony - mruknął Hildebrand.

Właśnie to miała na myśli, lecz próbowała bronić siostrę.

- Nie, nie, kochanie! Chciałam tylko powiedzieć, że lepiej takie rzeczy pozostawić biegowi czasu. Kto wie? Dziś wieczorem będziemy mieli nowego gościa, majora Bullivanta. Może on właśnie jej się spodoba, co można wiedzieć? Przecież nie jest zakochana w Samie Gregory, jestem tego pewna.

- Nigdy niczego nie jestem pewny, jeżeli o nią chodzi - rzekł Hildebrand. - A któż to jest ten Bullivant? Czy ja go znam?

- Syn Lady Tristram z pierwszego małżeństwa. Nie przypominasz sobie? Lady Tristram ma przyjechać z Sir Burtonem i obiecali, że zabiorą z sobą majora. Jest w domu na urlopie. Na froncie indyjskim zdobył tytuł wicehrabiego. Zaprosiłam również doktorostwo Gillespie. Ona jest taka miła, zawsze pełna humoru. Obiecała zabrać z sobą młodszą siostrę swoją Peggy Clarke, która jest przyjaciółką Lilian. Poza tym ma być Sam Gregory i ten przystojny jego przyjaciel, rudowłosy marynarz, porucznik Crofton, mam wrażenie, że tak się nazywa. Ach, tak, zaprosiłam jeszcze Celię Barnaby! Mieszka teraz u Tristramów, więc musiałam ją zaprosić. Przypuszczam, że przyda się jako czwarta do brydża.

- Nie mam ochoty dzisiaj na brydża - rzekł Hildebrand. - Goście muszą się sami bawić i wynieść się jak najwcześniej. Te sobotnie przyjęcia działają mi już na nerwy. Stanowczo są zbyt męczące.

- Tak, masz słuszość - przyznała Joyce. - Ale myślałam, że będziesz zadowolony, ze względu na Lilian. Przecież trzeba jej stworzyć jakąś sposobność poznania kogoś, bo teraz, kiedy ciotka Minerwa umarła...

- Biedna ciotka Minerwa! - ironizował Hildebrand. - Stara, obrzydliwa hipokrytka! Przykro, że takie kiedykolwiek wałęsają się po świecie! Z Lilian też sobie doskonale poradziła. Już dawno utemperowałbym dziewczynę, gdybyś mi pozostawiła wolną rękę. Życie towarzyskie w mieście! Po jakie to lichy! Można i na wsi znaleźć męża! Ale z takim usposobieniem jak twoja siostra...

- O to właśnie najbardziej się lękam - westchnęła Joyce. - Moim zdaniem Lilian wcale się nie interesuje mężczyznami. Po prostu bawi się nimi z całym cynizmem. Strasznie mnie boli ten jej cynizm.

- Najlepiej nie słuchać tego co mówi! - rzekł Hildebrand, dorzucając drzewa do kominka. - Cynizm! Boże święty! Cynizm! Ja bym już tam znalazł na nią sposób. Z jakiej przyczyny dziewczyna w jej wieku może być cyniczna, chciałbym wiedzieć?

- Otóż to właśnie, mój drogi - ze smutkiem odparła Joyce. - Czasami myślę, że może ma jakiś powód, powód, o którym my nie wiemy. Dawniej, o ile pamiętasz, lękałam się, że za bardzo interesuje się męskim towarzystwem. Teraz jest zupełnie inaczej. Toleruje mężczyzn, traktując ich jak zabawki.

Hildebrand obruszył się niechętnie.

- Zabawki! Na miłość boską, Joyce, tej twojej siostrze trzeba dać nauczkę. To jest bezczelne, żeby dziewczyna nie posiadająca nawet cienia urody, mogła się zachowywać w ten sposób.

- Niektórzy twierdzą, że jest przystojna - zauważyła Joyce łagodnie. - Ona stanowczo ma pewien styl.

- Styl! - wybuchnął Hildebrand. - Nazwij to lepiej impertynencją, bezczelnością, czy czymś podobnym! Powinna być szczęśliwa, jeżeli znajdzie się ktoś, kto będzie chciał ją poślubić. Powiedz jej to w moim imieniu! Jeżeli nie chce wyjść za mąż, to niech lepiej wstąpi do klasztoru! Ja tam za nią dłużej nie chcę być odpowiedzialny, nie ręcę za siebie. Mówię

ci całkiem szczerze, Joyce, że mam już dosyć tej opieki. Z chwilą, gdy dziewczęta skończą szkołę, stanowczo nie życzę sobie, aby Lilian pozostawała nadal w naszym domu.

Joyce westchnęła. Znowu w głębi duszy przyznawała słusność mężowi, lecz uczucie dla siostry brało górę. Zresztą było jeszcze dość dużo czasu, bo dziewczęta kończyły szkołę dopiero za dwa, trzy lata, a przez ten czas, o, przez ten czas Lilian mogła przecież znaleźć męża.

- Dobrze, kochanie, zobaczymy - odparła z uległością. - Dużo stać się może do tej chwili. Przecież Lilian ma dopiero dwadzieścia dwa lata. Bardzo mi przykro, że jest ona powodem twoich zmartwień. Może z czasem, gdy będzie starsza nieco, stanie się poważniejsza.

- Możliwe! - rzekł Hildebrand z ponurym niedowierzaniem.

TLR



# ROZDZIAŁ III

## Biały Królik

Gdy Lilian tego wieczoru schodziła po szerokich marmurowych schodach, widok jej sprawiłby każdemu miłą niespodziankę. Złociste włosy w delikatnych lokach okalały drobną jej twarzyczkę, a w zielonych oczach błyszczały jakieś tajemnicze ogniki. Miała na sobie skromną suknię z brązowego aksamitu, przy której uwydatniała się jeszcze bardziej nieskalana biel jej ciała. Prawda, że Lilian nie była piękna w zwykłym, ludzkim pojęciu piękności. Rysy miała nieregularne, usta za duże, podbródek za wydatny, lecz posiadała jakiś dziwny czar, jakiś wdzięk, trudny do określenia słowami. Wdzięk ten tak samo był przyrodzony, jak i dystynkcja, którą się odznaczała. Nic nie było sztucznego w postaci Lilian Devereux, lecz było w niej coś tajemniczego i pełnego rezerwy. Prawdopodobnie tę maskę ironii ukazywała tylko tym, którzy pragnęli dowiedzieć się od niej zbyt wiele, a poza maską tą posiadała poczucie humoru, które dodawało jej jeszcze więcej powabu. Nie nudzono się nigdy, gdy w towarzystwie była Lilian. Nawet ludzie, spoglądający na nią niezbyt chętnie, przyznać musieli, że Lilian była niezastąpioną towarzyszką. Hildebrand także przyznawał jej tę zaletę.

Wszedłszy do hallu, stanęła oko w oko z dwoma paniami w wieczorowych strojach, którzy widocznie przed chwilą przybyli.

- Hallo, Sambo! - zawołała. - Wiedziałam, że wrócisz!

Mężczyzna do którego się zwróciła, zbliżył się do niej.

- O, tak, ja zawsze wracam - rzekł - nawet wówczas, gdy mnie wyganiają. Jest to jedna z największych wad Gregory'ch. Miałem to przyjemne wrażenie, że uczyniłbym przykrą lukę przy stole pani Courtenaye, gdybym się nie zjawił.

- Jak ładnie z twojej strony! - rzekła Lilian.

Wzrok jej spoczął na chwilę na jego twarzy, jak ostrze rapiera, po czym ześlizgnął się po całej jego postaci. Twarzyczkę jej rozjaśnił uśmiech.

- Ach, tak! - rzekł Sam. - To jest porucznik Crofton. Mój serdeczny przyjaciel, więc sądzę, że go polubisz. Polecam go twoim łaskawym względom.

Przedstawiony w ten sposób mężczyzna skłonił się z uprzejmym uśmiechem.

- Straszny osioł z tego Sama, nieprawdaż? - zagadnął wesoło. - Jedyłą jego zaletą jest to, że trudno się na niego gniewać, tak samo, jak trudno się gniewać na psa sąsiada, który z pokorą podwinie ogon, gdy się nań rzuca kamieniem.

- I wykopie wielki dół, abyś wpadł doń, jak się odwrócisz - dorzucił Sam. - Istotnie, taki jestem, przyznaję. Tym się odznaczają głębokie natury. Słuchaj, Lilian, kto tu jest jeszcze? Objaśnij nam.

- Och, jak zwykle tłumy - odparła Lilian. - Joyce kolekcjonuje najrozmaitsze typy, które tylko zdoła schwytać w swoją towarzyską sieć i raczy te typy w każdy wieczór sobotni sosem pietruszkowym. Strasznie to monotonne!

- Dobrze, ale kto jest dzisiaj? Powiedz! - dopominał się Sam.

Jej płonące spojrzenie wróciło ku jego twarzy i zatrzymało się przez chwilę. Był właściwie typem nieokreślonym, aczkolwiek każdy, kto by na niego spojrział, orzekłby natychmiast, że jest Anglikiem. Włosy miał tak jasne, że prawie białe, oczy również jasne, okolone rzadkimi rzęsami i jasnymi brwiami. Cała twarz miała wygląd anemiczny i stawała się prawie bezbarwna w okoleniu lnianej czupryny. Był gładko ogolony, o ustach wąskich, opadających nieco ku dołowi i o podbródku dosyć wydatnym. Chociaż był wysoki, to jednak sprawiał niepozorne wrażenie, z powodu drobnej budowy. Chociaż zdawał się być nieśmiały, to jednak nie unikał teraz natarczywego wzroku Lilian. O Samie Gregory śmiało można było powiedzieć, że rzadko kiedy odczuwał zmieszanie.

- Nie zechciałabyś nam wyjawić nazwisk naszych towarzyszy niedoli? - zapytał.

Zaśmiała się głośno. Chociaż nazywała go złośliwie Białym Królikiem i bawiła się nim, to jednak było coś takiego w tym chłopcu, co bardzo lubiła. Powiedziała zresztą swej siostrze, że dobry jest z niego chłopak i że może kiedyś zdecyduje się zostać jego żoną.

- W tej chwili cała niedola spada na ciebie - odparła wesoło - i prawdopodobnie będzie tak przez cały wieczór. Do ofiar dzisiejszego wieczoru należą między innymi major Bullivant - wicehrabia, syn Lady Tristram, ty i porucznik Crofton, twój przyjaciel.

Uśmiechnęła się do porucznika z wesołą obojętnością, a on odwzajemnił się jej uśmiechem, nie mogąc w tej chwili znaleźć nic innego. Sympatycznym, szczerym chłopcem był Jack Crofton, ze swoimi ognistymi włosami i dobrodusznymi błękitnymi oczami.

- Lękam się, że od razu powstaną jakieś przykrości - rzekł z chwilą gdy przybyłem tu z Samem. Ja już mam takie psie szczęście. Zawsze mnie wpakuje w jakąś kabałę.

- Nie przywiązuj wagi do jego słów! - wtrącił Sam.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - odparła Lilian. - Nie jest znowu taki pechowy. Dzisiaj tylko po południu całkiem mimo woli wpadł na krzak ciernisty i prawdopodobnie ma od tej chwili dość bolesne wspomnienia.

Sam wybuchnął śmiechem.

- Istotnie. Ale co z tym majorem? Denerwuje mnie jego obecność. Cóż to za typ, Lilian? Sądzisz, że może mi zrobić konkurencję?

- Na polowaniu z łatwością, jeśli się nie mylę. - Uśmiechnęła się, wypowiadając ten żart. - Nie mam pojęcia jaki to człowiek, lecz sądzę, że z tobą nie trudno konkurować.

- To zależy od usposobienia - zauważył Sam. - Ze strony twojej siostry okrucieństwem jest spraszać tyle ludzi. Po prostu przeszkadzają sobie nawzajem. Nawet sos pietruszkowy ma wtedy inny smak. Myślę, że będę się musiał jak najwcześniej z towarzystwa wycofać.

- O, nie czyń tego - zawołała Lilian. - Jest tu dzisiaj Celia Barnaby, a wiem, że jesteś w niej zakochany.

- Tego już za wiele - mruknął Sam. - Naprawdę wrócę do domu.

- Nie potrafisz się odciąć? - zagadnął Crofton. - Stań się uległym na dzisiejszy wieczór! Wiem, że uległość odnosi zawsze pożądany efekt.

- Tak, to byłoby doskonale - zaśmiała się Lilian. - Wówczas Peggy Clarke przypadłaby dla pana, a milczący bohater dla mnie.

- Znam się na tych rzeczach! - wyszeptał Sam tragicznym głosem. - Prowadź nas. Trudno, niech się poświęcę!

- Proszę, tędy! - wskazała Lilian drzwi do salonu.

Sam Gregory otworzył drzwi przed nią i w tej samej chwili powitały ich ożywione głosy zebranych gości.

Lilian odwróciła się na chwilę, rzucając Samowi porozumiewawcze spojrzenie. W salonie zebrani już byli wszyscy goście Joyce. Przed kominkiem stał blady jegomość, zajęty rozmową z Hildebrandem, na kanapie obok Joyce siedziała dama w średnim wieku z niezwykle arystokratyczną miną. Był to Sir Burton Tristram, poseł do parlamentu i jego żona, która była postrachem całego hrabstwa.

W pobliżu niemłoda już dama o płonących czarnych oczach i siwawych włosach prowadziła rozmowę z ciemnowłosym mężczyzną w wojskowym uniformie, którego rysy twarzy zdradzały pewne podobieństwo z arystokratyczną twarzą Lady Tristram. Doktorostwo Gillespie siedzieli z drugiej strony kominka, on mężczyzna mogący mieć lat około trzydziestu pięciu, posępny nieco, ona - ładniutka, mała kobietka z zasobem humoru, mniej więcej o siedem lat młodsza od męża.

Młodsza siostra pani Gillespie, Peggy Clarke, podobna nieco do doktorowej, lecz posiadająca już mniejszy wdzięk, zdawała się uparczywie obserwować drzwi, jakby w oczekiwaniu przybycia Lilian. Ją też pierwszą Lilian powitała, nie zważając na towarzyską etykietę.

- Hello, Peggy! Cieszę się, że cię widzę. Dlaczegoś nie zajrzała do mego pokoju?

Ucałowała dziewczynę, która przyjęła tę serdeczność z pewnym zażenowaniem i potem dopiero poczęła witać się z resztą gości, podając najpierw rękę doktorowej, zaś następnie starszej damie, siedzącej na kanapie. Hildebrand w tej chwili pomyślał, że szwagierka jego nie posiada ani odrobiny wychowania.

Lady Tristram powitała Lilian z godnością, zachowując się jak zwykle z pewną rezerwą, podczas gdy Joyce z pewnym roztargnieniem witała dwóch nowych przybyszów. Po chwili para rozmawiająca w pobliżu kominka, zbliżyła się również do towarzystwa.

- Jak się masz, Lilian! - zawołała panna Barnaby piskliwym swym głosem, starając się uczynić go najbardziej serdecznym. - Więc jesteś nareszcie! Słyszałam, żeś upolowała lisa dziś po południu. Czyś go zastrzeliła?

- Jak się masz? - zawołała Lilian. - Nie, nie zastrzeliłam go. Było to raczej morderstwo niż polowanie. Po prostu psy wykopały go z nory. Nie czekałam już na rezultat. - Wzrok jej prześlizgnął się po postaci panny Barnaby i poszybował dalej. - Tylko mężczyźni lubią takie atrakcje. To jest twój kuzyn, prawda?

Ciemnowłosy pan skłonił się, całując podaną sobie rękę z uprzejmym uśmiechem.

- Słyszałam, że pani jest Dianą tej okolicy - rzekł.

Zaśmiała się, może zbyt głośno. Ręka jej pozostała dłużej w jego dłoni.

- Ach, nie mam aż tak wysokich aspiracji - odparła. - Poluję tylko na lisy.

- A w głębi duszy prosi pani Boga, aby uciekły? - zauważył.

Lecz Lilian już nie odpowiedziała. Odwróciła się może zbyt ostentacyjnie i przeszła przez pokój w stronę Peggy Clarke.

Rozmowa stała się ogólna, po czym poproszono wszystkich do stołu i Joyce Courtenaye ruszyła na czele gości w stronę jadalni. W tej samej chwili Lilian znalazła się u boku Sama Gregory.

- Nie wiem, jak zostaliśmy rozmieszczeni, ale mam zamiar siedzieć przy tobie - rzekła.

- Wyśmienicie! - zawołał Sam z entuzjazmem. - Lękałem się, że któraś z tych wielkich gwiazd będzie moją sąsiadką.

- Bądź spokojny - pośpieszyła go zapewnić z dziwnym blaskiem w swych tajemniczych, zielonych oczach. - Twoją sąsiadką będę tylko ja. Ładnie z twojej strony, żeś się dzisiaj tu zjawił.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał Sam z ciekawością.

Zamiast odpowiedzi potrząsnęła przecząco głową. ....

W milczeniu przeszli do jadalni.

# ROZDZIAŁ IV

## Bunt

Joyce zauważyła strategię swej siostry i głębokim westchnieniem wyraziła swą rezygnację. Obecnie niemożliwością było nakłonić Lilian do zmiany miejsca, bo Joyce pragnęła bardzo, aby sąsiadem Lilian przy stole był dystyngowany major. Właściwie nieznośna dziewczyna nie miała prawa w ostatniej chwili zmieniać planów swej siostry.

Niestety, na to nie było już rady i Joyce pocieszała się tylko nadzieją, że Hildebrand nie zauważy szybkiego manewru Lilian, która zręcznie usadowiła Peggy Clarke po lewej stronie majora Bullivant'a, sama zaś zajęła miejsce z przeciwnej strony stołu, między Sir Burtonem Tristramem i Samem Gregory. Joyce westchnęła znowu, gdy już wszyscy goście siedzieli przy stole. Miała nadzieję, że Lilian zaniecha nareszcie swej igraszki z Samem.

Tymczasem tamci dwoje nie wykazywali ani odrobiny zażenowania. Traktowali się jak dwoje przyjaciół z zupełną swobodą, której Joyce nie była w stanie zrozumieć. Uważała Sama za człowieka poważnego, a tymczasem on nie wykazywał w tej chwili absolutnie przygnębienia. To musi być poza, pomyślała, prawdopodobnie chce zachować pozory swobody. A może, może on ma słuszość? Przecież istniała jeszcze Nancy Jervis, córka proboszcza, czekająca na każde jego skinienie. Joyce nie miała pewności, czy Nancy nie będzie lepszą żoną od Lilian.

Bo Lilian była naturą skomplikowaną. Nie łatwo było ją określić. Od urodzenia niemal stanowiła zagadkę, nie słuchając niczyich rozkazów. Gdy zaczynała stawiać pierwsze kroki, już wyłamywała się spod woli starszych i nawet wtedy nikt jej już nie rozumiał. Sprawiała wrażenie nie rozwiniętego pączka, któremu można się przyglądać długo i nie wiadomo w jakiego koloru kwiat się rozwinię. Może znajdzie się mężczyzna, który zdobędzie jej serce, a wówczas ów pączek stanie się pięknym kwiatem, lecz do tej chwili nikt nie przeniknie tajemnicy owego kwiatka, chroniącego swe barwy.

Joyce zmieszana się nagle, zdając sobie sprawę, że lekceważy milczeniem swego sąsiada z lewej strony i natychmiast zwróciła się doń z jakimś zapytaniem, aby przykrą sytuację zatuszować.



Z pierwszego wejrzenia nie czuła specjalnej sympatii do majora Bullivanta, lecz przy bliższym poznaniu polubiła go. Należał on do mężczyzn, wywierających silne wrażenie nie wiadomo z jakiej przyczyny. Był przystojny i dobrze wychowany. Przyszło na myśl Joyce, że w kształcie ust majora, osłoniętych krótkim, ciemnym wąsikiem, czaiło się coś sarkastycznego, a nawet okrutnego, całe jednak zachowanie gościa było nad wyraz uprzejme i miłe. Miał sympatyczny głos i swobodny sposób wyrażania swych myśli. Potrafił prowadzić zajmującą rozmowę, aczkolwiek zdawał się nie wysilać w wyborze tematu.

- Czyż ten człowiek jest odpowiedni dla Lilian? - myślała Joyce.

Doszła do wniosku, że w rozmowie był bardzo przyjemny, posiadał przy tym niebywały zmysł humoru. Peggy Clarke, siedząca po jego prawej stronie, prawie przez cały czas milczała jak zwykle i gospodyni za wszelką cenę usiłowała wciągnąć ją do ogólnej rozmowy, aby chociaż tym wynagrodzić majorowi przykry manewr Lilian.

Lilian ze swej strony niezbyt dobrze się bawiła, siedząc u boku Sama, bowiem Celia Barnaby zajmowała całą jego uwagę, pozostawiając Lilian wolne pole do rozmowy z sir Burtonem. Trzeba zaznaczyć, że Sir Burton nie był zbyt interesującym towarzyszem. Tylko podczas zebrań politycznych Sir Burton odzyskiwał mowę, lecz jeżeli chodziło o konwersację towarzyską, przeważnie milczał. Wszelkie usiłowania Lilian wprowadzenia go w pewne ożywienie nie odniosły żadnego skutku. Wreszcie Lilian zaniechała trudu i umilkła tak demonstracyjnie, że wszyscy zebrani przy stole zwrócili na to uwagę.

- Co ci się nagle stało? - zapytał Sam, zwracając się do niej.

- Nic - odparła obojętnie. - Jestem tylko senna i to wszystko. Nie przeszkadzaj sobie.

- Lilian zawsze jest zmęczona po polowaniu - usprawiedliwiła siostrę Joyce.

- To dlaczego nie kładzie się do łóżka? - zauważył Hildebrand złośliwie.

Ku ogólnemu zdziwieniu Lilian odsunęła krzesło i wstała.

- Właśnie, mam zamiar - zawołała bezczelnie. - Życzę wszystkim dobrej nocy! Dobranoc, Sam!

- Lilian! - zawołał szwagier porywczo. - Opanuj się!

Spojrzenie jej spotkało się ponad stołem z wzrokiem majora Bullivanta i na twarzy dziewczyny ukazał się nieprzyjemny grymas. Było to wycelowane w majora, lecz dotknęło całe towarzystwo. Z najzupełniejszą swobodą Lilian poklepała Sama po ramieniu i odeszła od stołu.

Sam porwał się z miejsca, otwierając drzwi przed nią, ona zaś opuściła jadalnię z głośnym śmiechem.

- Maniery Devereux'ów! - rzekł Hildebrand z goryczą. - Lady Tristram, zechce pani łaskawie wybaczyć ten nietakt. Zapewniam panią, że przy moim stole więcej się to nie powtórzy.

Lady Tristram uśmiechnęła się.

- Obawiam się - odparła - że maniery myśliwskie nie zawsze nadają się do salonu, nie jest więc dla mnie wielką niespodzianką spotkanie się z czymś podobnym w jadalni.

- Lilian na pewno panią przeprosi - rzekł Hildebrand, wzdychając ciężko.

- Zapewniam pana, że to zupełnie zbyteczne - odrzekła Lady Tristram.

- Dlaczegoż pan nie stanął w jej obronie? - zwróciła się Celia Barnaby do Sama.

Uśmiechnął się zdawkowo.

- Uważam, że każdy powinien bronić się osobiście - odparł.

- Czy to był kaprys? - zapytał łagodnie Sir Burton. - Przecież nie miała chyba najmniejszej przyczyny.

- Naturalnie, naturalnie, że nie! - zapewniała Joyce prawie ze łzami. - Państwo będą łaskawi nie myśleć o tym! Dziewczyna jest przemęczona. Powinnam była kazać jej położyć się wcześniej.

- A przed tym dać kilka batów na uspokojenie - mruknął Hildebrand.

Całkiem nieoczekiwanie wtrącił się do rozmowy major Bullivant.

- Trzeba wiele wybaczyć kobiecie zajmującej się myślistwem - rzekł. - Instynkt sportowy u kobiet jest bardzo rzadki.

- Lilian jest urodzoną sportsmenką - odezwała się Peggy Clarke z pewnym onieśmieniem. - Posiada taką odwagę, jakiej jeszcze u żadnej kobiety nie zauważyłam.

- Muszę ją kiedyś zobaczyć na polowaniu - rzekł major Bullivant.

Joyce zwróciła się doń z wdzięcznością.

- Ach, zamierza pan polować w tym sezonie? Mój mąż będzie ogromnie uradowany.

- Może by pan zechciał jutro zobaczyć moją psiarnię? - zaproponował Hildebrand.

Rozmowa zesłała na tory polowania i o przykrym incydencie z Lilian zapomniano. Dało się zauważyć, że wraz z jej wyjściem atmosfera zapanowała nieco chłodniejsza. Joyce

tylko od czasu do czasu rzucała niespokojne spojrzenia na męża, a Sir Burton już bez żadnej żenady milczał uparcie.

Sam zdawał się być nieco przygaszony i Celia całą swą uwagę zwróciła teraz w stronę Jacka Croftona. Należała ona do typu kobiet, które nie lubią nieproduktywnie tracić czasu.

Gdy po skończonym obiedzie panie przeszły do salonu, Peggy podeszła do gospodyni, prosząc szeptem o pozwolenie udania się do pokoju Lilian.

- Pójdę tam na chwilę - prosiła, dojrawszy chwilowe wahanie na twarzy Joyce. - Wiem, że Lilian mnie nie miała na myśli. Ona ze mną jest zawsze taka serdeczna. Joyce pozwoliła, ale oczywiście Peggy postara się wyrzeć dobry wpływ na sprawczynię zajścia.

- Dobrze. Idź kochanie! - rzekła. - Ale nie siedź długo.

Peggy wymknęła się z jadalni.

Obydwie z Lilian były przyjaciółkami od dzieciństwa, chociaż usposobieniami ogromnie się różniły. Joyce zawsze starała się, jak najbardziej zbliżyć je do siebie, lecz w ostatnich latach, jakoś się to jej nie udawało, zresztą Peggy coraz rzadziej odwiedzała swą zamężną siostrę, więc i rzadsze nadarzały się okazje spotkania dwóch dziewcząt. Peggy prowadziła ojcu gospodarstwo w Midland i była zawsze bardzo zajęta. Lilian raz jeden tylko odwiedziła swą przyjaciółkę; przed owym pamiętnym wyjazdem na czas dłuższy do miasta. Od tego czasu wizyty się już nie powtórzyły. Jednakże za każdym razem, gdy się spotykały, okazywały sobie nawzajem wiele serdeczności, to też Peggy Clarke nie odczuwała teraz najmniejszego onieśmienia, pukając do drzwi pokoju Lilian.

Z wewnątrz usłyszała zirytowany, niechętny głos przyjaciółki:

- Ach, nie otworzę! Nic mi nie potrzeba.

- To tylko ja - zawołała Peggy. - Jeżeli nie chcesz mnie wpuścić, to sobie pójdę.

- Ach, to ty! Zaczekaj chwilę! Zaraz ci otworzę.

Peggy usłyszała ciche pośpieszne kroki i zgrzyt klucza w zamku. Drzwi się jednak nie otworzyły i Peggy musiała sama przycisnąć klamkę.

Weszła do pokoju tonącego w ciemnościach.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

Ktoś inny znajdujący się w położeniu Peggy, na pewno zapaliłby światło, ona jednak zamknęła tylko drzwi za sobą i po omacku poczęła iść przed siebie.

- Jesteś w łóżku, Lilian? - zapytała znowu. Z ciemności odpowiedział jej głos Lilian:

- W piekle jestem, jeżeli chcesz wiedzieć.
- Bardzo mi przykro - odparła Peggy łagodnie.

## ROZDZIAŁ V

### Milczący bohater

Znalazła wreszcie łóżko i usiadła na jego krawędzi.

- Co się stało? Newralgia? - zagadnęła.
- Diabeł, nie newralgia - odparła Lilian.
- Jaka szkoda, żeś nie powiedziała tego na dole! - zauważyła Peggy.

Lilian wybuchnęła ostrym, nienaturalnym śmiechem, jakby witała nim nieproszonego gościa.

- Myślałam, że przetrzymam - wyjaśniła - lecz nagle doszłam do wniosku, że nie mogę. Te wszystkie mumie ze swoim dobrym wychowaniem, ze swoją hipokryzją! I ten pompatyczny jegomość naprzeciw!

- Moja droga, powinnaś lepiej traktować sąsiada - wyszeptała Peggy.

- Wiem, że powinnam. Byłam i tak zbyt wielkoduszna, Peggy - głos Lilian przeszedł znowu w nienaturalny śmiech. - Myślałam, że ci będzie przyjemnie zająć miejsce przy boku milczącego bohatera.

- Nie bądź głupia! - zawołała Peggy. - Wiesz przecież, że tak nie jest, wiesz, że to nieprawda.

- Nie, nieprawda! Wierutne kłamstwo! - Lilian mówiła z nagłą złością. - Gdybym wiedziała, że chcesz siedzieć przy nim, wówczas... wówczas... nie wiem, co bym zrobiła. Jestem zmęczona, Peggy... przesycona jestem. Połóż się tu przy mnie i pozwól mi mówić jak kiedyś, kiedy byłyśmy małymi dziewczynkami!

Peggy zawahała się przez chwilę, zanim spełniła życzenie przyjaciółki. Wiedziała, że Lilian znajduje się teraz w nieprzyjemnym nastroju.

- Myślisz, że to cię uspokoi? - zapytała.

- Tak, tak. Bądź dla mnie dobra, Peggy! - W głosie jej brzmiała nuta błagalna. - Jestem zmęczona jak pies. Głowę mam jak młyńskie koło.

Peggy położyła się przy niej.

- Nie mów, kochanie! - prosiła.

- Właśnie, że muszę mówić. Nie mogę milczeć, nie mogę mieć oczu zamkniętych. Przed twoim przyjściem leżałam z otwartymi oczami i widziałam straszne rzeczy w ciemnościach.

- Dlaczego nie zapaliłaś światła? - zapytała naiwnie Peggy.

- To byłoby jeszcze gorsze, o wiele gorsze. Peggy, och, Peggy, czy pamiętasz biedną damę z Shalot? Często mówiłyśmy o niej. Ja jestem taka sama. Przekleństwo padło na mnie. Czyż nie był to rycerz o czarnych lokach, który je przyniósł?

- To był Sir Lancelot - zauważyła łagodnie Peggy - Nie sądzę, aby to była jego wina.

- Nie, stanowczo nie - zawołała Lilian. - A jednak on to uczynił. Czy wiesz, Peggy, że ja nienawidzę mężczyzn, wszystkich mężczyzn, jakich znam!

- Nie możesz nienawidzić Sama Gregory - rzekła Peggy z przekonaniem.

- Sambo! O, nie, nie, o nim się nie mówi! Raczej go lubię w jakiś głupi sposób. Jest dobry i nieszkodliwy, prawda? - Lilian znowu wybuchnęła śmiechem. - Wątpię jednak, czy chciałabym go mieć na zawsze, a ty?

- Sądzę, że źle byś uczyniła - rzekła Peggy poważnie. - Mam wrażenie, że ja go nawet wolę niż Lancelota.

- Dziwię się, że ktoś jeszcze chciałby się ze mną ożenić - zauważyła Lilian.

- A ty byś nie chciała? - zagadnęła Peggy.

- A ty? - odpaliła Lilian.

Peggy przez chwilę milczała.

- Ja bym raczej chciała mieć dzieci - rzekła po chwili, wstrzymując oddech.

Lilian uczyniła gest niezadowolenia.

- Zaraz staniesz się niewolnicą! - oznajmiła wzdorliwie.

- Wcale nie niewolnicą! - zaprotestowała łagodnie Peggy. - Przecież Oliwia nie jest niewolnicą Donalda. Chociaż, często myślę, że między nimi jest jakiś dziwny stosunek.

- Tak samo byłoby z Sambo - rzekła Lilian. - Ale ja wkrótce go już odstawię. On nie jest moim ideałem męża.

- Nie? - zdziwiła się Peggy. - Więc Lancelot jest lepszym typem Czarnego Rycerza, czyżby?

- Nie, on także nie - odparła Lilian.

- Jeżeli masz na myśli Czarnego Rycerza Devereux'ów - zauważyła Peggy. - Zawsze był w stalowej zbroi, nieprawdaż?

- Ten zbroi nie miał - odparła Lilian. Ramiona jej otoczyły teraz szyję przyjaciółki. - Mam ci opowiedzieć o nim, Peggy?

- Opowiedz! - wyszeptała Peggy.

- Dobrze, więc słuchaj! - Dziewczyna mówiła prawie bezdźwięcznie. - Widziałam raz mężczyznę tak odważnego, że nie wiem nawet z kim bym go mogła porównać, nie wiem i nie troszczę się o to. Nie ma zresztą człowieka na świecie, który by mógł wytrzymać to porównanie.

- Boże święty! - wyszeptała Peggy z przejęciem. - Cóż on takiego uczynił, Lilian?

- Nie wiem, czy będę ci mogła powiedzieć. Drzę na samą myśl o tym. On... on nie odczuwał zupełnie lęku i to było takie straszne... takie okropne! - poczęła drżeć i objęła mocno swą towarzyszkę. - Tak, powiem ci, Peggy. Może zrozumiesz, dlaczego ci wszyscy inni wydają mi się tacy bezbarwni. Było to podczas mojej bytności za granicą... wiesz... z Silver'ami. Sama czekałam na pociąg i nagle na szyny upadło dziecko... małe, biedne dziecko, wówczas... gdy pociąg pośpieszny wjeżdżał już na stację. Peggy... on podskoczył, wskoczył na szyny tuż przed pociągiem. Było to szaleństwo... albo heroizm... Nazwij to, jak chcesz, ale wówczas nie było czasu na rozmyślanie. Chwycił dziecko i pociąg przemknął nad nimi... taki długi, strasznie długi pociąg z łomotem kół... Straszniejszy od wszelkich baśniowych upiórów, a gdy przejechał, oni jeszcze żyli. Możesz w to uwierzyć? Ja jak głupia zemdlałam i nigdy już nie widziałam jego twarzy. Czy możesz zrozumieć, jak się czuję w obliczu każdego innego mężczyzny?

- Tak - odparła szeptem Peggy - rozumiem. Ale nie wiem, czy masz słuszość z drugiej strony, bo przecież każdy z tych panów, którzy byli dzisiaj wieczorem, mógłby się również zdobyć na takie bohaterstwo, gdyby się nadarzyła okazja.

- Nie bądź głupia! - skarciła ją Lilian. - Sama wiesz dobrze, że nawet wśród tysiąca, jeden by się taki nie znalazł. Wyobraź sobie Hildebranda! Możesz go sobie wyobrazić? Jeżeli tak, to coś tam się pomyliło w twojej fantazji.

- Niekoniecznie Hildebrand - przyznała Peggy. - Ale na przykład ten przystojny marynarz, przyjaciel Sama Gregory...



- Nie on! - zawołała Lilian. - Może chciałby ryzykować swe życie, lecz nie zaofiario-  
wałby go w taki sposób.

- Nie jestem pewna - szepnęła Peggy. - Stanowczo wolę go od Lancelota, chociaż on  
jest wicehrabią.

- Major Bullivant, wicehrabia ma zbyt wygórowane pojęcie o swojej wartości - za-  
uważyła Lilian. - Nie uczynił by nic takiego dla kogoś, z kim się specjalnie nie trzeba liczyć.  
Jestem pewna, że i on by się na to nie zdobył.

- Ale zostają jeszcze Donald i Sam - szepnęła Peggy nieśmiało.

Śmiech Lilian był teraz nieco naturalniejszy.

- Doktor Gillespie jest zbyt leniwy - odparła. - A co do Sama, to też nie mam wraże-  
nia. Zdobyłby się na to?

- On mógłby - rzekła Peggy z przekonaniem.

- Moja droga, nie jesteś dobrym psychologiem - oznajmiła Lilian. - Sam jest stanow-  
czo dużo wart, ale niezdolny jest do szaleńczych czynów. Czasami wzrusza mnie do łez, a  
jednak...

- A jednak - wtrąciła Peggy - chętnie byś na pewno została jego żoną.

Lilian uczyniła ruch pełen zniecierpliwienia.

- Dlaczego wszyscy chcecie wydać mnie za Sama?

- Bo on taki porządny chłopak.

- Znowu mu odmówiłam dzisiaj - zawołała nagle Lilian. - Myślał, że już ulegnę. Mo-  
że uległabym nawet, nie wiem. Ale czy to nie byłoby straszne, gdybym... gdybym wyszła za  
niego i nagle tamten stanąłby na drodze mego życia? Mam dziwne wrażenie, że kiedyś to  
musi nastąpić.

- Nie wiem, czy takie rzeczy się zdarzają - usłyszała głos przyjaciółki. - O tym się  
czyta tylko w książkach, Lilian, w głupich książkach o cichych bohaterach. Zresztą... zresz-  
tą, kochanie, żeby się nie okazało, że to jest całkiem przeciętny człowiek. Na pewno rozcza-  
rowałabyś się, gdybyś go zobaczyła. Myślisz, że to był Anglik?

- Oczywiście! - zawołała Lilian.

- Nie pojmuję, skąd ta pewność.

Lilian milczała. Była bardziej szczerą tej nocy z przyjaciółką niż pozwalała na to jej natura i chociaż wiedziała, że może jej w zupełności zaufać, to jednak poczęła żałować, że powiedziała może za wiele.

Peggy wyczuła widocznie tę reakcję, bo uczyniła ruch niewyraźny i podniosła się z łóżka.

- Nie lepiej będzie, jak pójdę, Lilian? I tak byłam tu dość długo, a tobie należy się spokój, prawda?

Lilian odwróciła się i zarzuciła obydwie ręce na szyję Peggy.

- Jesteś nieoceniona - wyszeptała. - Nikt nie ma takiego wyczucia. Odwiedzisz mnie znowu! Jestem ostatnio dziwnie niezrównowazona. Peggy, ja nie chcę zostać żoną Sama!

- Dlaczego nie wyjedziesz trochę? - zagadnęła Peggy. - Na pewno dobrze by ci to zrobiło.

- Boję się, że pojedzie za mną - wyszeptała Lilian, tuląc się do niej.

- Powiedz mu, żeby tego nie robił! - odezwała się w Peggy, praktyczna kobieta.

- Ach, nie mogę. Pomyślałby jeszcze, że zależy mi na nim ogromnie. - Lilian nagle zaczęła się śmiać i wypuściła z objęć przyjaciółkę. - Idź już, dziecinko! Dobranoc! Śmieszny jest świat, prawda? Tyle jest na nim śmiesznych i niepotrzebnych rzeczy! Dlaczego Sam nie zakochał się w tobie?

- O, przepraszam! - Peggy wyprostowała się dumnie. - Ja także bym go nie chciała.

- Dlaczego nie? - dręczyła ją Lilian.

Peggy skierowała się ku drzwiom i odpowiedziała dopiero od progu:

- Dlatego, że mam wrażenie, że on należy do ciebie, Lilian.

- Słusznie! - westchnęła Lilian. - Słusznie! Ale jakże chętnie bym go oddała!

- Jesteś strasznie niewdzięczna - rzekła Peggy. - Wystaw go na próbę! Przecież nigdy nie dawałaś mu żadnych możliwości.

W tej samej chwili otworzyła drzwi i wyszła. Lilian wtuliła głowę w poduszki i z gardła jej wydarł się nagle jakiś nieokreślony dźwięk.

- Sam Gregory! - wyszeptała z goryczą.

# ROZDZIAŁ VI

## Porachunek

- Moja droga, mam wrażenie, że Hildebrand chce z tobą pomówić. - Tymi słowy powitała Joyce swą siostrę nazajutrz rano, gdy Lilian w czarnej amazonce przyszła do jadalni na śniadanie.

Wziąwszy talerz z kredensu, Lilian podeszła do stołu i na policzku Joyce złożyła przelotny pocałunek.

- Drogi, stary podżegacz! Chce ze mną pomówić? - zdziwiła się, siadając przy stole.

- Lękam się, że tym razem rozmowa ta będzie poważna - odparła Joyce ze smutkiem.

- Ta, ta! - mruzczała Lilian, otwierając list. - Kochanie, proszę o kawę! Ale tylko odrobinę mleka! Więc powiadasz, że poważna! Widocznie źle spał w nocy. O, słuchaj, Joyce! Dostałam list od pani Jervis. Urządzają koncert we wsi i pytają, czy nie zechciałabym przyjąć udziału i zjawić się z moją gitarą, na której gram tak cudownie? Jak się na to zapatrujesz, Judy? Widocznie przycisnął ich brak pieniędzy!

- Widzisz Lilian, trudno mi dzisiaj dyskutować z tobą na jakikolwiek temat - odparła Joyce łagodnie. - Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak okropnie postąpiłaś wczoraj. Hildebrand...

- Ach, Hildebrand... Hildebrand... Hildebrand! Judy, jak jeszcze raz powtórzysz to imię, zastrzelę cię! On jest twoim nieszczęściem, nie moim! Jeżeli mnie nie lubi, to może z powodzeniem lubić kogoś innego. Wyniosę się do Rossingdon i przestanę być wreszcie kulą u nogi!

- Lilian! Lilian! Jak ty mówisz? - Joyce uczyniła ruch pełen przerażenia. - To już naprawdę...

- Przechodzi wszelkie granice! Wiem o tym! Zawsze taka byłam. Możesz być pewna, że nie ustąpię twemu szanownemu mężowi i nigdy nie zastosuję się do jego życzeń. Zamierzam urządzić się na swoich śmieciach, zagospodarować, chować prosięta i drób i żyć tak, jak inni ludzie żyją. Mam już dość tego gderania, a jak będę mieszkać sama, nikt nie będzie miał prawa się do mnie wtrącać.

- Moja droga, przecież nie możesz mieszkać zupełnie sama! - próbowała się sprzeciwić Joyce.

- Nie mogę? - Głos Lilian brzmiał stanowczo. - Poczekaj, a przekonasz się! Niewiele jest takich rzeczy, których bym nie mogła dokonać. Sądząc z tego co mówisz, mam wrażenie, że nadeszła chwila naszego rozstania. Uradowani będziecie, oglądając mnie z daleka! Proszę cię, nie zaprzeczaj. Będziecie szczęśliwi, nawet ty, najdroższa. Ponieważ nie mogę przełknąć ani jednej pigułki, podsunętej mi przez twego sympatycznego męża, więc rezygnuję i odchodzę w cichości ducha.

- Gdybyś ty chciała być poważniejsza! - westchnęła Joyce.

- Mówię zupełnie poważnie! - W zielonych oczach Lilian zabłyśły groźne ogniki. - Wybacz mi, ale nie warto robić z tego tragedii. Wierzaj mi, Judy, że ludzie nie znający prawdziwej tragedii, zazwyczaj robią najsmutniejsze twarze. Zauważyłam to już niejednokrotnie...

- Co ty wiesz o tragedii, moja droga? - pokiwała głową Joyce.

Lilian wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Moja droga siostrzyczko, co za myśli masz dzisiaj? Taka tragiczna nie byłaś już od dłuższego czasu. Przyznam, że jestem zmaltretowana, starta na drobny proszek. Otrząsnę się z tego jakoś. Pójdę i powiem Hildebrandowi, jak wspaniale mnie przygotowałaś do rozmowy z nim!

- Gdyby usłyszał twój wesoły śmiech - szepnęła Joyce - lękam się że byłby jeszcze bardziej zagniewany.

- Jak, u licha, ma mnie zamiar ukarać? - zapytała Lilian zaciekawiona. - Może zamierza zamknąć mnie w pokoju na dwa tygodnie o chlebie i wodzie? A może każe klęczeć mi na grochu w kącie?

- To nie jest temat do żartów! - zaprotestowała Joyce. - Postąpiłaś źle, Lilian, i sama wiesz o tym. Zachowałaś się nietaktownie wczoraj wieczorem względem państwa Tristram.

- Państwa Tristram! - Lilian otworzyła szeroko oczy. - O Boże! Względem państwa Tristram! Więc uważasz, że oni liczą się z postępowaniem takiej niepozornej istoty jak ja? Jeżeli to jest prawda, to zacznym wierzyć w znaczenie atomu na świecie!

- Nie rozumiesz, kochanie - oznajmiła Joyce patetycznie. - Byli naszymi gośćmi i należało ich traktować z szacunkiem. Zresztą mieliśmy zupełnie obcego gościa przy stole. Cóż on sobie mógł pomyśleć?

- Kto? Przyjaciel Sama? Ile razy spojrzałam na niego, wzrok miał utkwiony w twarzy Peggy. Wątpię, czy na moje postępowanie zwrócił w ogóle uwagę - oznajmiła Lilian, zajądając z apetytem szynkę. - Zresztą od razu nie miał nabożeństwa do towarzystwa. Sam uprzedził go.

- Lilian! Co ty mówisz? - cierpliwość Joyce wyczerpywała się powoli.

- Otóż właśnie! - zawołała Lilian wesoło. - Nic sobie nie robił z twoich gości, tak samo jak ja. Nie znoszę ludzi, którzy nigdy nie kłamią. Musiałabym się poświęcić, a każde poświęcenie męczy mnie ogromnie. Wiesz doskonale, że taki człowiek jak on potrafi się przystosować do warunków. Sam również. Sam...

- Moja droga, mówiąc to, nie myślałam o Samie - przerwała starsza siostra, zirytowana. - Nie myślałam również o poruczniku Croftonie, mówiąc, że obcego gościa mieliśmy przy stole, który był świadkiem twojego straszliwego nietaktu. Oprócz niego, Lilian, był ktoś ważniejszy, syn Lady Tristram. Widziałam, jak skrzywiłaś się, patrząc na niego w chwili, kiedy odchodziłaś od stołu.

- Ach! - Głos Lilian stawał się coraz weselszy. - Masz na myśli „milczącego bohatera"! Nie lubię go, kochanie. Nie polubię go nigdy. Oddałabym go za każdą cenę, a ty?

- Bardzo szlachetnie stanął w twojej obronie, gdyś już wyszła - zawołała Joyce z zapalem.

- Czyżby? Jakże ślicznie z jego strony! Zawdzięczam to chyba jego hrabiowskiemu tytułowi. Ciekawam, co mógł powiedzieć! Jeżeli starał się wytłumaczyć moje postępowanie, to głupio zrobił. Mówił prawdopodobnie o moim braku doświadczenia! - W oczach Lilian zapłonęły figlarne ogniki. - W każdym razie musiałam na nim wyrzeć wrażenie. Może wyraził swe uwielbienie dla mojej odwagi? Czy tak powiedział? Zresztą, co mnie to obchodzi! Ten jegomość nie interesuje mnie zupełnie. Odsuń marmoladę, najdroższa i zakończmy już tę ciekawą rozmowę! Dziękować mu na pewno nie będę. Ale co mam zrobić z tym koncertem? Przyjąć zaproszenie, jak myślisz, stara? Nancy dopiero by się ucieszyła, gdybym, zaproszenia nie przyjęła! Biedny Sam, dostałby się w krzyżowy ogień.

Po chwili Joyce z godnością podniosła się z krzesła.

- Muszę ci powiedzieć, Lilian - rzekła - że uważam cię za osobę pozbawioną serca i taktu i jestem pewna, że każda inna dziewczyna potrafi dać Samowi więcej szczęścia niż ty.

- Jakżebyś chciała, żebyś jego mogła przejąć tym przeświadczeniem - zawołała Lilian. - Moje usiłowania nie odnoszą żadnego skutku. Właściwie w stosunku do niego byłam wczoraj wieczorem najbardziej niemiła, bo przecież on był moim sąsiadem przy stole.

- Ale nie robiłaś do niego żadnych nieprzyjemnych min! - wybuchnęła Joyce, wychodząc z pokoju.

- Jakaż ja miałam minę? - mruknęła Lilian, gdy drzwi się za siostrą zamknęły. - Musiałam wyglądać jak Meduza, skoro wywarłam tak nieprzyjemne wrażenie. W każdym razie lepsze było to, niż gdybym miała zemdleć. Dzięki Bogu, nikt nie zauważył, jak bliska byłam tego!

Spojrzała na resztki śniadania i z obrzydzeniem odsunęła talerz. Do marmolady wpadła mucha i Lilian troskliwie wydobyła ją łyżeczką, po czym położyła na brzegu talerza.

- Jakaś ty głupia! - wyszeptała. - Wyratowałam cię, ale słodycz marmolady na pewno znowu cię pociągnie. Powinnam cię zabić, żebyś tym samym krócej cierpiała.

Wstała z krzesła i zapaliła papierosa. Twarz jej nagle postarzała, stała się dziwnie blada i wychudzona.

- Głupia! - powtórzyła. - Beznadziejnie głupia! Taka młoda i chciwa! Dziwię się, że bogowie pozwalają ci żyć z takimi przyklejonymi skrzydłami, którymi już nigdy fruwać nie będziesz mogła!

Niecierpliwie potrząsnęła głową i na twarzy jej znowu pojawił się uśmiech.

- A teraz przed oblicze sędziego! - zawołała, kierując się ku drzwiom zdecydowanym krokiem.

Gdy przechodziła przez hall, drzwi gabinetu szwagra otwarły się i on sam ukazał się na progu z ponurą twarzą, pragnąc widocznie przyłapać ją po drodze, w obawie, aby mu nie umknęła. Powitała go z niezwykłą serdecznością.

- Hallo, Hildebrand! Wszystkiego dobrego! Zdaje się, że mnie szukasz! Jestem!

- Tak, szukam cię - odparł Hildebrand groźnym głosem. - Proszę cię, wejdź!

Weszła tanecznym krokiem.

- Mój dobroczyńco! Cóż za straszna atmosfera! Długo nie będę tu mogła oddychać.

Czego sobie życzysz?

- Chcę porachować się z tobą - odparł Hildebrand.

- Porachować! - Lilian spojrzała nań, nie wyjmując papierosa z ust. - Czyż ja ci jestem coś winna?

- Tak - podchwycił surowo. - Odrobinę szacunku mnie i moim gościom. Szacunek ten powinno ci dyktować dobre wychowanie, którego niestety nie posiadasz.

- O, na pierwszy plan wysunąłeś siebie! - zauważyła Lilian. - Jeżeli tobie brak dobrego wychowania, to czego możesz ode mnie żądać?

- Nie mam zamiaru dyskutować z tobą - mruzczał Hildebrand. - Czasy dyskusji już dawno minęły.

- Dzięki Bogu! - podchwyciła Lilian. - Weźmy się do czegoś bardziej konstruktywnego.

- Poprosiłem cię tutaj i zamierzam mówić z tobą o pewnej kwestii. - Wskazał stojące pod oknem biurko. - Usiądziesz tu zaraz i napiszesz list, w którym przeprosisz za swe postępowanie Lady Tristram i jej rodzinę. List ten ja ci podyktuję.

- Sądzisz, że napiszę? - Oczy Lilian rozwarły się znowu szeroko i zapłonęły w nich diabelskie ogniki. - Dlaczegoż to mam przeproszać Lady Tristram i jej rodzinę, jeśli wolno zapytać?

Hildebrand uczynił ruch pełen zniecierpliwienia.

- Nie denerwuj mnie lepiej - zawołał. - Już i tak zbyt dużo miałem przez ciebie przykrości. Napisz ten list przed opuszczeniem tego pokoju.

- Napiszę? - przekomarzała się Lilian.

Podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

- Właściwie powinienem był cię uprzedzić - rzekł, wracając do biurka - że dzisiaj nie mam ochoty na żarty.

- Nie? - uśmiechnęła się znowu Lilian.

Podszedł do niej.

- Nie - zawołał z wściekłością. - Twoje wczorajsze zachowanie było zachowaniem nieznośnego dziecka i postanowiłem cię, jak nieznośne dziecko traktować, dopóki nie usiądziesz i nie napiszesz tego listu z usprawiedliwieniem.

- Więc ty mi grozisz? - zagadnęła Lilian.

Trzymała w ręku szpicrutę. Dostrzegła, że jego wzrok przez chwilę na niej spoczął.



- Tym razem musisz się zastosować do mojej woli. Poblążliwie patrzałem na twoje zniewagi, kierowane w moją stronę, lecz nie zniosę zniewag kierowanych w stronę moich przyjaciół. Musisz wybierać. Jeżeli w dwudziestym drugim roku życia chcesz się zachowywać, jak niesforne dwunastoletnie dziecko, to będę cię odpowiednio traktował i...

- Ach, bardzo cię przepraszam! - przerwała Lilian. - Tylko własne dzieci wolno ci wychowywać. Do mnie w ten sposób zwracać się nie masz prawa. Nawet w imieniu Lady Tristram i jej rodziny nie pozwolę sobie czynić takich uwag. - Ukazała dwa rzędy białych ostrych zębów jak rozgniewane zwierzątko.

- Radzę ci, nie przeciągaj struny - powtórzył.

Lilian powstrzymała głębokie westchnienie.

- Mój drogi, nie wiem, kto z nas tę strunę przeciąga. Boję się jednak, że niezręcznie wzięłeś się do rzeczy. Zaznaczam, że nie mam zamiaru pisać żadnych usprawiedliwień do nikogo i nie mam zamiaru przyjmować twoich nieprzyjemnych uwag ani też ze skrucą oczekiwać kary. Zamiary moje przedstawię ci, jeżeli pozwolisz.

Hildebrand oddychał głęboko. Był przygotowany na inny obrót sprawy, lecz ta dziewczyna, stojąca przed nim nie okazywała ani odrobiny skruchy. Wybijała palcami takt marsza na rękojęści szpicruty i zdawała się czekać na odpowiedź.

On milczał czas jakiś. Może chciał odzyskać równowagę i wynaleźć jakiś sposób na nią, lecz nic mu jakoś na myśl nie przychodziło. Wreszcie odezwał się przytłumionym nieco głosem:

- To, co masz zamiar uczynić, jest w danej chwili nieaktualne. Moje zamiary muszą się zrealizować. Siadaj i pisz, to co ci będę dyktował! Słyszysz! Siadaj natychmiast.

Wzruszyła ramionami, obserwując wzrastający jego gniew.

- Nie bądź głupi! - rzekła.

- Głupi! - Tym razem głos jego stał się charkotliwy. Chwycił ją za rękę. - Lilian! Czy ty słyszysz? Siadaj! - wybuchnął.

Palce jego zacisnęły się dokoła jej dłoni jak kleszcze. Twarz mu nabiegła krwią i zbliżyła się do jej twarzy. Ogarniała go pasja, jakiej jeszcze u niego nie widziała, ta jednak nie okazała lęku i patrzała mu prosto w oczy. Oczy te rzucały błyski wściekłości. Sprawiały wrażenie oczu dzikiego, rozjuszonego zwierzęcia. Nagle całkiem nieoczekiwanie, jakby instynktem jakimś wiedziony, wypuścił jej rękę z kleszczowego uścisku i odsunął się nieco.

W jej zachowaniu nie widać było ani odrobiny lęku, jakby to wszystko, co się działo, uważała za zwykłą zabawę. Usiadła na krawędzi biurka, gdy on tymczasem nie mógł opanować gniewu. Począł biegać po pokoju, a gdy znalazł się po przeciwległej stronie, usłyszał całkiem spokojny jej głos:

- Serdecznie dzięki za łaskawą wytrzymałość! Pozwolisz, że pójde teraz i zapakuję manatki. Ucieszy cię chyba wiadomość, że jadłam dziś ostatnie śniadanie w twoim domu.

Zbliżył się do niej z nowym wybuchem wściekłości.

- Ty piekielnico! - zawołał przyduszonym z pasji głosem.

Zaśmiała się.

- Możesz przeprosić Lady Tristram w moim imieniu, jak również jej rodzinę, lecz obawiam się, że z napisania tego listu nic nie będzie. Chciałam ci podziękować za twoją dobroć, której okazałeś mi tak wiele i przeprosić za wszystkie zmartwienia, jakie miałeś z mego powodu, wprowadzając mnie do tak znakomitego towarzystwa.

- W którym nie będziesz już przebywać przez całe życie - wybuchnął Hildebrand.

- Możliwe, że nie - przyznała. - Ale to tylko ja się powinnam martwić, nie ty. Wiesz, że nie wymagam przeprosin za twój sposób zwracania się do kobiety. Niewątpliwie czynisz tak, jak ci nakazuje twoje dobre wychowanie. Z tego względu mam chyba prawo prosić, abyś się do mnie nie wtrącał. Pozwolisz, że pożyczę od ciebie powóz, bo chcę nim przewieźć wszystkie swoje rzeczy na dworzec. Więcej już z twoich łaskawych usług korzystać nie będę.

Z tymi słowami wstała. Hildebrand biegał po pokoju jak rozjuszony zwierzę i nawet nie patrzył w jej stronę.

- Mam wrażenie, żeśmy sobie już wszystko powiedzieli - zauważyła po chwili. - Zresztą, nigdy nie oszczędzaliśmy się wzajemnie, prawda? Trzeba przyznać, że zawsze byliśmy skrajnymi oponentami. Mam nadzieję, że tak prędko nie spotkamy się w życiu, zresztą prawdopodobnie będziemy się unikać. Teraz już idę.

Przeszła przez pokój swobodnym krokiem. Stała przy drzwiach i odwróciła się.

- Proszę o klucz!

Wyciągnął klucz z kieszeni i wściekłym ruchem rzucił go jej pod nogi. Pasja ogarniała go coraz większa. Schyliła się obojętnie i klucz podniosła.

- Dziękuję - odparła krótko i otworzywszy drzwi, wyszła krokiem pełnym godności.

Pobiegła wprost do swego pokoju i zamknęła się na klucz. Spokój teraz ją opuścił. Przysiadła na krawędzi łóżka i poczęła drżeć cała.

- Jakże ja nienawidzę mężczyzn! - szeptała namiętnie. - Och, jakże ja ich nienawidzę!  
- A potem z głuchym szlochem ukryła twarz w dłoniach i upadła na poduszki. - Wszystkich, oprócz ciebie, mój Czarny Rycerzu! - szeptała. - Wszystkich oprócz ciebie, którego nigdy więcej nie zobaczę!

TLR

# ROZDZIAŁ VII

## Zapaśnik

Joyce nie mogła opanować zdziwienia, gdy w godzinę potem ujrzała majora Bullivanta, jadącego konno w stronę ich domu. Była już w pokoju Lilian, lecz ta nie chciała jej drzwi otworzyć, a Hildebrand odmówił wszelkich wyjaśnień, gdy go pytała, co zaszło między nim i siostrą. Zdenerwowana Joyce udała się do swego buduaru i tam w samotności rozmyślała o postępkach niepoprawnej kapryśnicy.

Teraz pobiegła do męża z wiadomością o zbliżającym się gościu.

- Pozwolisz, żeby Lilian była przy śniadaniu, oczywiście, jeżeli zdołam ją do tego namówić - prosiła. - Będzie to dla niej sposobność naprawienia wczorajszego nietaktu. Położyłam wielkie nadzieje w majorze Bullivancie. Jakże to było ładne, że stanął w jej obronie.

- Przyjechał, żeby obejrzeć psiarnię - mruknął Hildebrand chłodno. - Może lepiej będzie, gdy ci od razu powiem, że twoja siostra zamierza opuścić nasz dom i sądzę, że będzie to najlepsze wyjście z sytuacji.

- Hildebrand! - Okrzyk przerażonej Joyce nastąpił w tej samej chwili, kiedy otworzyły się drzwi, którymi wszedł major Bullivant. Zapomniała teraz zupełnie o jego przybyciu. - Przecież nie chcesz powiedzieć... Żeś ją wypędził!

Hildebrand, zwrócony plecami do drzwi, nie zauważył wejścia gościa.

- Nie mówię tego i nawet o tym nie myślałem - odparł. - Proszę cię, nie czyń z Lilian prześladowanej bohaterki. Jeżeli chce się wyprowadzić, to nie ma potrzeby zatrzymywać jej, ani też zastanawiać się głębiej nad tym jedynym jej rozsądnym czynem. Umywam od tego wszystkiego ręce.

- Ależ. Hildebrand, najdroższy, co ona robi? Dokąd pójdzie? Przecież nie ma żadnej możliwości! - zaprotestowała Joyce z rozpaczą.

Podświadomie zdawała sobie sprawę z obecności gościa, lecz była zbyt zdenerwowana, aby zwracać na to uwagę.

- To już jest jej rzecz - rzekł Hildebrand niewzruszony. - Tak chce uczynić, a ja nie biorę za to żadnej odpowiedzialności. Gotowa jest na wszystko i może robić, co jej się żywnie podoba, pójść dokąd chce, byleby tylko nie stawała na mojej drodze.

- Och, mój drogi, mój drogi! - jęczała Joyce. - To przecież zrujnuje dziewczynę o takim temperamentcie. Nie mógłbyś jeszcze ten jeden raz jej przebaczyć? Dla szczęścia naszych dzieci. Hildebrand, przebacz jej ten jeden raz tylko! Przecież wkrótce wyjdzie za mąż. Sądzę, że to niedługo nastąpi. Nie chcesz chyba marnować jej życia, prawda?

- Wątpię, czy byłoby to w mojej mocy - odburknął Hildebrand ponuro. - W każdym razie inicjatywa wyszła z jej strony, a jest już w tym wieku, że może się rządzić własną decyzją. Nie jest ani biedna, ani bezdomna. Co do małżeństwa, to trudna będzie sprawa, jak ci już mówiłem wczoraj. Wątpię, czy znajdzie się taki głupi, który...

W tej samej chwili odwrócił się na krześle i nagle porwał się na równe nogi.

- Major Bullivant! Nie miałem pojęcia! Pan mi wybacz!

- Przepraszam za nieoczekiwaną wizytę! - rzekł Bullivant, podchodząc bliżej. - Dzień dobry, Mrs. Courtenaye! Lękam się, że przyszedłem za wcześnie, ale...

Usiłował dyskretnie nie dostrzegać łez w jej oczach, lecz biedna Joyce nie miała już siły ukrywać przed gościem swego zdenerwowania. Uścisnęła mu gorąco rękę.

- Tak mi przykro - wyszeptała - tak mi przykro!

- Obawiam się że się zjawiłem w nieodpowiedniej chwili - rzekł Bullivant.

- Ach nie - zaprzeczyła - nie! Zawsze pan jest mile widziany. To tylko... tylko...

- Żona jest zdenerwowana z przyczyny wczorajszego nietaktu swej siostry - wtrącił Hildebrand. - Chciałem ją doprowadzić do opamiętania dziś rano, lecz niestety bezskutecznie. Dzisiaj postanowiła opuścić nasz dom.

- Ale chyba nie z powodu wczorajszego incydentu - odezwał się Bullivant. - Ja raczej podziwiam ten jej swobodny nietakt, który był skierowany do nas wszystkich.

- Tak! Widziałam to! - zawołała Joyce ze łzami. - Nie była to znów taka zbrodnia, za jaką mój mąż ten czyn uważa. Polowała przez cały dzień i była ogromnie zmęczona. Jestem pewna, najzupełniej pewna, że pan jest zbyt szlachetny, aby potępiać taki niefortunny krok.

- Och, ja nigdy nikogo nie potępiam - odparł Bullivant. - Sam jestem zbyt wielkim grzesznikiem. Jeżeli zdanie moje będzie tu miało jakieś znaczenie, to proszę zwolnić pannę Lilian z wszelkiej odpowiedzialności!

- Lękam się, że to jest niemożliwe - wtrącił Hildebrand.

- Lecz nie przypuszczam, aby za to skazana została na banicję - zauważył Bullivant z uśmiechem. - Choćby ze względu na to, że wszyscy bylibyśmy ogromnie zmartwieni.

Uśmiech jego był ogromnie miły i Joyce pod wpływem tego uśmiechu nabrała otuchy i otarła łzy. Hildebrand jednak potrząsnął głową w uporczywym przeczeniu.

- Ten krok jest jej własną inicjatywą - rzekł - a ja nie mam na nią najmniejszego wpływu. Dotychczas poczuwałem się do obowiązków względem niej, lecz odpowiedzialność moja musi się kiedyś skończyć i przyznam, że nie sprawia mi to przykrości. Chodźmy. Przyjechał pan, aby obejrzeć psiarnię. Zaraz pana tam zaprowadzę.

- Więc pozwolisz jej się wyprowadzić! - zawołała Joyce z rozpaczą, widząc, że traci ostatnią deskę ratunku. - Chcesz naprawdę, aby zamieszkała sama w tym strasznym, opuszczonym domu w Rossingdon! I do tego dzisiaj, w niedzielę!

Hildebrand zachmurzył się.

- Nie mam zamiaru jej do tego zmuszać - odparł. - Wyprowadza się na własne życzenie.

Joyce załamała rękę.

- To tylko przez dumę. Zmuszona była do tego. Ona się poprawi, na pewno się poprawi.

- Moja droga - zawołał Hildebrand niecierpliwie - dość już mam tego tematu. Dalsza dyskusja do niczego nie doprowadzi. Jako pan domu podałem warunki twej siostrze. Nie przyjęła ich, więc musi się wyprowadzić. To wszystko.

Uważał rozmowę za skończoną, lecz ku wielkiemu jego zdziwieniu Bullivant wszczął ją na nowo. Może żal mu się zrobiło gospodyni, a może miał inne powody, dość, że zabrał głos w tej sprawie.

- Państwo wybaczą - odezwał się - ale sądzę, że nie wezmą państwo za złe znajomeму, który interesuje się tą sprawą. Czy niemożliwe byłoby pójść na jakiś kompromis?

- Co? - zapytał Hildebrand.

Zatrzymał się przy drzwiach lustrując gościa od stóp do głowy, przejęty zdziwieniem i ciekawością.

Joyce złożyła rękę błagalnie. Bullivant uczynił ruch pojednawczy.

- Gdyby pan okazał w tej sprawie trochę dobrej woli - rzekł - może by pan znalazł jakiś sposób? Bez wątpienia panna Devereux oceni to tak samo, jak my wszyscy.

- Co? - powtórzył Hildebrand.

Coś dziwnego kierowało tym człowiekiem. Każde jego słowo posiadało nader ważne znaczenie. Bullivant uśmiechał się, lecz widać było, że mówił poważnie. Kierował nim jakiś cel.

- Zresztą, nie należy tej sprawy brać tak tragicznie. Panna Lilian sama wreszcie zrozumie, nie różni się przecież niczym od innych kobiet.

- Pan, zdaje się, zna dobrze kobiety - zauważył Hildebrand.

Bullivant roześmiał się.

- Wyznaję, że wiem o nich wiele - rzekł swobodnie. - Panna Lilian jest oryginalna, a w dzisiejszych czasach u młodych kobiet to rzadkie. Wszystkie uważają się za oryginalne, lecz to tylko pozór. Panna Devereux naprawdę jest oryginalna, chociaż się o to nie stara.

- Jest diabelnie niedelikatna - zawołał Hildebrand.

- Czyż to ma takie znaczenie w dzisiejszych czasach - odezwał się znów major. - Ja osobiście wolę otwartą bezczelność, od zawołanego fałszu. To jest uczciwe.

- Ach, naturalnie! - dorzuciła Joyce z zapalem. - Lilian zawsze postępuje uczciwie. Major Bullivant ma słuszość, Hildebrandzie. Z chwilą, gdy pan major stanął tak szlachetnie w jej obronie, to chyba mogę powiedzieć jej, że i tym razem uzyskała twoje przebaczenie?

- Powiedziałem ci już, że to było jej własne życzenie - odparł mąż.

- Tak, tak, ale mogę jej wyperswadować ten zamiar, oczywiście za twoim pozwoleniem. Czy mam twoje pozwolenie, Hildebrand? - spojrzała nań oczami pełnymi łez. - Pomyśl, co by z tego mogło wyniknąć! Pomyśl!

Bullivant dyskretnie odszedł do okna, aby dać tym samym sposobność pani domu uzyskania od męża pozwolenia. Hildebrand, chociaż ciągle jeszcze nachmurzony, zdawał się jednak być skłonny do uległości. To, że Lilian posiadała pewien kobiecy powab, stało się dlań teraz jasne, choć sam nigdy tego nie dostrzegął.

Stał niezdecydowany między dwiema możliwościami, choć nienawiść do Lilian wzrastała w jego duszy ze wzmożoną siłą. Jeżeli Bullivant był istotnie pod wrażeniem tej dziewczyny, to bezwzględnie lepiej było znieść jeszcze jakiś czas te przykrości niż pozbywać się Lilian z domu. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że wreszcie mogły się ziścić jego skryte marzenia, aby Lilian wyszła za mąż, a wówczas cała odpowiedzialność spadłaby na barki męża. Tym bardziej, że major Bullivant nie był takim idiotą jak Sam Gregory. Potrafi ująć



Lilian w żelazne kleszcze swej woli i zdoła może przeobrazić ją w stateczną kobietę. Hildebrand marzył o tym, aby ujrzeć kiedyś Lilian słuchającą czyichś rozkazów.

Prawdopodobnie ta ewentualność skłoniła go do tego, że uległ. Uczynił niecierpliwy ruch znudzenia.

- Ach, czyń, jak uważasz! - rzekł. - Nie mam zamiaru maltretować jej. Ale pamiętaj, że to, co było wczoraj wieczorem, nie może się już powtórzyć przy moim stole. Wytłumacz jej to całkiem jasno. Jeżeli nie przyjmie tego warunku, to może się wyprowadzić...

- O nie, nie! - zawołała Joyce. - Już wiem, w jaki sposób jej to wyperswadować. Pozostaw to mnie, kochanie! Jestem pewna, że nigdy tak się już nie zachowa. Majorze Bullivant, nie wiem, jak panu mam dziękować za tyle okazanej dobroci!

Bullivant odwrócił się od okna, aby z uśmiechem przyjąć wyrazy wdzięczności gospodyni.

- Przyznaję, że niewielkie są moje zasługi - odparł. - Jestem jednak pewny, że moja matka również nie życzyłaby sobie, zbyt srogiej kary dla winowajczynie. Zobowiązuję się wytłumaczyć mojej matce całą sprawę. Ale mam nadzieję, że państwo pozwolą zostać panie Devereux w swoim domu? Tak mało mamy młodzieży w naszych stronach.

- Och, ja jej to wyperswaduję - zawołała znowu Joyce, ocierając resztki łez. - Powiem jej, że wszystko zawdzięcza pańskiej interwencji.

- Nie, tego proszę nie robić! - zaprotestował. - Nigdy by mi tego nie wybaczyła. Byłaby to zbyt wielka odpowiedzialność dla mnie.

Joyce zaśmiała się.

- Przyrzekam nie sprawiać panu przykrości - rzekła. - Ale nigdy nie zapomnę panu okazanej dobroci i jeżeli będę mogła się czymś odwdzięczyć, to proszę liczyć na mnie.

Uklonił się.

- Dobroć jest tylko po pani stronie - odparł rycersko. - Proszę jeszcze, aby nie wywierała pani żadnego wpływu na swą siostrę! Sam stanę do walki, wygram albo przegram.

Uśmiechem swym zawojował ją zupełnie. Przez chwilę nawet zazdrościła Lilian takiego rycerskiego szermierza, który stawał z nią do walki. Która dziewczyna mogłaby mu się oprzeć, myślała. Widoczne było, że major pragnie cały ten incydent zachować w tajemnicy i Joyce z głębokim westchnieniem musiała zadośćuczynić jego życzeniu.

- Dobrze, mam nadzieję, że pan wróci do nas na śniadanie - rzekła, wychodząc z pokoju.

Uśmiechnął się znowu, dziękując za zaproszenie, nie mówiąc jednak nic, że je przyjmuje.

## ROZDZIAŁ VIII

### Twarda jak żelazo

- Lilian, kochanie, musisz mnie wpuścić! Musisz!

Z zapartym oddechem Joyce wypowiedziała te słowa, stojąc przed zamkniętymi drzwiami pokoju siostry, aż błagania jej wreszcie odniosły skutek. Lilian otworzyła drzwi i przyjęła ją niezdecydowanym uśmiechem.

- To już wejdz! - rzekła. - Ale uprzedzam cię, że muszę wyjść zaraz. Postanowiłam pójść na dworzec i załatwić sprawę mego bagażu. W niedzielę zawsze są z tym większe trudności. Słyszałaś, że się wyprowadzam, prawda? Proszę cię, nie rób z tego tragedii, bo ja tą perspektywą jestem ogromnie uradowana. Chciałabym tylko zabrać z sobą moją klaczkę San Toy, bo strasznie się do niej przywiązałam. Będę sobie na niej jeździć po okolicy. Wygodniejsze to niż powóz i mniej będę miała kłopotu.

- Lilian, ty nie wyjedziesz! - wybuchnęła Joyce. - Właśnie w tej sprawie chciałam z tobą pomówić. Hildebrand pragnie, abyś została pod warunkiem, że tamte rzeczy nigdy się już nie powtórzą. - Otoczyła ramionami szyję Lilian. - I zostaniesz, kochanie, bo ja tego bardzo pragnę. A wiesz, wiesz, że jest jeszcze ktoś, komu na tym bardzo zależy? To tajemnica, naturalnie. Ale mówię ci szczerą prawdę!

- Kogo masz na myśli? - zapytała Lilian.

Stała nieruchomo nie broniąc się przed pieszczotami, jakby pozbawiona zupełnie własnej woli. Spoglądała na Joyce szeroko otwartymi oczami...

- Co do ciebie, to domyślałam się, jaką przykrość sprawiła ci wiadomość o moim wyjeździe - dorzuciła po chwili. - Ale komu jeszcze na tym zależy? Może Sam?

- Nie, dziecino, nie? Nie Sam! Ktoś o wiele bardziej interesujący od Sama. - Joyce przytuliła się do niej jeszcze mocniej. - Miałam na myśli majora Bullivanta. Przyjechał wła-

śnie, aby obejrzeć psiarnię. Gdy usłyszał, że zamierzasz się wyprowadzić, a byliśmy właśnie w trakcie rozmowy o tym, całkiem niedwuznacznie dał nam odczuć, że pragnąłby, abyś została. Naprawdę, Lilian, z wyrazu jego oczu wywnioskowałam, że się interesuje tobą. Zaprosiłam go na śniadanie. Pomyśl tylko, dziecinko! Major Bullivant! Wicehrabia!

- Milczący bohater! - dodała Lilian.

- Ja wcale nie żartuję! - zgromiła ją Joyce spojrzeniem. - Ten człowiek posiada w sobie naprawdę coś bardzo interesującego.

- Czy wielkie nadzieje w nim pokładasz? - uśmiechnęła się Lilian.

- Jestem pewna, że Hildebrand też się tak na to zapatruje - ciągnęła dalej Joyce, udając, że nie dostrzega ironii siostry. - Gdybym była na twoim miejscu, cieszyłabym się jak małe dziecko na samą myśl, że taki człowiek mógł się mną zainteresować.

- Biedna Judy! - szepnęła Lilian, składając na jej policzku pocałunek. - Wierzę ci.

- Więc zostajesz i obiecujesz poprawę? - domagała się Joyce. - Jestem taka zdenerwowana tym wszystkim, że nawet do kościoła nie poszłam dzisiaj rano. Bardziej martwię się o ciebie niż o własne dzieci. Taki mnie ogarnia niepokój o twoje szczęście.

- Jesteś dla mnie za dobra - rzekła Lilian. Objęła Joyce ruchem pełnym serdeczności. - Niepotrzebnie się denerwujesz - wyszeptwała. - Nie jestem warta tego. Zawsze ci to mówiłam. Jestem pewna, że Hildebrand zdaje sobie z tego sprawę. Nie mogłabym żyć z nim w zgodzie, Judy. I dlatego lepiej mnie nie namawiaj. Zaakceptuj to i pozwól mi wyjechać. Czeka na mnie stary kochany dwór w Rossingdon, a tak już stęskniłam się za nim.

- Ach, ale ty nie możesz, nie możesz tam sama mieszkać! - zaprotestowała Joyce. - To niemożliwe, Lilian. To nie wypada. Czyż nie rozumiesz, że to byłoby niemożliwe?

- W dzisiejszych czasach niemożliwość nie istnieje - rzekła Lilian.

- Ależ, dziecinko, nie możesz sama mieszkać! - Joyce spoglądała na nią błagalnym wzrokiem. - Nie rozumiem, jak ktoś może się zdobyć na zupełną samotność! Stanowczo poroniony pomysł, a przecież ty jesteś rozsądna. Zresztą dwór w Rossingdon jest zupełnie nieodpowiedni na mieszkanie. Jestem pewna, że to jest ruina. Fundusze twoje wystarczy ci mogą ledwie na utrzymanie. O przeprowadzeniu naprawy mowy być nie może.

- Znajdę tam jakiś kącik, w którym będę mogła zamieszkać.

- Nie, maleńka! Nie myśl o tym! - zawołała ze łzami Joyce. - Zostań z nami i staraj się, aby nam było dobrze razem. Mam wrażenie, że czeka cię większe szczęście niż marzy-

łaś, a ja tak pragnę twego szczęścia, Lily. Byłam może trochę złośliwa dla ciebie dziś rano, ale wierz mi, że powodem tego były moje nerwy.

- Droga moja siostrzyczko! - zawołała nagle Lilian, a w oczach jej ukazały się łzy. - Jestem taka podła!

- Nie potępiaj się! - prosiła Joyce. - Nikt cię taką nazwać nie może, nawet tobie samej tego zabraniam! Więc sprawa załatwiona, prawda? Zostajesz i wszystko będzie w porządku. Przrzeknij, że zostaniesz!

Lilian powstrzymała wybuch śmiechu.

- Sądzę, że lepiej będzie, jak sobie pójdę - wyszeptała. - Nie będę mogła chodzić swobodnie po tym domu, zresztą bardzo pragnę zobaczyć stary Rossingdon i zamieszkać tam.

- Ale nie sama, kochanie, nie bez opieki! - mówiła Joyce z zapalem. - Nie należysz do tego typu dziewcząt, które mogą mieszkać same. Masz zbyt wielki temperament.

Lilian uczyniła ruch zniecierpliwienia.

- Sądzę, że to jest bardziej niebezpieczne dla ciebie niż dla innych - odparła Joyce z prostotą. - Ale nie myśl już o tym! Zostań z nami, a zobaczysz, że szczęście samo przyjdzie!

- W każdym razie nie w takiej formie, w jakiej ty sobie to wyimaginowałaś - rzekła Lilian. - Ale nie chcę cię martwić, Judy. Jesteś taka dobra, za dobra na obecne czasy. Mam wrażenie, że będę jednak grała na gitarze na tym wiejskim koncercie. Ciekawa jestem, czy i Sama zaprosili.

W ten sposób nieznacznie zmieniła temat rozmowy, jakby tamta dyskusja została wyczerpana, Joyce westchnęła z ulgą. Lilian spojrzała na nią.

- Biedna siostrzyczko! Masz strasznie dużo zmartwień przeze mnie! Wypij szklaneczkę wina, to ci dobrze zrobi! Przyjdę do ciebie, jak nabiorę lepszego humoru. Te rodzinne niesnaski stanowczo nie należą do przyjemności, nieprawdaż. Bezwarunkowo należy z nimi skończyć.

Wybuchnęła wesołym śmiechem, wychodząc wraz z siostrą z pokoju.

- Nigdy nie widziałam podobnie lekkomyślnej istoty jak ty - zauważyła Joyce, gdy znalazły się na korytarzu.

- To prawdziwy dar od Boga, kochanie - odparła Lilian poważnie. - Uprzedzam cię, że na śniadaniu nie będę. Tego stanowczo odmawiam. Nie byłabym sobą w takich warunkach. Bardzo mi przykro, ale nie mogę.

- Jaka szkoda! - westchnęła Joyce, lecz po chwili twarz jej się rozjaśniła. - Mniejsza o to jednak. W końcu tygodnia ma być bal myśliwski, tańce odbędą się na świeżym powietrzu.

- Istotnie! - przyznała Lilian. - Spotka się całe dobrane towarzystwo. Przypuszczam, że jutro będę musiała pojechać do matki Jervis. Nie wiem sama po co nauczyłam się grać na gitarze. Jakiś dialog z Samem byłby o wiele ciekawszy. Zastanawiam się nad tym, czy... - Urwała nagle.

- W każdym razie nie z Samem! - zaprotestowała Joyce.

- Dlaczegoż by nie? Czyż nie mówiłam ci, że zawsze bardzo lubiłam Sama? Myślę, że on by się do tego raczej nadawał. Ma głowę na karku, jak wiesz i nie odważyłby się pocałować mnie w nieodpowiedniej sytuacji.

- Lilian! Jak możesz myśleć o całowaniu Sama Gregory, skoro nie przyjęłaś jego oświadczyn? - zapytała Joyce ze zgorzaniem.

Lilian wybuchnęła śmiechem.

- O, często myślę o jeszcze gorszych rzeczach. Niekoniecznie zaraz musi mnie całować. Ale sądzę, że to byłoby całkiem przyjemne. Muszę się z nim zobaczyć i pogadać na temat jakiejś sztuczki. A teraz koniecznie muszę już wyjść, bo oszaleję. Wrócę wieczorem, Judy, lecz nie czekaj na mnie. Zamierzam cały dzień spędzić na wsi, w zupełnej samotności.

Odeszła z uśmiechem na ustach i z figlarnymi iskierkami w oczach, które siostra jej uznała za objaw najbardziej niebezpieczny.

W pół godziny potem jechała już na swej ulubienicy San Toy szeroką aleją parkową, nie zdając sobie sprawy, że z daleka obserwowana jest przez szwagra i majora Bullivanta, którzy wychodzili właśnie z psiarni.

- Oto nasza heretyczka! - zawołał Hildebrand.

Bullivant przystanął i spoglądał za dziewczyną z ciekawością, aż wreszcie zniknęła mu sprzed oczu na zakręcie alei. Twarz miał spokojną, gdy po chwili zwrócił się do gospodarza.

- Lubię patrzeć na taką amazonkę - rzekł.

- O, jeździ konno doskonale - przyznał Hildebrand.

- Jak prawdziwa sportsmenka - odparł Bullivant w zamyśleniu.

- Zniesie każdą niewygodę bez płaczu.

- Nigdy jeszcze nie widziałem jej płaczącej - rzekł Hildebrand.
- Jest twarda jak żelazo.
- A może to tylko pozory? - wyszeptał Bullivant.

## ROZDZIAŁ IX

### Jednoaktowa komedia

Sam Gregory w zamyśleniu czyścił troskliwie dubeltówkę. Już dwa dni minęło od owego wieczoru, kiedy ze swym przyjacielem Jackiem Croftonem był na przyjęciu w domu państwa Courtenaye. Jack przyglądał się teraz Samowi, siedząc niedbale w staroświeckim głębokim fotelu.

Nic wspaniałego ani imponującego nie było w mieszkaniu Sama. Zajmował mały domek, który nabył wraz z farmą przed osiemnastu miesiącami i od tego czasu mieszkał już tutaj stale. Zajmował się specjalnie hodowlą drobiu i zawsze opowiadał z dumą, że posiada nawet własną parę koni. Jedyne służące który spełniał tu obowiązki szofera, rządcy, ogrodnika i lokaja, był żonaty, a żona jego prowadziła gospodarstwo i gotowała. Sam Gregory osobiście więc nie miał zbyt wiele zajęcia. Rzeźbił trochę dla zabicia czasu i zajmował się przeważnie sobą, jak sam twierdził. Powołaniem jego była służba wojskowa, lecz przykry wypadek w najwcześniejszych latach młodości spowodował, że Sam do wojska nie został przyjęty. Teraz już za późno było wybrać sobie jakikolwiek zawód. Czuł się fizycznie zupełnie dobrze i nie potrzebna mu była żadna specjalna kuracja. Był jedynakiem, a gdy rodzice umarli, pozostawiony został samemu sobie. Z natury wesoły, nie przejmował się zbyt niczym. Podróżował dość dużo i dopiero w ostatnich czasach zapragnął osiedlić się gdzieś na stałe. Całkiem przypadkowo znalazł się pewnego dnia w okolicach Courtenaye Hollow i w jakiejś przydrożnej gospodzie usłyszał o małej farmie Chinnery, którą wkrótce nabył.

Podczas pierwszego roku dołożył wielu starań, aby farmę tę doprowadzić do takiego stanu, żeby mógł na niej z zyskiem gospodarować. Polubił to miejsce i polubił okolicznych mieszkańców. Zawsze miał słabość do włościan, toteż wkrótce zaprzyjaźnił się z nowymi



sąsiadami. Nikt z okolicznych mieszkańców nie miał żadnych uraz do Sama Gregory. Posiadał usposobienie wybitnie pokojowe.

Znany był ze swej łagodności i dobroci serca, co prawdopodobnie, również całkiem mimo woli, wpłynęło na to, że i Lilian go polubiła.

W oczach Jacka Croftona, spoglądającego z wysokości swego fotela na zajętego czyszczeniem broni Sama, malowała się pełna przywiązania serdeczność. Obydwaj z Samem spędzili wiele lat wspólnie jeszcze za czasów szkolnych i byli prawdziwymi przyjaciółmi, nie mając przed sobą żadnych prawie tajemnic. Zazwyczaj część urlopu Jack spędzał w towarzystwie Sama.

- Jesteś śmiesznym starym osłem - rzekł Jack w pewnej chwili, pykając wciąż trzymaną w zębach fajkę. - Wszyscy lekceważą cię i ty na to pozwalasz.

Sam chrząknął. Temat ten nie był mu miły.

- Masz dziwny sposób - rzekł Jack. - Grasz zazwyczaj w otwarte karty, a przecież żadna dziewczyna nie zgodzi się wyjść za mąż za takiego osła.

- Nie? - zdziwił się Sam.

- Oczywiście, że nie. Szczególnie dziewczyna tego typu. Zbierz karty, chłopcze i zagraj nowym nieoczekiwanym sposobem! Zdobądź się względem niej na coś nowego! Jest to jedyne dla ciebie wyjście.

- Nie lubię ludzi przerażać - odparł Sam, czyszcząc z zapalem dubeltówkę. - Codziennie mi to powtarzasz i według ciebie mężczyzna powinien czynić coś, nie wiadomo co, gdy się chce podobać kobiecie.

- Tylko w ten sposób zdobywa się kobiety - przekonywał go Jack.

- Ale sposób ten mi nie odpowiada - mruknął Sam. Jack na chwilę wyjął z ust fajkę.

- Widzę, że podczas ostatniego roku nie nabrałeś ani odrobiny doświadczenia - zauważył po chwili. - Gdybym cię nie znał tak dobrze, sądziłbym, że nie potrafisz nic brać poważnie.

Sam uśmiechnął się.

- O, jestem bardziej doświadczony niż rok temu - odparł. - Tyś jej nie znał przed rokiem.

- To prawda - potwierdził Jack. - Ale nie mogę sobie wyobrazić większej obojętności niż ta, którą ci okazała podczas ostatniego przyjęcia.



- Nie twierdzą, że jest we mnie zakochana - rzekł Sam. - Wiem, że nie zakocha się nigdy.

- Skłonny jestem przyznać ci słuszość - rzekł Jack sucho.

Sam podniósł głowę.

- Ależ ja wcale od niej tego nie żądam. Być w kimś zakochanym to bardzo niebezpieczna zabawa. Dobra jest ona dla takich ludzi jak ty. Ty nigdy nie patrzysz na życie poważnie, nigdy nie chcesz doprowadzić do ostateczności. Ja jestem inny.

- Czy wiesz dokładnie, czego pragniesz? - zapytał Jack z pełnym sarkazmu podejrzeniem.

- Najdokładniej - odrzekł Sam. - I zdobędę to, czego pragnę powoli.

Jack zaśmiał się impertynencko.

- To prawdopodobnie bardzo długo będziesz żył - zawołał. - A jak z tą obietnicą, że zabierzesz mnie do państwa Gillespie? Czyś myślał o spełnieniu jej?

- O tak - odparł Sam. - Przyrzekłem pani Gillespie kilka świeżych jaj do wiejskiego szpitala. Zabierzemy je z sobą.

- Oby twoja filantropia została nagrodzona! - mruknął Jack, podnosząc się z fotela. - Myślałem, że znów będziesz chciał odłożyć tę wizytę.

- To tylko wina moich kur - tłumaczył Sam - chociaż przez cały ostatni rok sprawowały się nadspodziewanie. Poczekaj, pójdę po jajka.

Wyszedł, pozostawiając samego przyjaciela, na którego twarzy ukazał się teraz pełen ironii uśmiech.

- Głupi chłopcze! - rzekł do siebie. - Jeżeli sądzisz, że cierpliwością i czekaniem zdobędziesz tę dziewczynę, to się mylisz, albo ja zupełnie nie znam się na kobietach.

Po kilku minutach Sam wrócił, a w pół godziny potem siedzieli już obydwaj w małym aucie Sama i ruszali w drogę.

- Nie bardzo wierzę w to, aby jajka dojechały w całości na miejsce przeznaczenia - rzekł w pewnej chwili Jack, trzymając oburącz paczkę powierzona mu przez Sama.

- Zależy to od tego, jak są zapakowane - odparł Sam. - Osobiście je pakowałem i jestem pewny, że dojadą.

Farma Chinnery oddalona była o milę od Courtenaye Hollow, a dwuosobowy samochód Sama przyzwyczajony był do szybkiej jazdy. Przemknęli szeroką wiejską drogą,

kierując się do domu doktora, położonego na samym końcu wsi. Tuż przed domem spotkali doktora, nadjeżdżającego z przeciwnej strony.

- Hallo - powitał ich wesoło.

Lubił bardzo Sama, lecz nigdy w obejściu nie zdradzał się ze swą sympatią. W twarzy Donalda Gillespie trudno było wyczytać jakiegokolwiek uczucie.

- Hallo! - zawołał Sam. - Przyrzekłem pani Gillespie kilka świeżo zniesionych jajek dla szpitala wiejskiego. Oto je przywiozłem.

- Bardzo ładnie z pańskiej strony! Niech je pan lepiej zostawi w szpitalu - rzekł doktor.

Jack trącił Sama nieznacznie, a ten jeszcze próbował ratować sytuację.

- Właściwie chciałem się zobaczyć w tej sprawie z pańską żoną - powiedział - Czy można wejść?

- Jak pan chce, niech pan wejdzie - rzekł Gillespie. - Zdaje się, że ma gości.

- To nie szkodzi - zapewnił Sam. - Zostaniesz tu w samochodzie, stary czy...

- Sam sobie samochodu pilnuj! - zawołał Jack z rozpaczą. - Przecież powierzyłeś mi jajka, a nie samochód.

Gillespie otworzył frontowe drzwi niechętnym ruchem.

- To niech panowie wejdą! - zawołał. - Pan zna drogę, panie Gregory. Ja muszę zajrzeć na salę operacyjną.

Zniknął na zakręcie korytarza, pozostawiając gości w hallu.

- Gdybym nie lękał się o całość jajek, chętnie rzuciłbym ci je w głowę, Sam - zawołał Jack ze śmiechem.

- Nie denerwuj się! - odparł Sam. - Hallo! Cóż to takiego?

Spoza zamkniętych drzwi usłyszeli piękny altowy głos, śpiewający jakąś pieśń przy akompaniamencie gitary, Sam oczarowany tym głosem, stał chwilę w zupełnym milczeniu.

Nagle Jack dał mu porządnego szturchańca.

- I ty wierzysz, że miłość jest niebezpieczną zabawą? - uśmiechnął się.

- Milcz! - mruknął Sam.

Lecz pieśń przycichła zupełnie.

- Mam wrażenie, że słyszałam trąbkę samochodu Sama przed domem - dosłyszeli głos Lilian po chwili. - Dlaczego ten głuptas się nie pokazuje?

- Może został przed domem - odparła Peggy, otwierając drzwi.

Stała na progu w kręgu światła lampy i spoglądała z uśmiechem na dwóch przyby-  
szów.

- Dlaczego panowie nie wchodzą? - zapytała. - Chyba nie czekacie na to, aby was za-  
meldowano!

- Powiedziano nam, że pani siostra ma gości - odparł Sam.

- Ach, nie! - zawołała Peggy. - To tylko Lilian, Olivii w ogóle nie ma w domu. Poszła  
przed chwilą do wiejskiego szpitala.

- Więc właściwie źle trafiliśmy - zauważył Sam. - Ale mniejsza z tym! W powrotnej  
drodze dostarczę jajka wprost do szpitala. Czy można wejść.

- Oczywiście! - zawołała Peggy. - Dlaczegoż by nie? - witała teraz Jacka Croftona z  
rumieńcem na twarzy.

- Wejdźcie i ogrzejcie się. Strasznie zimno dzisiaj na dworzu.

Wprowadziła gości i zastała Lilian stojącą przed kominkiem i obserwującą wchodzą-  
cych z figlarnym błyskiem w oczach.

- Cóż to za nowy wykręt? - zapytała. - W każdym razie bardzo nieudany. Zawsze  
masz pecha.

- Nie miałem pojęcia, że cię tu zastanę - odparł Sam.

- Czyżby! - zawołała. - Gdybyś czekał dłużej, to w końcu przyjechałabym do ciebie.

- O, tak długo nie mogłem czekać.

- Teraz już nie przyjadę - zaśmiała się. - Zaoszczędziłeś mi kłopotu. Nie wiem, czy  
pani Jervis uczyniła ci ten zaszczyt, aby cię prosić o wzięcie udziału w wiejskim koncercie.  
Jeżeli nie, to ja ci to teraz proponuję. - Zwróciła się do Jacka. - Może i pan spróbuje swoich  
sił. Wiem, że ma pan zamiar zostać na balu myśliwskim, a koncert odbędzie się w czwartek,  
czyli na dzień przed tym.

- Bardzo pani dziękuję - skłonił się Jack - ale wątpię, czy przydałbym się na coś. Zja-  
wię się jako widz, jeśli można.

- Może napijemy się herbaty - zaproponowała Peggy - i wówczas omówimy całą  
sprawę.

- A co byś chciała żebym robił? - zapytał Sam, zwracając się do Lilian.

Zaśmiała się, odkładając gitarę.

- Zastanawiałam się, czy nie mógłbyś zagrać krótkiej sztuczki ze mną. Mamy, co prawda, tylko dwa dni czasu, ale to byłoby lepsze niż śpiewanie pieśni, których nikt nie będzie chciał słuchać. Obiecałam pani Jervis zmienić program, lecz nie mówiłam jeszcze, co zamierzam. Sądziłam, że lepiej będzie uprzednio porozumieć się z tobą.

- Jestem tego samego zdania - zgodził się Sam. - Więc przystąpimy zaraz do rzeczy.

- Mógłbyś się nauczyć w dwa dni? - zapytała Lilian. - Bo przecież nie możemy się podjąć tego, co od razu wydaje nam się niemożliwe. Nancy Jervis przygotowała recytacje wesołe i nastrojowe, którymi zdoła zapełnić dużą część wieczoru, jeżeli nic mądrego nie wpadnie nam do głowy.

- Bardzo ładnie ze strony Nancy - zauważył Sam - lecz boję się, że gorzej na tym wyjdzie publiczność.

Lilian powstrzymała uśmiech.

- Delikatnie to wyraziłeś! Olivia przyrzekła akompaniować jak zwykle, a Joe Baxter z Raven ma produkować cały ten okropny repertuar swych wesołych piosenek. Prawdziwa gwiazda zespołu zawiodła w ostatniej chwili.

- I dlatego my mamy ratować sytuację, prawda? - uśmiechnął się Sam.

Skinęła głową.

- Myślisz, że potrafiłbyś zagrać ze mną scenę miłosną?

- Jestem pewny, że potrafię - odparł.

Uczyniła niecierpliwy ruch ręką.

- Tylko żadnych głupstw, mój drogi, żadnych ekstrawagancji! Właściwie to nie jest dialog, bo Peggy także weźmie w tym udział. Jest to jednoaktowa komedia, którą znalazłam w jakimś starym zbiorze. Bardzo zabawna. Bohaterka wróciła dopiero do domu z klasztoru i rodzice pragną ją wydać za mąż za jegomościa, którego nigdy w życiu nie widziała. W dniu jego przyjazdu rodzice nagle zmuszeni są wyjechać, bohaterka więc przebiera się za swą pokojówkę, pokojówce zaś każe grać swoją rolę. Młodzieniec przyjeżdża i jak osioł zakochuje się w owej bohaterce, przebranej za pokojówkę.

- Darzę go całą moją sympatią - wtrącił Sam.

W oczach Lilian pojawiły się błyski niechęci.

- Oczywiście sytuacja się wikła, bo bohaterka jest pewna, że swego przyszłego amanta oszukała.

- Przyznam, że choruje na krótkowzroczność - dorzucił Sam.

- Albo też los tak chciał - odparła Lilian. - Sprawa przybiera taki obrót, że młody lokaj, który się kocha w pokojówce jest tak wściekły na bohatera, że wyjaśnia całą sytuację i sztuka kończy się tym, iż każdy z mężczyzn poślubia właściwą osobę.

- Jedyne rozwiązanie - rzekł Sam.

- A kto gra lokaja? - zapytał Jack.

- Nie mam pojęcia - odparła. - To bardzo mała i nieważna rola.

- Sądzę, że mnie by odpowiadała - zawołał. Uśmiechnęła się blado.

- O, nie sądzą. Myślę, że powierzmy ją Donaldowi.

- Głupstwa pleciesz! - zawołała nagle Lilian. - Dlaczego pan Crofton nie miałby grać tej roli, jeśli mu ona odpowiada? Każdy w tym małym epizodziku lepszy będzie od Donalda.

Jack skłonił się z uśmiechem.

- Serdeczne dzięki, Miss Devereux! Dołożę wszelkich starań, aby z tej małej rólki uczynić prawdziwe arcydzieło.

- Sądzę, że Olivia zagrałaby lepiej pokojówkę ode mnie - dorzuciła Peggy.

Znowu Lilian musiała ją skarcić.

- Nie bądź głupia, Peggy! Jesteś stworzona do tej roli! Zresztą Olivia musi być przy pianinie.

- To może Nancy Jervis - zaproponowała Peggy ze spokojem. - Na pewno ta rola bardzo by jej się podobała.

- Doskonale! Może z łatwością zagrać moją rolę - zawołała Lilian. - Na pewno twojej się nie podejmie.

- W takim razie - wtrącił Sam - ja wycofuję się z tego. Nie mam ochoty zadawać się z Nancy Jervis i jeżeli zamierzacie na ten temat zrobić mi kawał, to jadę natychmiast do domu.

- Nie rób głupstw! - oburzyła się Lilian.

- Zupełnie nie żartuję - przekonywał ją. - Po raz pierwszy mówię całkiem poważnie. Chętnie zagrałbym w tej sztuce z tobą, ale natomiast nie mam zamiaru grać z kimś innym.

W jej dziwnych oczach zapłonęły ogniki.

- Jestem pokonana - rzekła z rezygnacją.

Zaśmiał się.

- Wiesz o tym, że nawet robak woli być zdeptany stopą znajomego człowieka! Czy jeszcze coś innego mam robić w tym koncercie?

Jak będziesz grała na gitarze, to ci mogę akompaniować na skrzypcach.

- Nie, dziękuję - zawołała Lilian. - Z gry na gitarze stanowczo się wykręcę. Mielibyśmy za dużo roboty. Musimy przecież ustawić scenę i naprędce założyć kurtynę.

- Zostaw to Jervisom, Lilian! - zaproponowała Peggy. - Pan Jervis doskonale zna się na ustawianiu sceny.

- Nie można wszystkiego składać na jego barki - zaprotestowała Lilian. - Ale dobrze, że sobie przypomniałam. Pan Jervis stanowczo jest przeciwny całowaniu się na scenie. Uważa, że to byłoby niemoralne i wywarłoby zły wpływ na włościan. Każdy pocałunek musi się odbywać w odległości kilku centymetrów. Oddalenie to obowiązuje.

- A ja stanowczo sprzeciwiam się temu - zawołał Sam. Zgromiła go spojrzeniem.

- Proszę cię, nie bądź śmieszny! Mówimy teraz o interesie. Podzielam zdanie pana Jervisa, jak również i Peggy. Jeżeli nie zgadzasz się na ten warunek, to zrezygnujemy z twojej pomocy.

- Chciałbym zobaczyć, jakby to było! - uśmiechnął się Sam. - Wobec tego, wszystko w porządku. Nie gniewaj się! Cofam mój protest. Wystąpiłem tylko w imieniu ogółu, ale...

Lilian odwróciła się doń plecami.

- Zupełnie się z panią zgadzam - wtrącił Jack. - Ten chłopak zachowuje się jak stan-gret. Czy mam go wyrzucić?

- Nie, niech zostanie - ujęła się za Samem Peggy. - Jestem pewna, że będzie już grzeczny i Lilian mu wybaczy.

Śmiech Lilian brzmiał jakoś dziwnie.

- Sam należy do tych ludzi, którym się wszystko wybacza - rzekła.

- To też zaleta - zawołał Sam.

- Ale i strona ujemna - odparła Lilian.

- Przestańcie się kłócić i napijmy się lepiej herbaty - wtrąciła nieśmiało Peggy.

Jack Crofton wstał z krzesła.

- My się napijemy herbaty - rzekł - a oni niech się kłócą dalej.

# ROZDZIAŁ X

## Kwestia gustu

Można to było jedynie zawdzięczać energii Lilian, że plan, który powstał tak nagle, już po paru godzinach przybrał całkiem realne kształty.

Sam i Jack spędzili cały wieczór w domu doktora i zasiedzieliby się prawdopodobnie aż do rana, gdyby państwo Gillespie nie założyli stanowczego protestu. Wyruszyli więc w powrotną drogę do domu przed północą, z uroczystym zapewnieniem stawienia się naza-jutrz po południu na próbę.

Lilian postanowiła przenocować u doktorostwa i zawiadomiła o tym swą siostrę telefonicznie. Zaraz po odjeździe gości obydwie z Peggy udały się na spoczynek.

- Jak ci się ten plan podoba? - zapytała Lilian, gdy się rozbierały.

- Szalenie - zawołała Peggy.

- Wiedziałam, że będziesz zadowolona - rzekła przyjaciółka. - Całkiem miły z niego chłopiec, Peggy, ale nie pozwalaj mu zbyt prędko się zbliżyć.

Peggy splonęła rumieńcem i podniosła głowę z godnością, z którą jej zupełnie nie było do twarzy. Najdziwniejsze było to, że przejęta w tej chwili swą rolą, nie poprosiła Lilian o bliższe wyjaśnienia.

- Nie powinnaś się o to obawiać - rzekła.

Lilian objęła ją serdecznym uściskiem.

- Strasznie kochana jesteś! - zawołała. - Chciałabym być taka jak ty.

- Bardzo niemądre pragnienie! - zawołała Peggy poważnie, składając na policzku przyjaciółki pocałunek.

Lilian odsunęła się od niej z głębokim westchnieniem.

- Może brzmi dziwnie, ale tak jest w rzeczywistości - wyszeptała. - Dla ciebie życie jest rzeczą prostą i nieskomplikowaną, dla mnie jest ono tylko całym szeregiem najrozmaitszych możliwości. Postępuję wytkniętą drogą i nagle natrafiam na przeszkody, wracam kierując się w inną stronę i wpadam w bagno. Dałabym wiele za to, aby mieć takie usposobienie jak ty.



- Wątpię, czy byłabyś zadowolona, gdybyś moje usposobienie posiadała - zauważyła Peggy.

- Na pewno! Na pewno! - zawołała Lilian namiętnie. - Mieć równą, wytkniętą drogę, wiedzieć, czego się pragnie, nie lękać się powikłań życiowych! Czy ty odczuwasz kiedyś jakiś lęk, Peggy?

- Nie, mam wrażenie, że nie - odparła Peggy. - Usiłuję przyjmować wszystko tak, jak idzie. Wątpię, czy ktoś rozsądny zapatruje się na to inaczej.

- A jeżeli wszystko nagle rozsypuje się w gruzy, co wtedy robisz? - zapytała nieoczekiwanie Lilian, rozsypując swe złociste włosy na ramiona.

- To się nigdy nie zdarza - odrzekła Peggy. Lilian powstrzymała ciche mruknięcie.

- Nie, to się nigdy nie zdarza tobie. Będziesz szła prosto gładką powierzchnią i nigdy nie odczujesz żadnego lęku ani krzywdy. Nigdy nie będziesz wiedziała o prawdziwych problemach. Należysz do tych ludzi, którzy zawsze są szczęśliwi i dlatego właśnie pragnęłabym mieć twoje usposobienie.

Włosy Peggy były krótkie i wijące się. Cesała je teraz szczotką w milczeniu.

- I cóż? - zagadnęła znowu Lilian, gdy przyjaciółka odłożyła szczotkę. - Dlaczego nic nie mówisz?

- Nie wiem, co byś chciała usłyszeć - rzekła Peggy. - Uważam, że jesteś przesadna i myślę, że czułabyś się o wiele szczęśliwsza, gdybyś wyzbyła się owej wizji rycerza z twych marzeń i poślubiła Sama Gregory.

- Owszem, gdybym nie miała nikogo innego.

- Jest naprawdę bardzo dobrym chłopcem. Wiesz, że go ogromnie lubię.

- Ale jest nudny, Peggy, śmiertelnie nudny! Czy nie widzisz tego? - Głos Lilian był smutny. - Czyż mogłabym przeżyć kilkanaście lat z nudnym człowiekiem? Znienawidziłabym go chyba!

- Nie mogłabyś nienawidzić Sama - zawołała Peggy z przekonaniem.

- A mogłabym go kochać? - Lilian energicznie cesała swe piękne włosy. - Na to bym się na pewno nigdy nie zdobyła. Czy jakakolwiek kobieta mogłaby pokochać szczerze i głęboko biednego Sama?

- Dlaczegoż nie - zdziwiła się Peggy.

- Gdyby on chociaż zdobył się na coś, na coś innego, nie na słowa! - westchnęła Lilian.

- Czyż nie zdobywa się?

- O tak! Możesz go skłonić do wszystkiego, ale nigdy inicjatywa od niego samego nie pochodzi. Jest miękki jak ślimak. Znienawidziłabym go, gdybym miała nim przez całe życie kierować.

- A nie znienawidziłabyś tego, kto by tobą kierował? - zagadnęła Peggy.

- To zupełnie inna sprawa. Prawdopodobnie. Nie mam pojęcia. Ale Sam robi wrażenie osiemdziesięcioletniego mężczyzny, niezdolnego już do czynów, tylko do słów. Jestem pewna, że nie potrafiłby zareagować, gdyby ktoś w jego obecności mnie obraził. Zdobyłby się na jakąś uwagę i jak najszybciej zmieniłby temat.

- Mam wrażenie, że jesteś niesprawiedliwa - rzekła Peggy. - Powiedziałam ci, że nie umiesz go wystawić na próbę. Jesteś strasznie surowa, Lilian i nie wiem dlaczego. Jeżeli Sam sprawia wrażenie osiemdziesięcioletniego starca, to ty postępujesz jak pięćdziesięcioletnia kobieta, która już wszystko w życiu widziała i ogarnęła ją zupełna rezygnacja.

- Nic już teraz nie ma dla ciebie powabu. A jednak, jednak mogłabyś być szczęśliwa, gdybyś chciała.

- Co nazywasz szczęściem? - zapytała.

- Ja zawsze jestem szczęśliwa - zawołała Peggy z prostotą - więc znam się na tym.

Miała słuszność, bo na miłej jej twarzyczce zawsze malowała się pogoda. Życie dla Peggy, aczkolwiek miała ona niewiele rozrywek, było jednym nieskończonym pasmem szczęścia. Niewiele wymagała i zadawała się drobnostkami. Nie szukała niczego, nie pragnęła rzeczy, które były dla niej niedostępne. Charakteru Lilian nigdy nie mogła zrozumieć. Stan ciągłego podniecenia i niepokoju w zachowaniu przyjaciółki, był dla Peggy stanem zupełnie nieznanym. Posiadała usposobienie nieskomplikowane, dzięki któremu nie traciła nigdy równowagi, a jednocześnie daleka była od uczucia egoizmu. Odwaga i dobroć serca były głównymi zaletami Peggy Clarke i czyniły z niej dziewczynę wartościową, o niezwyklej pogodzie ducha.

- Nigdy jeszcze nie widziałem takiej dziewczyny - mówił Jack Crofton, wypalając ostatniego papierosa tego wieczoru. - Doskonały z niej kompan. Gdybyś zakochał się w niej po uszy, doskonale bym cię rozumiał. Jest o całe niebo powabniejsza od Lilian.

- Kwestia gustu! - odparł Sam spokojnie.

- Ależ to jest ideał, człowieku. Nie możesz temu zaprzeczyć. Ona nie potrafi igrać z tobą jak kot z myszą, co doskonale czyni jej przyjaciółka.

- W tym wypadku nie zgadzam się - mruknął Sam.

- Więc, jak to nazwiesz? - Jack zwrócił się doń agresywnie. - Masz niewyczerpany zapas cierpliwości, o tym wszyscy wiemy, lecz na podobną cierpliwość naprawdę trudno się zdobyć. Cóż to jest, jak nie zwykła igraszka? Najlepiej byś zrobił, gdybyś dał temu wszystkiemu spokój! Mówię ci, Sam, szkoda czasu. Dziewczeta tego typu wychodzą za mąż dopiero wtedy, gdy zmęczone są całym zastępem wielbicieli. Nie posiadają przy tym ani odrobiny stałości. Gotowa dzisiaj przyjąć twoje oświadczenia, a jutro słowo cofnąć.

- Nie wyobrażam sobie - szepnął Sam w zamyśleniu.

- Bo osioł jesteś. Ona tak dba o ciebie jak pies o lisa. Bawi się tobą tylko, drogi przyjacielu. Sam nie widzisz tego?

- Nie - odparł Sam.

- A ja widzę - oznajmił Jack. - Po prostu się bawi i to wszystko. Peggy również wie o tym i dlatego okazuje ci tyle serdeczności. Wie doskonale, że nie masz żadnych szans. Na pewno by ci to powiedziała, gdybyś ją zapytał. Dlaczego nie zapytasz jej kiedyś?

- Nikogo nie pytam - rzekł Sam. - Kieruję się moim głupim sposobem i pocieszam się nadzieją, że będzie jak najlepiej. Nalej sobie whisky, stary! Znam Lilian lepiej niż wy wszyscy, lepiej nawet niż Peggy Clarke ją zna. - W tonie, jakim mówił nie było przechwałki, wypowiedział te słowa z najzupełniejszą szczerością i prostotą.

- Człowieku! - zawołał Jack. - Mówisz poważnie?

- Najzupełniej - odparł Sam.

Jack wychylił szklaneczkę whisky i padł na fotel jak człowiek pokonany.

- Niech ci Bóg dopomoże, to wszystko, co mogę powiedzieć! - szepnął po chwili.

- Właśnie na to liczę najbardziej - odparł Sam.

# ROZDZIAŁ XI

## W garderobie

Koncert wiejski, jak zresztą wszystkie imprezy tego rodzaju, miał się odbyć w obszernej sali Domu Ludowego. Była tam estrada, którą przekształcono na prymitywną scenę. Światła i założenie kurtyny należały do obowiązków proboszcza Mr. Jervisa, który uporał się z tym jakoś, pocieszając się nadzieją, że publiczność na te rzeczy nie będzie zwracała specjalnej uwagi.

Lilian ku niezadowoleniu Hildebranda, aż do dnia koncertu pozostała w domu doktora Gillespie. Z całą energią zabrała się do pracy nad przygotowaniem jednoaktowej komedii i wciągnęła do niej również troje swoich przyjaciół. Podczas pierwszej próby wszyscy czworo zapalili się do sztuki i pracowali nad nią z całą ochotą. Nawet na kłótnie i sprzeczki nie było teraz czasu. Ogólne zdziwienie wywołał fakt, że Sam kreował swą rolę z prawdziwym talentem.

- Jesteś naprawdę nadzwyczajny - przyznała Lilian po skończeniu całodziennej pracy.

- Ach, nie zawstydzaj mnie pochwałami! - prosił. Spojrzała na jego bladą twarz z milczącym lekceważeniem i przestała już mówić na ten temat.

W dniu koncertu urządzono generalną próbę po południu.

- Bardzo mi się ta cała historia podoba - szepnął Jack do Peggy po skończonej próbie.

A Peggy, rumieniąca się stale pod wpływem jego wzroku, zarumieniła się i teraz i uśmiechnęła w milczeniu.

Praca nad przygotowaniem komedii zrodziła pewną intymność między nimi i jednokowe dążenia do wspólnego celu. Nie ulegało wątpliwości, że Peggy podczas tych dni czuła się wyśmienicie, a Lilian uśmiechała się tajemniczo, słysząc głośne zachwyty przyjaciółki. Między Lilian i Samem utworzyło się teraz, całkiem mimo woli, coś w rodzaju tajnego porozumienia i z wesołym pobłażaniem patrzyli obydwójce na parę swych przyjaciół promieniających szczęściem.

Po skończonej generalnej próbie wszyscy czworo doszli do wniosku, że rezultaty pracy były najzupełniej zadowalające. Joyce, która mogła się poszczycić okazałym składem

starych kostiumów, przyjęła na siebie obowiązek zajęcia się garderobą artystów, przy pomocy żony doktora, która znała się na tym doskonale.

Należało pomyśleć o stroju dziewcząt, pani i pokojówki, które przebrać się miały już w czasie akcji w chwili, gdy Jack w ubraniu lokaja przyjmował Sama, dystyngowanego młodzieńca, ubranego na sportowo. Perkalowa sukienka i biały czepeczek przeznaczone były dla pokojówki, a różowa krynolina dla pani.

Peggy w krynolinie wyglądała czarująco, lecz Lilian w kostiumie pokojówki stanowczo mogła ją przelicytować. W roli tej Lilian czuła się doskonale. Była zupełnie swobodna i naturalna, nic więc dziwnego, że Sam zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Jedyną niewygodą przedstawienia w Domu Ludowym było to, że znajdowała się tam jedna jedyna, maleńka garderoba, przedzielona szeroką zasłoną. Posiadała tylko jedno lustro, które najpierw, naturalnie, zajęły panie, potem dopiero wolno było przejrzeć się w nim panom.

Lilian pośpiesznie charakteryzowała swą twarz przy świetle płonącej świecy, gdy nagle w lustrze ujrzała odbicie twarzy Sama, stojącego tuż za nią i szepczącego jej tonem błagalnym:

- Słuchaj, musisz i mnie ucharakteryzować!

- Nie wiem, jak chciałbyś wyglądać - odparła, zalekniona w pierwszej chwili jego widokiem.

- Powiem ci - rzekł z czarującą prostotą. - Chciałbym tak wyglądać, jakbyś pragnęła żeby wyglądał twój ukochany.

- Lękam się, że nie potrafię tego dokonać - uśmiechnęła się Lilian.

- Postaraj się.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Trudno jest uczynić coś, co wydaje się niemożliwe - rzekła. Na jego twarzy zajaśniał uśmiech niedowierzania.

- Dlaczegoś wszedł tu bez pytania? - zagadnęła, widząc, że w części garderoby przeznaczonej dla pań, byli zupełnie sami.

- Peggy powiedziała mi, że można - odparł Sam.

- A gdzie Peggy? - zapytała.

Ruchem ręki wskazał zasłonę.

- Pomaga Jackowi przy charakteryzacji i trenują pocałunki.

Lilian zesztywniała. Miała na sobie różową krynolinę i to dodawało jej godności.

- Podobasz mi się w tej sukni - zawołał Sam z zachwytem. - Wprawdzie nowoczesna sukienka jest bardziej w twoim typie. W tym stroju wyglądasz jak księżniczka okrutna i niedostępna.

- Nie wiem, co masz na myśli - mruknęła Lilian.

- Mniejsza o to - rzekł Sam łagodnie. - Nie zwracasz już chyba uwagi na moje żarty. Słuchaj, więc będziesz łaskawa pomóc mi przy charakteryzacji?

Coś dziwnie wzruszyło ją, może ta szlachetność, malująca się na twarzy Sama.

- Owszem, pomogę ci, jak nie będziesz plótł głupstw - rzekła. - Więc, jak chcesz wyglądać? - patrzyła nań z bliska. - Uważam, że dobrze byłoby zrobić ci kolory, żebyś miał twarz bardziej krwistą, a po bokach trochę szminki, żeby to wyglądało jak baczki.

- Lubisz pełnokrwistych mężczyzn? - zapytał Sam. Zadrzała.

- Niekoniecznie! Ale dzięki Bogu, nie masz zamiaru chyba studiować mojego gustu w tej chwili. Stój teraz spokojnie, bo gotowam ci wsadzić palec do oka!

- Tristramowie mają przyjechać - zauważył Sam, poddając się artystycznej operacji.

- Nie mów teraz! - rozkazała Lilian. - Strasznie niewygodnie, że tu nie ma krzesła.

- Można sobie poradzić - uśmiechnął się Sam, przyklękając na jedno kolano. - Boże, jakie ty masz zimne ręce! Masz tremę?

- Nie mów! - rozkazała znowu. - Trzeba ci trochę podmalować usta, zamykasz je tak dziwnie, że prawie się nie odznaczają.

Sam nie miał już na to wyjaśnienia, więc przez chwilę panowała między nimi cisza. Lilian zajęta była swoją pracą, a spoza zasłony, przedzielającej pokój, dochodziły co chwilę przyciszone szepty i wybuchy tłumionego śmiechu.

- Skąd wiesz, że mają przyjechać Tristramowie? - zapytała Lilian, skupiając całą swą uwagę na przyciemnieniu brwi Sama.

- Spotkaliśmy Bullivanta po drodze - odparł.

Ręka Lilian zadrzała nieco i dziewczyna z wysiłkiem powstrzymała głuchy okrzyk.

- Muszę tę brew jeszcze raz przyciemnić. Wyglądasz, jak Chińczyk. Nie ruszaj głową, żebym ją mogła wytrzeć! I powiedział, że przyjedzie?

- Dał nam do zrozumienia, że wszyscy będą - rzekł Sam. - Wiadomość o twoim występie widocznie rozniosła się i jest nadzieja, że widownia będzie przepełniona.

- Kto ci o tym mówił? - zapytała.

- Wróble na dachu rozplotkowały - odrzekł Sam. - Przecież sami pragniemy, aby publiczności było jak najwięcej, nieprawdaż?

- Ale nie było mowy o Tristramach - zauważyła Lilian.

- Włóścianie ich obecnością będą uradowani.

- Kto dba o radość włóścian? - mruknęła niechętnie.

Zaśmiał się.

- Wszakże przedstawienie było robione dla kogoś.

- W każdym razie nie dla nich - rzekła.

- Nie? - zapytał Sam zdziwiony.

- Och, nie ruszaj głową! - zawołała, marszcząc brwi.

- Dobrze, ale mi powiedz! - prosił. - Zaczekaj chwilę i powiedz mi! Przecież mamy mnóstwo czasu. Dla kogo właściwie urządzasz to wszystko?

- Dlaczego mam ci mówić? - oburzyła się.

- Bo pragnę wiedzieć - odparł Sam.

Patrzyła nań chłodno.

- Z tobą to nie ma nic wspólnego - rzekła.

- Jestem pewny, że nie - odparł z uśmiechem - tym bardziej możesz mi powiedzieć.

- Lilian! - dosłyszeli głos Peggy spoza zasłony. - Czy szminki są wolne?

- Za chwilę - odparła Lilian.

- Jak się tam czujecie? - zawołał Sam.

- Doskonale - odparł Jack.

- Przyjemna praca - mruknął Sam i nagle wzrok jego spotkał się ze spojrzeniem Lilian. - Może chciałaś im dać okazję - zapytał szeptem.

Blady uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Jaki ty jesteś domyślny! - pochwaliła.

Podniósł się z klęczek.

- Muszę przyznać, Lilian, że jesteś nieoceniona! Za ten czyn powinnaś dostać medal.

Wzruszyła niechętnie ramionami.



- Nie bądź głupi! Nie ma tu żadnej mojej zasługi. Nic zresztą ciekawego nie zaszło. Po prostu lubię stwarzać innym okazje.

- Innym! - mruknął Sam z nieco ironicznym uśmiechem.

Przesłała mu zdziwione spojrzenie.

- Tak, innym. Zawsze trzeba myśleć o innych, Sam.

- Dlaczego? - wybuchnął. - Dlaczego?

Uczyliła nieznaczny ruch, w którym znać było rezygnację.

- Nie pytaj dlaczego! Skąd mogę wiedzieć, skoro nigdy jeszcze sama tego nie przeżywałam?

- A ja także nie przeżywałam? - zapytał. Potrząsnęła przecząco głową.

- Sam nie wiesz, o co pytasz.

- To już moja rzecz - odrzekł.

Płomyk sympatii ukazał się w oczach Lilian. Była to jedna z tych bardzo rzadkich chwil.

- Całe twoje szczęście, że prawie nigdy nie przyjmuję twych słów poważnie - rzekła.

- Ale kiedyś zmienisz zdanie - uśmiechnął się.

- Będzie to dla ciebie bardzo nieszczęśliwy dzień - wyszeptała.

- Zaryzykuję - zdecydował się Sam.

Wyciągnęła doń rękę zupełnie mimowolnym ruchem.

- Czy nie wiesz, że ja się tylko tobą bawię? - powiedziała przyciszonym głosem, tłumiąc śmiech. - Po prostu wodzę cię za nos. Potrafię nawet zaśmiać ci się prosto w twarz.

- Możesz kpić, ile zechcesz - szeptał - bylebyś tylko została moją żoną.

Wypuścił jej rękę z uścisku. Nie było w nim ani odrobiny despotyzmu. Ona cofnęła swą dłoń, jakby żałując swego porywczego impulsu.

- Męczysz mnie, Sam - rzekła. - Taki z ciebie królik.

Uśmiechnął się bez zmieszania. Nastąpiła chwila milczenia, której żadne z nich nie przerywało.

- Nigdy nie byłem pożeraczem ognia - wyszeptał wreszcie Sam w zadumie.

## ROZDZIAŁ XII

### Koncert wiejski

Komedię jednoaktową umieszczono na honorowym miejscu, w samym środku programu. Obydwie bohaterki drżały w swych lekkich sukienkach, usiłując ogrzać się przy rozpalanym za kulisami piecu. Cała akcja rozgrywała się przed kurtyną i ta część sceny, oświetlona była małymi lampeczkami z oliwą, umieszczonymi u dołu. Po całej sali roznosił się nieprzyjemny zapach parafiny, lecz zapach ten znany był z wszystkich wiejskich koncertów i publiczność zdawała się wcale na to nie zwracać uwagi.

Cała wieś gromadnie zebrała się na przedstawieniu i widownia wypełniona była po brzegi. W pierwszym rzędzie zasiadło towarzystwo ze dworu w osobach Sir Burtona, Lady Tristram, Celi Barnaby i majora Bullivanta. W tym samym rzędzie siedzieli państwo Courtenaye i doktor Gillespie. Ten ostatni uważany był za człowieka nudnego i towarzysko wymagano od niego niewiele. Z doktorem Gillespie i teraz nikt nie wszczynał rozmowy.

Doktorowa większą część czasu spędzała za sceną, akompaniując na fortepianie śpiewakom i recytatorom, tylko podczas recytacji córki proboszcza, Nancy Jervis, wpadła na krótki czas na widownię.

Wytworzyła się atmosfera niecierpliwego oczekiwania, gdy zapowiedziano rozpoczęcie komedii, w której ukazać się miała Lilian. Mieszkańcy wsi byli przekonani, że panna Devereux nie produkowałaby się w żadnej lichej komedii. Rzadko kiedy brała udział w koncertach wiejskich, lecz jeżeli kiedykolwiek coś robiła, to robiła dobrze. Panna Jervis prawdopodobnie również była tego zdania, skoro zwróciła się do Lilian o pomoc. Nancy Jervis zdawała sobie z tego sprawę i aczkolwiek pozornie darzyła Lilian sympatią, to w duszy odczuwała dla niej szczerą nienawiść. Przecież Lilian wcale nie była ładna, dlaczego więc mężczyźni darzyli ją takim uznaniem? Właściwie nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, wiedziano tylko, że panna Devereux posiada jakiś specjalny powab, któremu trudno byłoby się oprzeć. Wszyscy mieszkańcy wsi Courtenaye przyznawali to jednogłośnie.

Nazwisko Lilian w połączeniu z nazwiskiem Sama Gregory dało nowy temat do rozmów, które z ożywieniem prowadzili widzowie tuż za plecami majora Bullivanta, podczas krótkiego antraktu, gdy na scenie ustawiano dekoracje do mającej się rozpocząć komedii. Z

największym zapalem dyskutowały na ten temat dwie starsze wieśniaczki, siedzące w drugim rzędzie.

- Wyjdzie za niego! - mówiła jedna. - Dlaczego nie miałyby wyjść! Widziałam ich w zeszłą sobotę, jak przejeżdżali konno koło naszego domu. Zajadali ze smakiem kanapki, które ona miała przy sobie. Wtedy powiedziałam memu staremu: „Wyjdzie za niego! Na pewno wyjdzie!”

- Zawsze ich można zobaczyć razem - odparła sąsiadka przyciszonym szeptem. - On od rana do nocy jej nie odstępuje. A ona weźmie go, jak się nikt inny nie nadarzy. Jest dosyć kapryśna. On za innymi dziewczętami nie patrzy. Teraz, gdyby... - szept jej stał się tak cichy, że major Bullivant nie mógł już rozróżnić słów.

Chciał nawet przesunąć swe krzesło nieco w tył, aby wysłuchać dalszych ploteczek, lecz jakoś mu nie wypadało.

- Ach, ten! - szeptał znów pierwszy głos. - Owszem, słyszałam, że przyjechał tu, aby rozejrzeć się za żoną. Ale myślę, że ona już będzie wolała pana Gregory, bo przecież są starymi przyjaciółmi i on uważany jest za porządnego człowieka. Dobry z niego chłopak. Pogodny, wesoły i ma dobre serce. Mam nadzieję, że ona się zgodzi. Na pewno będzie lepszy od tamtego strojnisia. Nie wierzę przystojnym mężczyznom. Ten, kto ma urodę, nie ma serca.

Rozmowa znowu stała się niezrozumiała i Bullivant zdecydował się zamienić kilka słów z panną Barnaby.

Ona jednak ku wielkiemu jego zdziwieniu, również przysłuchiwała się prowadzonej w drugim rzędzie rozmowie.

- Ciekawa jestem, jakie to przedstawienie szykuje nam ta dziewczyna - rzekła - gotowa na samym końcu obwieścić o swoich zaręczynach z panem Gregory. Uważam, że nadarza się świetna okazja. Podobno on stara się o jej względy od kilku miesięcy.

- Dla niej to może być tylko przyczyną do odmowy, jeśli mam być szczery - rzekł Bullivant. - Strasznie musi być nudny ten chłopak.

- Nie znasz go? - zapytała Celia.

- Bardzo mało. Dobry, ale okropny osioł.

Celia spojrzała nań ze zdziwieniem. Byli dalekimi krewnymi i czasami miewali jednokowe poglądy.

- Nie lubisz go? - zauważyła.

- Nie lubię! - zamyślił się Bullivant. - Trudno kogoś takiego lubić czy nie lubić. Na koniu wygląda, jak worek kartofli i bardzo niezręcznie prowadzi stare, rozklekotane auto. Sprawia wrażenie, jakby nigdy nic ciekawego nie robił i zdaje się, że nie zapowiada się zbyt chwalebnie na przyszłość. Ale to jest tylko moje zdanie. Jestem ciekawy, jaka jest twoja opinia.

Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Z twoim zdaniem liczyłam się zawsze - rzekła. - Jesteś ogromnie spostrzegawczy. Przez prostą ciekawość chciałam cię zapytać, co myślisz o tej dziewczynie!

W oczach jej pojawiły się jakieś dziwne błyski, gdy zadawała pytanie, wsłuchana na pozór w dźwięki wygrywanego przez Oliwię fox-trotta. Ronald Bullivant uśmiechnął się do niej i spuścił oczy.

- Nigdy nie ośmieliłbym się krytykować kogoś, należącego do twojej płci - odparł.

Wybuchnęła śmiechem.

- Jaki dyskretny! Zapewniam cię jednak, że możesz mówić szczerze. Lilian nie jest moją przyjaciółką.

- Zauważyłem - rzekł, śmiejąc się również, lecz unikał dalszych wyjaśnień.

Dźwięki fox-trotta umilkły i nastąpiła znowu chwila oczekiwania. Wreszcie kurtyna zaczęła się poruszać, rozsunięto ją i oczom widzów ukazały się dekoracje jednoaktowej komedii.

Scena miała wygląd bardzo skromny. Wnętrze jej przedstawiało fragment hallu, a całym umeblowaniem była kanapa, stół i kilka staroświeckich krzeseł. Publiczność jednak nie zwracała uwagi na dekoracje. Uwaga wszystkich ześrodkowała się na postaci Lilian, siedzącej z gitarą na kanapie. Ślicznie wyglądała w swej muślinowej krynolinie, z długimi lokami, opuszczonymi na ramiona, z nieskalaną bielą cery, połyskującej w wątłym świetle lampy. Zaczęła śpiewać jakąś rzewną ludową melodię i wszystkich z miejsca oczarował jej piękny głos. Wszystkich, z wyjątkiem Celi Barnaby, która nie patrzyła prawie na scenę, obserwując uważnie mężczyznę, siedzącego przy niej.

Sztuka się rozpoczęła. Na scenę wbiegła Peggy w ubraniu pokojówki i lekkim krokiem zbliżyła się do Lilian. W każdym jej ruchu widać było zdenerwowanie, Lilian za to była zupełnie spokojna i mimo wielkiego powabu Peggy, oczy wszystkich widzów spoczywały wyłącznie na twarzy Lilian, obserwując jej każdy niemal ruch.

Zjawienie się Jacka w lokajskim stroju, odwróciło nieco uwagę publiczności, bo Jack miał wybitnie komiczną rolę. Aczkolwiek rólka była niewielka, odtwórca uczynił z niej prawdziwe arcydzieło. Jego obecność na scenie zdawała się dodawać odwagi Peggy i pewniejszym już krokiem wybiegła wraz z Lilian za kulisy, gdzie obydwie miały dokonać zamiany strojów.

Następnie ukazał się Sam, wyglądający imponująco w sportowym garniturze i wysokich butach. Ostrogi jego dźwięczały przyjemnie, gdy przechodził przez scenę i usta wszystkich widzów rozwarły się ze zdziwieniem, gdy zaczął mówić. W roli swej był tak doskonały, że nie chciano dać wiary, że tym eleganckim młodzieńcem był Sam Gregory.

W pewnej chwili Celia szepnęła towarzyszowi swemu do ucha:

- Świetnie wygląda, co? Na pewno dzisiaj przyjmie jego oświadczyzny, zapamiętaj sobie to.

Bullivant poruszył się niespokojnie, lecz nie wyrzekł ani słowa.

A Sam tymczasem święcił prawdziwy triumf. Tak samo jak Lilian, był zupełnie spokojny i grał swą rolę, przejmując się nią do głębi. Gdy Lilian ukazała się w stroju pokojówki, zainteresowanie na widowni doszło do punktu kulminacyjnego.

Akcja rozwijała się w doskonałym tempie, po czym nastąpił finał, w którym Lilian kapitulując, pada w ramiona Sama, Peggy zaś, jak zwykle zapłoniona, zawisa na szyi Jacka. Scenę tę przyjęto oklaskami pełnymi entuzjazmu. Tylko proboszcz nachmurzył się nieco, szepcząc do ucha swej żonie, że ten młody marynarz przekroczył stanowczo granicę, bo naprawdę kilkakrotnie pocałował swoją partnerkę.

- Może w marynarce jest taka moda - próbowała uspokoić go małżonka. - W każdym razie Sam Gregory nie całował Lilian. Obserwowałam ich uważnie.

Nie, Sam istotnie nie całował Lilian i dobroduszna pani Jervis nie była jedyną osobą, która to zauważyła.

Po opuszczeniu kurtyny rozległa się nowa burza oklasków, która wzrosła jeszcze bardziej, gdy Sam ukazał się przed kurtyną w towarzystwie swej partnerki. Skłonili się obydwaj i zniknęli, ustępując miejsca Jackowi, prowadzącemu pod rękę Peggy, jeszcze bardziej zapłonioną. Peggy nigdy nie wyglądała ładniej niż w tej chwili, w swej muślinowej krynolinie sprzed stu laty. Chociaż włosy miała krótko obcięte, to jednak rozrzucone figlarnie nad czołem, dodawały jej drobnej twarzyczce jeszcze więcej uroku.

Uczyniła nerwowy dyg i odwróciła się, chcąc umknąć z oczu widzów, lecz czyniąc to, zapomniała o zbyt wąskiej przestrzeni, między kurtyną i zapalonymi u dołu lampkami i nagle muślin krynoliny zajął się płomieniem od jednej z lampek. Stało się to w owej chwili, kiedy Jack również kłaniał się publiczności i nim zdążył się obejrzeć, już płomienie objęły całą krynolinę jego partnerki. Z piersi Peggy wydarł się okrzyk przerażenia i Jack natychmiast podskoczył na ratunek. Chwycił ją w ramiona, usiłując przenieść ją poza kurtynę, po czym gorączkowymi ruchami począł zdzierać z niej suknię. Gołymi dłońmi gasił płomienie.

- Uspokój się, kochanie! Bądź spokojna! - szeptał. - Nie bój. Jestem przy tobie!

I Peggy pod wpływem jego słów była spokojna, nie wydając najcichszego nawet jęku, choć szyja i ręce piekły ją ogromnie.

Gdy niebezpieczeństwo minęło i na scenę przybiegli Sam, Lilian, doktor, oraz major Bullivant, zastali Peggy nieprzytomną, spoczywającą w ramionach Jacka, jak bezradne uśpione dziecko.

# ROZDZIAŁ XIII

## W kilka godzin potem

- Ale ona wyzdrowieje, prawda? - szeptał Jack z rozpaczą. - Doktor jest pewny, że wyzdrowieje? Chyba nie jest bardzo poparzona?

- Oczywiście, że wyzdrowieje! - mruknął doktor Gillespie. - Jest o wiele mniej poparzona od pana. Dlaczego nie miałyby wyzdrowieć?

- Nie sądziłem, że zemdleje - rzekł znowu niespokojnie. - Musi jednak być poparzona dotkliwie. Teraźniejsze dziewczęta nie mdleją ze strachu.

- Może przycisnął ją pan zbyt mocno do siebie - zauważył doktor sucho. - Poparzona nie jest dotkliwie, to jedno, co mogę powiedzieć, ale tym troskliwym ratowaniem mógł jej pan połamać zebra. Jeszcze dokładnie tego nie badałem.

- Och, naprawdę mogłem jej uczynić jakąś krzywdę? - zapytał Jack z przerażeniem.

- Uspokój się, stary! - zawołał Sam, stając u jego boku. - Uratowałeś jej życie i na pewno ci tego nie zapomni.

- Na miłość boską, nie wspominajcie jej o tym! - prosił Jack.

- Nikt nie ma zamiaru jej o tym mówić - rzekł Gillespie. - Pan za to jest bardziej poszkodowany. Mam wrażenie, że pańskie leczenie potrwa dłużej.

- Ach, głupstwo! - silił się Jack na wesołość.

- Nie boli pana? - zapytał Gillespie z uśmiechem. - Nie ma nic bardziej niebezpiecznego, od tych lampek, rozmieszczonych u dołu sceny. Powiesiłbym tego starego Jervisa!

- Ale nie ze względu na mnie - zaprotestował Jack z uśmiechem, który raczej był wyrazem bólu niż radości. - Ja osobiście jestem mu bardzo wdzięczny.

- Ach, pan! - zawołał z ironią doktor.

Peggy i Jack zostali przetransportowani do domu doktora samochodami Tristramów i Courtenaye'ów i teraz Peggy leżała już w łóżku, nie zdając sobie sprawy z tego, co zaszło, podczas gdy Jack wzięty został na salę operacyjną dla dokonania opatrunku.

Opatrunek był tak bolesny, że Jack chwilami wydawał głuche jęki, a doktor Gillespie z podziwem spoglądał na pacjenta, który wykazywał tak nadludzką cierpliwość.



- Jest pan lepszym aktorem niż przypuszczałem - rzekł, ukończywszy bandażowanie rąk. - A teraz, Gregory, niech go pan zabierze do domu i wpakuje do łóżka. Dopiero jutro, poruczniku Crofton, będę mógł powiedzieć, na jak długo zanosi się pańska kuracja.

- Do łóżka! - zawołał Jack. - Co? Mnie?

- Pana! - odparł doktor stanowczo. - Tej nocy na pewno nie spędzi pan spokojnie a jutro rano nie ma mowy o wstawaniu. Muszę panu zaznaczyć, że takiego oparzenia nie można wyleczyć w dzień, a nawet w tydzień.

- Ach, do licha! - zaklął Jack.

- Otóż właśnie - uśmiechnął się Gillespie. - Proszę nie być upartym, tylko stosować się do moich rad! Później mi pan podziękuje.

Głos doktora był już teraz mniej ostry, a w oczach jego zajaśniała dobroć, gdy spoglądał na wymęczoną twarz Jacka. Pacjent w odpowiedzi uśmiechnął się również.

- Będę posłuszny - rzekł. - Ale czy pan jest pewny, że Peggy szybko się wyleczy? Czy nie będzie ją w nocy bolało? Pan chyba będzie czuwał nad nią?

- Peggy już proszę mnie pozostawić - rzekł Gillespie.

Jack zaśmiał się.

- Prawdziwie ojcowska opieka! Chodź, Sam! Wyjdźmy lepiej, bo gotowi nas stąd wyrzucić. Dobrej nocy, doktorze! I serdeczne dzięki! Zobaczymy się jutro rano, prawda?

Wyszedł ze śmiechem i z trudnością udało mu się jakoś wsiąść do samochodu.

- Tak - rzekł do siebie Gillespie, gdy odprowadził już gości. - Doskonały aktor, ale dobry, poczciwy chłopak. Jak Peggy się dowie, to na pewno nie da mu długo czekać na siebie.

Skierował się do pokoju Peggy i przy jej łóżku zastał żonę i Lilian. Lilian odciągnęła go na stronę.

- Peggy chce, żebym została z nią na noc - wyszeptała. - Czy moja obecność jej nie zaszkodzi?

- Dlaczego? - odparł Gillespie. - Niech się pani stara, żeby przepędziła noc jak najspokojniej. Poparzenie jej jest nieznaczne. Główną rolę odegrał tu strach i wzruszenie.

Twarcz Lilian rozjaśniła się, gdy podeszła do łóżka i pochyliła się nad przyjaciółką. Peggy leżała z zamkniętymi oczami, lecz teraz otworzyła je, czując obecność doktora.

- Hallo, Donald! - szepnęła.

Pogłaskał ją po policzku łagodnie. W oczach jego odzwierciedlała się dobroć i szczerą serdeczność.

- Jak się czujesz, dziecko? - zapytał.

Uśmiechnęła się doń, lecz w spojrzeniu jej czaił się niepokój.

- Donald, czyś go widział? Czy bardzo poparzony? Powiesz mi szczerze, prawda? Powiedziałbyś mi, gdyby... gdyby...

- Wszystko w porządku - odparł Gillespie. - Nie martw się! Co prawda, nie wyszedł bez szwanku, ale za dwa tygodnie będzie zupełnie zdrow.

- Pewny jesteś? - szeptała Peggy drżącym głosem. - Jesteś zupełnie pewny?

- Najzupełniej, moja droga, najzupełniej - uspakajał doktor - poparzył sobie tylko rękę, ale...

- A czy to bardzo boli? - zapytała Peggy z nowym niepokojem.

- Zachowuje się tak, jakby wcale nie bolało - uśmiechnął się Gillespie.

- O, z pewnością - zawołała poważnie. - Zbyt odważny jest i cierpliwy, aby okazać komuś swój ból.

- Ty też musisz być taka - rzekł Gillespie, dodając jej otuchy. - Uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy i odesłałem go do domu z Samem. Rano pojedę do niego i powiem, żeś pytała o jego zdrowie. A tymczasem przykniij oczy i zaśnij jak grzeczna dziewczynka!

- Czy może zostać przy mnie Lilian, pozwolisz? - wyszeptała Peggy.

- Ależ naturalnie! Lilian także pragnie tego. Zostawię cię na noc pod jej opieką. - Odwrócił się od łóżka, szepnął coś żonie i wyszli razem z pokoju.

Po chwili Olivia wróciła, niosąc lekarstwo i zastała obydwie przyjaciółki leżące przy sobie. W dłoni Lilian spoczywała drobna ręka Peggy. Lilian była tylko częściowo rozebrana, a gdy Peggy posłusznie przyjęła lekarstwo, przytuliła się do niej jeszcze mocniej.

- Zobaczysz, że noc nam przejdzie bardzo spokojnie - rzekła.

Lecz błysk w jej oczach zadawał kłam własnym słowom. Gdy Olivia opuściła pokój, była pewna, że dziewczęta mało będą spały tej nocy. Peggy widocznie również miała to przeświadczenie, bo gdy tylko zostały same, zwróciła się do przyjaciółki z cichą prośbą, aby nie myślała o zdarzeniach dzisiejszego wieczoru, tylko natychmiast położyła się spać.

- Jak będę trzymała cię za rękę, to się zupełnie uspokoję - rzekła. - Pragnę tylko mieć tę świadomość, że jesteś przy mnie.

Usiłowała powściągnąć nerwowy dreszcz, który ją przejmował, lecz na próżno.

- Jestem tutaj kochanie - rzekła Lilian - i pozostanę tu przez całą noc.

- Wiesz, w gruncie rzeczy straszny ze mnie tchórz - wyszeptała Peggy. - Krzyczałam tak głośno. Lilian, jak myślisz, czy on mnie też uważa za tchórze?

- Nie, maleńka - uspokajała ją Lilian. - Uważa cię za najmilszą na świecie dziewczynkę, bo taką przecież jesteś.

- O, nie! - zaprotestowała Peggy. - To niemożliwe.

Zapadła krótka chwila milczenia, a dłoń obejmująca rękę Lilian, wciąż drżała. Potem znowu cichy szept:

- Lilian!

- Co chcesz, kochanie?

Słowa Peggy głucho dźwięczały w ciemnościach.

- Pamiętasz tę noc, kiedy mówiłyśmy o Czarnym Rycerzu Devereux'ów... twoim Czarnym Rycerzu, Lilian... i ty powiedziałaś... powiedziałaś, że Jack... nie jest tym typem mężczyzny?

- Więc cóż, kochanie?

- Widzisz, Lilian - Peggy mówiła z coraz większym wysiłkiem, lecz z przekonaniem - widzisz, zdaje się, że byłaś w błędzie. On jednak jest do wielu rzeczy zdolny.

- Możliwe - odparła Lilian.

- Nikt przecież nie potrafiłby wykazać więcej odwagi. Uratował mi życie, a sam swoje ryzykował.

- Nie sądzę, aby wtedy myślał o tym - rzekła Peggy.

- Nie. On... on jest zbyt odważny, aby w takiej chwili myśleć.

- Ja bym to inaczej wytłumaczyła.

- Jak, Lilian? - W przyciszonym głosie Peggy wyczuwało się oczekiwanie.

- Myślę, kochanie, że on jest strasznie w tobie zakochany i że prawdopodobnie dziękował losowi za tę chwilę i za tę okazję, tak nieoczekiwanie zesłaną.

- Och, Lilian! - Dreszcz, przejmujący teraz ciało Peggy, nie był dreszczem rozpacz. - Nie sądzisz chyba... nie sądzisz...

- Owszem - odparła Lilian. - Zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia i z każdym dniem kocha cię coraz bardziej.

- Ależ, Lilian, Lilian, jeżeli to jest prawdą, to co ja powinnam zrobić? - Cichutki szept Peggy miał jakieś tony radosne, które nie uszły uwagi przyjaciółki.

Uśmiechnęła się w ciemnościach.

- Jest jedyna rzecz do zrobienia, według mnie - rzekła.

- Powiedz! - prosiła Peggy.

- A nie będziesz już mówiła więcej? - przekomarzała się Lilian.

- Zaśniesz grzecznie?

- Tak, na pewno. W każdym razie przyrzekam ci, że się będę starała. - Peggy z tymi słowy przytuliła się jeszcze mocniej do Lilian, która opasała ją czule ramieniem.

- Jedyną rzeczą jest, abyś się zakochała w nim jak najprędzej - rzekła.

- Ach! - westchnęła Peggy.

- Czyż to zupełnie niemożliwe? - zapytała Lilian żartobliwym tonem.

- Zupełnie, kochanie. - Peggy szept był coraz gorętszy. - Nie mogę się w nim zakochać, bo kocham go od pierwszego spotkania.

- Wiedziałam o tym - oznajmiła przyjaciółka.

- Wiedziałaś? Ach, Lilian! Nie myślisz chyba, że on...

- Nie, maleńka. Oczywiście, że nie! Nikt, oprócz mnie. Trudno ci ukryć swe serce przede mną! - Smutek zadźwięczał w głosie Lilian. - Widziałam, jak to przyszło i pragnęłam tego. Pragnęłam twego największego szczęścia.

- Ach, Lilian najdroższa! - Główka Peggy spoczęła na jej piersiach. - A co z tobą? Czy ty nigdy już nie będziesz szczęśliwa?

- Nie wiem - odparła Lilian. - Zbyt dużo wymagam od życia.

- Szczęście i do ciebie może przyjść - pocieszała Peggy. - Sądzę, że przyjdzie nawet, jeśli tylko... jeśli tylko... zechcesz je przyjąć, jak się ukaże.

- Poślubić Białego Królika, zamiast czekać dłużej na Czarnego Rycerza, co? - zauważyła Lilian z ironią. - Tak, tak, może to i uczynię! Kto wie? A teraz, dobrej nocy, Peggy! Przyrzekłaś, że będziesz usiłowała zasnąć.

- Tak, będę się starać - odparła Peggy szeptem. - Czuję nawet, że mi to przyjdzie bez trudu. Jestem strasznie szczęśliwa, Lilian.

- Dobranoc, kochanie! - rzekła Lilian, całując ją. - Przyjemnych snów, które może jutro rano staną się rzeczywistością!

Życzenie jej się spełniło, bo Peggy po chwili zasnęła spokojnie przy jej boku. Tylko Lilian długo jeszcze leżała z oczami szeroko rozwartymi. Myśli jej nie błądziły teraz wokół przyjaciółki, lecz szukały w ciemnościach czegoś czy kogoś nieznanego, a wyczekiwanego.

## ROZDZIAŁ XIV

### Peggy

Nastał wietrzny i wilgotny dzień balu myśliwskiego.

- Będziemy chyba jutro balować - zauważyła z samego rana Lilian.

- Myślę, że raczej będziemy polować niż tańczyć - dorzuciła Peggy.

- I ja mam takie wrażenie! - zawołała Lilian. - Zawsze wolę taką zabawę, w której mogę brać udział sama.

Odpozynek nocny dobrze podziałał na stan zdrowia Peggy i pozwolono jej wstać z łóżka po śniadaniu. Poza kilku drobnymi oparzelinami na ramionach i szyi, nie była zbyt poważnie poszkodowana. Toteż gdy tylko się ubrała, zapowiedziała wszystkim, że nie życzy sobie, aby ją traktowano jako chorą.

Zjawienie się Peggy, ubranej do wyjścia, w sali operacyjnej doktora, spotkało się z jego zdziwieniem.

- Co, ty nawet wychodzisz? - zapytał.

- Zamierzam jechać z tobą - rzekła - jeżeli mnie zechcesz zabrać.

- Czym zasłużyłem na taki zaszczyt? - zaśmiał się Gillespie.

Uśmiechnęła się łagodnie. Twarzyczka jej była purpurowa.

- Niczym specjalnym - odparła. - Chętnie pojedę, jeżeli pozwolisz. Dobrze mi zrobi taka przejażdżka.

- Może byś weszła tu do mnie na chwilę - zaproponował doktor.

Weszła na salę operacyjną i odetchnęła z ulgą, przekonawszy się, że nikogo obcego tam nie było.

- Teraz mi powiedz, czego sobie życzysz? - zagadnął Gillespie. - powiedz śmiało, a jeżeli przyznam ci słusność, chętnie cię z sobą zabiorę.

Spojrzała mu w oczy odważnie, chociaż twarzyczkę jej pokrywał jeszcze rumieniec.

- Możesz mnie nie zabierać, jeśli ci to sprawia jakąś trudność - rzekła ze spokojem. - I tak mam zamiar jechać do Chinnery i sądziłam, że lepiej będzie, gdy pojedziemy razem. Ale jeżeli nie chcesz, mogę się wybrać sama.

- Tego nie zrobisz! - zawołał Gillespie szorstko. - Zbyt mizernie jeszcze wyglądasz, abyś się wybierała na taką wycieczkę.

Uśmiechnęła się.

- Czuję się zupełnie dobrze - rzekła łagodnie. - I mam dość sił, aby pójść nawet pieszo do Chinnery, a z powrotem chyba zabierzesz mnie ze sobą.

- Po co koniecznie chcesz iść do Chinnery?

- Z tej samej przyczyny co ty - rzekła Peggy.

- Ho, ho! - uśmiechnął się doktor. - Ja muszę zobaczyć mego pacjenta, który dzięki tobie poparzył sobie rękę.

- A ja się wybieram w tym samym celu. Spojrzał na nie przelotnie.

- Jedyny cel? Wobec tego przywiozę ci dokładne sprawozdanie! Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, dziękuję. Muszę pójść sama.

- Dlaczego? - udał zdziwienie. - Czy to jest konieczne? Jeżeli zamierzasz złożyć mu podziękowanie, to możesz napisać, a ja mu list wręcę.

Jej poważny wzrok spotkał się z jego spojrzeniem.

- Bardzo ci dziękuję, ale pójdę sama.

- Dlaczego? - indagował Gillespie. Znowu się uśmiechnęła.

- Po prostu dlatego, że muszę - odparła.

- Jesteś tego pewna?

- Najzupełniej - odparła Peggy.

Dotknął jej ramienia pieszczotliwie. Zawsze był taki, gdy chciał okazać serdeczność swej szwagierce.

- Słuchaj, Peggy! - rzekł. - Chciałem ci coś powiedzieć po przyjacielsku.

- Myślę, że już powiedziałaś - odparła Peggy, urażona nieco.

- Nie masz powodu do obrazy.

- Ależ, ja się nigdy nie obrażam.

Gillespie poprawił się.

- Wiem o tym. Dobra z ciebie dziewczyna. Gdybym nie był mężem Olivii, stanowczo ożeniłbym się z tobą, a przynajmniej dążyłbym do tego.

- O, dziękuję ci! - zawołała Peggy żartobliwym tonem. - Bardzo ładnie z twojej strony, Donaldzie.

- Nie żądam pochwał! - odparł rycersko. - To szczerą prawdą. Chciałem ci tylko powiedzieć, że istnieje wielu mężczyzn na świecie, którzy pragnęliby mieć taką żonę jak ty. Niekoniecznie musisz oddać swe serce temu porucznikowi. Bullivant na pewno chętnie by się tobą zainteresował, a przecież wiesz, że posiada tytuł wicehrabiego.

- Lancelot! - Zawołała Peggy. - Och, jaka jestem szczęśliwa, że w tym wypadku o nim nie może być mowy.

- Dlaczego jesteś szczęśliwa? - zapytał Gillespie ze zdziwieniem.

- Nigdy nie potrafiłabym się w nim zakochać - odparła. - Nie wiem dlaczego, ale zawsze mam wrażenie, że on jest przeznaczony Lilian.

Gillespie wybuchnął głośnym śmiechem.

- Lilian trudno będzie o wielbiciela. Teraz leży u jej nóg Sam Gregory.

- Tak, wiem o tym - Peggy zmarszczyła brwi. - I chciałabym bardzo, aby z tego coś było. Lękam się tylko tego Lancelota. Jest przystojny i rycerski. Jestem pewna, że mógłby przelicytować Sama, gdyby tylko chciał.

- Na pewno mógłby - przyznał Gillespie. - Ale to nie jest powód.

- A jaki inny powód widzisz? - zapytała Peggy z niewinną miną.

- Powód! Ach, powód! - położył dłoń na jej ramieniu ojcowskim ruchem. - Nie roztrząsajmy więcej tej kwestii! Mam wrażenie, że ty wiesz najlepiej!

Peggy wstała i poczęła zapinać płaszcz.

- Mądrze powiedziałeś - rzekła. - Więc jedziemy?

- Jestem do twojej dyspozycji! - skłonił się Gillespie.

Wyszli razem i doktor usadowił ją w samochodzie z największą troskliwością.

- Zabiera ją ze sobą - rzekła Olivia do Lilian, spoglądając przez okno. - Nie sądziłam, że to zrobi.

- Zawsze mówiłam, że twój mąż jest człowiekiem rozsądnym - odparła Lilian.



Peggy usadowiła się w kącie samochodu, jak najwygodniej. Milczała. Nic dziwnego, że w tej chwili serce jej biło mocniej niż zazwyczaj, a w oczach błyszczały tajemnicze ogniki. Wiedziała, że spełnić miała misję uroczystą, z której już wycofać się nie będzie mogła.

Przybycie gości oderwało Sama od codziennej pracy przy karmieniu drobiu. Powitał ich u wejścia do kurnika, trzymając w jednej ręce kubełek w drugiej długą trzcinę.

- Hallo! - powitał przybyłych. - Przyjechali państwo w odwiedziny do chorego? Pani także? - zwrócił się do Peggy. - A to się chłopak dopiero ucieszy! Jak się pani czuje?

Nie podał im ręki, lecz na twarzy jego zajaśniał pełen serdeczności uśmiech. Prawdopodobnie radość ta byłaby większa, gdyby zamiast Peggy stała przed nim Lilian.

- Zabrałem ją ze sobą - tłumaczył Gillespie - chociaż właściwie nie powinna była dzisiaj wychodzić. Czy mogłaby się ogrzać przy jakimś piecyku, podczas gdy ja zbadam mego pacjenta.

- Na kominku płonie ogień - odparł Sam - ale lękam się, że pański pacjent właśnie tam siedzi. Ubrałem go i sprowadziłem na dół, bo biedak nie mógł już wytrzymać na górze.

Gillespie obrzucił go wzrokiem pełnym nagany.

- Tak, wiem, że nie należało - tłumaczył się Sam nieśmiało. - Ale nie mogłem sobie z nim dać rady. Gorszy jest od niesfornego drobiu. W każdym razie nie pozwalam mu wychodzić, czyli że jestem bardziej stanowczy od pana, który pozwolił na taką przejażdżkę pannie Peggy.

Gillespie zwrócił się do szwagierki:

- Zaczekałabyś tutaj chwilę.

- O nie! - zaprotestowała Peggy. - Wejdę z tobą. Sam wprowadził ich do wnętrza domu.

- Proszę tędy! Zamelduję państwa.

Lecz, gdy zdołali wejść na szerokie kamienne schody prowadzące do gabinetu Sama, Peggy wyprzedziła ich, a Sam zwrócił się z komicznym zażenowaniem do doktora Gillespie.

- Byłbym bardzo rad, doktorze, gdyby pan zechciał obejrzeć moją wylęgarnię. Ma pan ochotę? Pańskie rady zawsze są dla mnie bardzo cenne.

Z tymi słowy odciągnął doktora na stronę, Peggy zaś, nie oglądając się już za siebie, ruszyła prosto do drzwi gabinetu i cichutko zapukała.

- Hallo! - dosłyszała głos Jacka z pokoju.

Otworzyła drzwi i weszła.

Jack siedział w starym głębokim fotelu przed kominkiem i nie odwrócił nawet głowy, będąc przekonany, że wchodzi fryzjer, którego Sam miał mu przysłać.

Peggy jednym spojrzeniem objęła wszystko. Obydwie ręce Jacka były zabandażowane aż do łokci. Nosił na sobie stary szlafrok, z którego rękawy zostały wyprute. Złocista jego czupryna zdawała się płonąć w blasku ognia i w jasnym tym refleksie twarz jego nabierała barwy. Peggy zatrzymała się w progu nie mając odwagi posunąć się dalej.

- Proszę wejść! Przyszedł pan mnie ogolić? - zapytał Jack po chwili.

- O nie! - odparła Peggy. - Nie w tym celu tu przybyłam.

Odwrócił się z rumieńcem na twarzy.

- Peggy!

Podbiegła doń pośpiesznie.

- Ach, niech pan nie wstaje! Niech się pan nie trudzi! - prosiła. - przyszłam tylko... ach, Jack! Nie wiedziałam, że pan się aż tak poparzył! Że jest aż tak źle!

- Jak to źle? - zawołał wesoło. - Wcale nie jest źle. Jestem lekki jak motyl. Jak to ślicznie z pani strony, że pani przyjechała!

- Nie ma o czym mówić! - zaprotestowała Peggy głosem drżącym od łez. - Strasznie pragnęłam tu przyjść. Ale pan nie spał całą noc i prawdopodobnie bardzo pana bolało! Widać to po pańskiej twarzy.

- O, proszę nie patrzeć na moją twarz! - zawołał znowu Jack. - Jestem strasznie zarośnięty. Niech pani siądzie i powie, jak się pani czuje! Doprawdy, nie spodziewałem się. Czekałem na zapowiedziane przybycie doktora, myślałem, że ja pierwszy panią odwiedzę.

- Panu nie wolno wychodzić! - zawołała Peggy na pozór groźnie, lecz uśmiechnęła się. - Wie pan doskonale, że nie należało nawet wstawać z łóżka.

- Ach głupstwo! - rzekł Jack wesoło. - W łóżku przez cały dzień bym nie wytrzymał. Niech pani siada. O tak. Dopóki nie usiadła pani, byłem ciągle niespokojny, że pani za chwilę ucieknie. Jak się pani czuje? Gillespie mówił, że oparzenie jest dość poważne.

Spojrzała nań rozpromienionym wzrokiem.

- Przyjechałam tu, żeby...

- Żeby mi nawymyślać, prawda? Podobno zmaltretowałem panią, gasząc ogień. Czy naprawdę wyrządziłem pani wielką krzywdę?

Ze swobodą położyła dłoń na jego kolanie.

- Uratował mi pan życie - rzekła. - Sądzi pan, że nie wiem o tym.

- To kłamstwo, Peggy. Kto pani o tym powiedział?

Pochyliła się w jego stronę z poważnym wyrazem twarzy.

- Jack - rzekła - niech pan nie zaprzecza. Wolę, że pan to uczynił, niżby to miał zrobić ktoś inny.

Jack skoczył na fotelu.

- Peggy! - zawołał. - Peggy! Dziewczyno najdroższa, czy naprawdę tak myślisz?

Spojrzeniem zatoneła w jego oczach.

- Mam nadzieję, że nie weźmie pan tego za złe, że przyjechałam właśnie, aby panu o tym powiedzieć.

- Peggy! - zawołał znowu i wyciągnął ku niej swoje obandażowane ramiona.

- Daj spokój! Daj spokój! - szeptała Peggy. - Możesz się urazić. Zaczekajmy, aż się ręce wygoją. Zaczekajmy! - po czym dodała, widząc, że twarz jego posmutniała nagle. - Całując mnie, niekoniecznie musisz mnie obejmować, ja i tak nie ucieknę.

- Moje najdroższe stworzenie! - wyszeptał Jack, pochylając się nad nią, ona zaś obydwie ręce zarzuciła mu na szyję.

# ROZDZIAŁ XV

## Bal myśliwski

Bal myśliwski miał się odbyć w sąsiednim mieście Ledwell, toteż w sali ratuszowej tego wieczoru zebrali się wszyscy uczestnicy polowania w Courtenaye. Bal ten miał długą tradycję i zaproszeni myśliwi mieli następnego dnia, jak zwykle spotkać się w Courtenaye. Chwilowy deszcz, którego się tak lękano, przestał padać, nic więc dziwnego, że goście zebrani w sali balowej byli tej nocy w jak najlepszych humorach.

Lilian zjawiła się w towarzystwie siostry i szwagra, lecz Peggy, która miała się wybrać razem z nimi, zawiodła. Twierdziła, iż ma o wiele ważniejszą sprawę do załatwienia, a była pewna, że jej nieobecności na sali balowej nikt z gości zbyt dotkliwie nie odczuje. Pożegnała się z Lilian po południu, prosząc, aby przyjaciółka wpadła do niej rano po polowaniu i opowiedziała o wszystkim. Wspomnienie rozjaśnionej twarzy Peggy sprawiało Lilian prawdziwą przyjemność. Długo rozmyślała o ostatnich zajściach, w które, oprócz niej, wtajemniczony był tylko Sam Gregory. Dla Sama to wspomnienie było miłe, bo wprawiało go w romantyczny nastrój. Romantyczny! Lilian na samą myśl zagryzła wargi.

Z dziwną zaciętością i niechęcią weszła tego wieczoru na salę balową. Wbrew jej oczekiwaniom nie Sam, tylko ktoś inny powitał ją niemal u drzwi. Z tłumu gości wynurzył się wysoki, przystojny i uśmiechnięty Ronald Bullivant, lekkim krokiem zbliżając się do niej. Peggy trafnie mu nadała imię „Lancelot”.

Lilian nie odwróciła głowy, gdy stanął tuż przy niej, lecz przystanęła mimo woli. Niechętną miną nie zachęcała go zbyt do rozmowy.

- Nareszcie, Miss Devereux! - zawołał Bullivant z radością. - Myślałem, że już pani mi się rozplynie w tłumie nim zdołam się do pani zbliżyć.

Powstrzymała głośny wybuch śmiechu.

- Bardzo mi przykro, że pan czekał, ale lękam się, że nie jestem materia topniejącą.

- To znaczy, że jest pani całkiem zimna? - zapytał z uśmiechem. - Czy nic pani nie zdoła rozgrzać, ani rozpalić?

Spojrzała nań z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach.

- Jestem idealnie ogniotrwała - odparła.

- Zakuta w zbroję? - podchwycił. - Coś w rodzaju Joanny d'Arc? Ale zbroja ta nie przeszkodzi pani chyba tańczyć?

Trzymała w ręku karnecik. Zdecydowanym ruchem pełnym poufałości, odebrał go. Twarzyczka jej spłonęła rumieńcem, lecz nie zaprotestowała, obserwując tylko obojętnym wzrokiem, jak wypisywał swe inicjały przy każdym tańcu. Gdy zwrócił jej karnecik, rumieniec zbladł już na jej twarzy, lecz oburzenie zostało.

- Będę miał te wszystkie? - zapytał jakby rozkazująco.

Nie odpowiedziała natychmiast i w tej samej chwili krótkie milczenie przerwał inny głos, tuż spoza jej pleców:

- A co ze mną?

Obydwoje odwrócili się w tę stronę.

- Ach, Sambo! - zawołała Lilian. - Szukałam cię. Major Bullivant zepsuł mi cały karnecik. Podaj mi inny.

Stali przy drzwiach. Sam wręczył jej czysty karnecik. Lilian bez słowa podarła wypełniony karnet na drobne kawałki i z uśmiechem rzuciła go na ziemię.

- Właściwie karnet nam niepotrzebny, Sam - zauważyła - bo i tak mieliśmy ze sobą spędzić cały wieczór. Lękałam się, że nie pamiętasz o tym.

- Co takiego? - oburzył się Sam. - Sądziś, że nie wystarczyła mi twoja prośba? - Spojrzał na Bullivanta, a ten uśmiechnął się doń przyjaźnie. - Mam nadzieję, że nic się nie stało - rzekł po chwili. - Widzi pan, Lilian obiecała przetańczyć ten wieczór ze mną. Umówiliśmy się jeszcze przed kilku tygodniami.

- Istotnie? - bąknął Bullivant.

Spojrzał na Sama krytycznym wzrokiem, nie wyrażającym jednak nienawiści. Na twarzy jego jaśniał jeszcze uśmiech.

- Istotnie? - powtórzył.

- Otóż właśnie - odparł Sam, nie mogąc opanować swego tryumfu. - Chętnie przedstawię pana kilku damom, aby się pan nie nudził.

- Dziękuję! - rzekł Bullivant. - Nie chcę zabierać panu drogiego czasu.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że major był obrażony. Przyjął porażkę z obojętnością. Może lękał się zwróconych na siebie oczu, a może pomyślał, że odmowa Lilian Devereux,

która odmawiała wszystkim prędzej czy później, jest dlań tylko odwleczeniem bliskiego zwycięstwa.

Zwrócił się teraz do Lilian z najzupełniejszym chłodem:

- Muszę przeprosić panią za to, że jej czas zabierałem - rzekł - oraz za to, że niepotrzebnie zniszczyłem karnecik! Nie miałem pojęcia, że swych adoratorów trzyma pani tak ostro. Mam nadzieję, że ze swego ucznia będzie pani miała prawdziwą pociechę.

Uklonił się i odszedł. Gdy w kilka minut potem zaczęto tańczyć, poprosił do pierwszego tanga swą kuzynkę Celię Barnaby, a wyraz twarzy obojga świadczył, że czują się ze sobą doskonale.

- Zatańczymy? - zapytał Sam.

Lilian stała pod ścianą z obojętnym wyrazem twarzy. Musiał powtórzyć pytanie, aby je wreszcie dosłyszała. Spojrzała nań z jakimś dziwnym obcym uśmiechem.

- Jesteś takim marnym tancerzem, nieprawdaż, Sam? - zagadnęła.

Roześmiał się.

- Usiłuję tańczyć jak najlepiej.

- Ale nigdy nie będziesz prymusem - odparła ze śmiechem. - Owszem, zatańczę z tobą, lecz chętniej pojechałabym samochodem do Brighton i z powrotem.

- Moja maszyna jest do twojej dyspozycji - rzekł Sam. - Możemy wrócić jeszcze przed świtem.

- Co za cudowny pomysł! - zawołała Lilian.

Zatańczyła z nim raz dokoła, lecz ruchy jej nie posiadały życia i były raczej mechaniczne. Gdy stanęli przy drzwiach, rzekła doń nagle szeptem:

- Sam, muszę stąd wyjść. Czy możesz przygotować samochód, a ja tymczasem wezmę okrycie?

- Oczywiście! - zgodził się Sam.

Wyprowadził ją z sali w milczeniu. U wejścia było dość dużo ludzi, częściowo ci, którzy spóźnili się nieco. Jakaś niewiasta zaczepiła ją i Lilian w przejściu rzuciła jej jakąś wesołą odpowiedź. Wreszcie zniknęła za drzwiami garderoby, a Sam wyszedł na ulicę.

Po kilku minutach ukazała się w hallu okryta długim futrem z szalem na głowie. Hall był już zupełnie pusty i tylko z sali balowej dochodziły dźwięki orkiestry, a z ulicy wesołe warczenie motoru Sama. Zbiegła ze schodów i zastała go siedzącego już przy kierownicy.

Sam podniósł budę, bo drobny deszcz zaczynał znowu kropić. Drzwiczki samochodu były otwarte. Wskoczyła do wnętrza bez słowa i natychmiast ruszyli szeroką ulicą, a w oddali za nimi cichł gwar rozbawionych gości i dźwięki rzewnej melodii wygrywanej przez orkiestrę.

- Dzięki Bogu! - szepnęła Lilian.

Siedziała sztywno z dłońmi zaciśniętymi na wachlarzu, a auto mknęło przez miasto, aż wreszcie wydostali się na szeroką przestrzeń. W pewnej chwili orientując się, że zwalniają szybkość, zapytała:

- Dokąd jedziemy?

- Nie wiem - odparł Sam. Odetchnęła głęboko i zaśmiała się dziwnie.

- W każdym razie nie do Brighton.

- Nie - zgodził się Sam. Znowu zapadła cisza i jechali spokojnie pod konarami rozłożystych drzew.

- Jestem strasznie zmęczona - odezwała się Lilian po dłuższej chwili. - Ta zabawa wcale nie była zabawna.

- Domyśliłem się.

Uczyniła niespokojny ruch.

- Nie sędzę, abym była dobrą aktorką. Ogromnie mnie męczy zachowywanie pozorów.

- W każdym razie osiągnęłaś swój cel - wyszeptał Sam.

- Och, tak! - Głos jej miał teraz ton dziwnie suchy. - Tak, poświęciłam najlepszą przyjaciółkę wielkiej sprawie. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego to uczyniłam. Może to wcale nie przynieść jej szczęścia. Zdarzają się takie rzeczy.

- Pewna jesteś? - zapytał Sam.

- O, najzupełniej. Istnieje chwilowa ułuda, zwana miłością. Peggy będzie się w niej nużyć przez pewien czas. Jeżeli ma szczęście, nie zorientuje się, gdy blask tej ułudy przygaśnie. To jeszcze jest jedyna nadzieja.

- Mam ci powiedzieć, co słyszałem od niej dziś rano? - zapytał Sam.

- Proszę cię bardzo - odparła obojętnie.

- Gdy Gillespie i ja przeszkodziliśmy im wreszcie, Peggy z Jackiem siedzieli przy ogniu. Gillespie podszedł do niej i zapytał: no co, już mu podziękowałaś? A ona spojrzała nań z prostotą, bez cienia zażenowania i odparła: nie, nie miałam zamiaru mu dziękować. Chcia-



łam mu tylko powiedzieć, że go kocham. Strasznie ją za to lubię. - dorzucił Sam z uśmiechem.

- Tym samym powabem oczarowała Jacka.

- Biedna, mała Peggy! - westchnęła Lilian.

- Uważasz, że jest godna pożałowania? - Tak pytał, jakby już znał treść odpowiedzi.

- Sądzę, że każda kobieta, niezupełnie głupia, zasługuje na litość - odrzekła Lilian chłodno. - Świat nie został stworzony dla kobiet. Są one tylko nieszczęśliwymi istotami.

- Ale gorzej byłoby bez nich.

Uczyniła nieznaczny ruch protestu i zamilkła.

Deszcz padał coraz większy i ciężkie krople uderzały o budę samochodu Sama. Skierował maszynę na prawe pobocze szosy i zatrzymał ją.

- Zapalisz papierosa? - zaproponował. - Mam tu gdzieś całkiem przyzwoite.

- Nie miałam pojęcia, że ty palisz przyzwoite papierosy - zdziwiła się Lilian.

- Nie kupiłem ich dla siebie - odparł, szukając po kieszeniach.

- Kupiłem je z myślą o tobie.

- O mnie! - w głosie jej brzmiało zdziwienie. - Co cię, u licha, do tego skłoniło? Czytasz w mych myślach?

- Nie - odparł Sam. - Ale pomyślałem, że mogą się kiedyś przydać. Zapaliki też powinienem gdzieś mieć. Gdzież się to wszystko podziało?

Wybuchnęła nagle śmiechem.

- Nieoceniony byłby z ciebie towarzysz na wyspie bezludnej!

- Tak, gdyby zapaliki nie zamokły, bo wówczas miałabyś ze mnie mniej pożytku.

Śmiech jej przeszedł w westchnienie.

- Tak, lękam się, że masz słuszość. Dla mnie wszystko przedstawia małą wartość, jak sam wiesz.

Znalazł wreszcie zapaliki i położył pudełko z papierosami na jej kolanach.

- Jestem wystarczającym osłem, aby sobie z tego nic nie robić - oznajmił.

- Nienawidzę ludzi, którzy sobie z niczego nic nie robią - zawołała Lilian. - Z takim człowiekiem wolałabym raczej umrzeć niż żyć. Na miłość boską, nie bądź milczący i zamyślony, Sam, bo gotowam stracić dla ciebie resztki sympatii!

- Nigdy w życiu! Gdy zdecydujesz się wybrać ze mną na bezludną wyspę, przekonasz się, że nie jestem ani nudny, ani małomówny.

- Dziękuję - szepnęła Lilian.

Zapaliła papierosa i oparła się o poduszki auta.

- Chcesz dalej jechać? - zapytał.

- Nie zależy mi. Zaczynam się już czuć lepiej. - Wypowiedziała te słowa jakoś bezdźwięcznie. - Dziękuję ci za papierosy, Sam. A ty nie zapalisz?

- Mam jeszcze swego - odparł.

Zapalił również i przez chwilę siedzieli w milczeniu, deszcz tymczasem padał coraz rześystszy i strumieniami spływał z budy na ziemię.

- Ciekawa jestem, co myślą o nas - zagadnęła nagle Lilian.

Sam wykonał gest, który miał oznaczać, że nie zależy mu na tym, co ktoś o nim myśli.

- Nie obchodzi cię? - zapytała.

- A ciebie? - zdziwił się.

Zignorowała pytanie.

- Przyjemnie jest być pewnym swej opinii i nie brać takich rzeczy pod uwagę.

- Nie dbam o swoją opinię - odparł.

- O moją również? - zagadnęła z ironią.

- To zupełnie coś innego. Obmowa, krytyka - ciebie to dotknąć nie może.

- Prawdopodobnie nie. Lecz posiada to pewne znaczenie. Uważam, że moja reputacja, albo jeżeli wolisz moja moralność nie jest bez znaczenia. Na przykład, nie przebywałbyś chętnie w moim towarzystwie, gdybyś wiedział, że nie posiadam zasad moralnych, prawda?

- Moja droga Lilian - odparł łagodnie - muszę ci wyznać, że moralność twoja nie ma nic wspólnego z moimi dla ciebie uczuciami. Dla mnie jesteś ideałem, będąc taką, jaką jesteś. Wcale bym nie chciał, abyś była inna.

- Wspaniałomyślny człowieku! - zawołała Lilian. - Ciekawa jestem, czy istotnie posiadasz naturę tak prostolinijną.

Znowu ironia w jej głosie zniechęciła go trochę, lecz postanowił nadal traktować kwestię poważnie.

- Jeżeli jestem, jak powiadasz, prostolinijny - odparł - to prawdopodobnie tylko dlatego, że poznałem wiele stron życia. Wiem równie dobrze, jak ty, że okoliczności więcej zdziałać mogą niż rozum. Prawdziwą cnotą nie jest być cnotliwym, lecz oprzeć się wszelakim pokusom, które sprowadzają okoliczności.

- W rzeczywistości mało jest ludzi cnotliwych - zauważyła Lilian.

- Tego nie wiem - odparł Sam. - Lecz mogę powiedzieć, że nikogo nie można nazwać cnotliwym, gdy się nie jest pewnym, czy był narażony na pokusy. To nie są równe szanse.

- Równe szanse! - powtórzyła Lilian z dziwną goryczą. - Znowu inny problem, Sam. Czy kiedykolwiek na świecie mamy równe szanse? Czy to w ogóle jest możliwe?

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Mam jednak wrażenie, że większość ludzi posiada pewne szanse. Należy ich tylko nie omijać.

- Jeżeli przychodzą w odpowiedniej chwili - dorzuciła Lilian.

- Ty na przykład masz teraz szanse, lecz zdajesz się ich nie dostrzegać.

- Co takiego! Możliwość poślubienia ciebie, to masz na myśli? - Dawna szydercza nuta brzmiała w jej głosie.

- Zdajesz się tego nie dostrzegać! - powtórzył Sam. Lilian pochyliła się nieco naprzód.

- Gdybym dostrzegła - rzekła ze wzrokiem utkwionym w światło reflektora - ciekawa jestem, kto z nas pierwszy by tego żałował.

- Postarałbym się, abyś ty nie żałowała - odparł. Zaśmiała się bez słowa.

- Nie zdajesz sobie sprawy - szepnęła po chwili, patrząc ciągle na reflektor, jakby odczytywała przyszłość ze szklanej kuli - że zrujnowałbyś sobie życie, poślubiając kogoś, kto cię nie kocha. Ja nie mogę być taka samolubna.

- Lilian! - Uczynił gwałtowny ruch, nie mogąc się dłużej opanować. - Czy to jest przyczyna, dla której mi zawsze odmawiasz?

- Bardzo dziwna przyczyna, nieprawdaż? - uśmiechnęła się, spoglądając wciąż na reflektor.

- Ty mi nigdy życia nie zrujnujesz - zawołał Sam z przekonaniem.

- Ale mogę ci złamać serce - wyszeptała.

- Nie - odparł stanowczo.

- A jeżeli pewnego dnia spotkam kogoś, kogo bardziej pokocham? - zapytała głosem przechodzącym w gorący szept.

Wzruszył nieznacznie ramionami.

- Możliwe.

Spojrzał na nią, jakby szukając czegoś w jej pobludłej twarzy.

- Któż taki? - zapytał. - Jakiś wysniony rycerz z czasów dzieciństwa, którego nigdy w życiu nie zobaczysz?

Skinęła głową, nie odwracając wzroku od reflektora.

- Wysniony rycerz, tak. I może nigdy w życiu więcej go nie zobaczę. Ale, gdy się zjawi, pójdę do niego, Sam... będę musiała pójść.

Zapadło krótkie milczenie. Sam uważnie obserwował jej profil, po czym zaczął mówić, jakby do siebie:

- Lilian, przypuszczasz, że gdyby to się stało, to ja stawałbym ci na drodze?

- Nie mógłbyś rozwiązać węzła - wyszeptała.

- To rozerwałbym go w jakiś sposób - zawołał.

Poruszyła się wreszcie, westchnęła i poprawiwszy się na miejscu, sięgnęła po drugiego papierosa.

- Czy wiesz, że ja tylko bawię się tobą? - zapytała. On stracił zapał.

- O tak, wiem o tym - odparł. - Deszcz pada coraz większy. Może byśmy wrócili?

Ruszyli z miejsca, lecz intymny nastrój prysł i nie powrócił już więcej. Lilian pomyślała, że ominięła znowu swe szanse i że zawsze tak czynić będzie. Mogła posunąć się z nim dalej niż z każdym innym mężczyzną, bo on nie wykorzystałby nawet tego.

Nie. Posiadał stanowczo pewne zalety jako wierny sługa i pacholek, a nawet często, jako przyjaciel. Lecz jako władca... Nagły uśmiech rozchylił jej wargi, bo pomyślała, że przy jej naturze władca jest stanowczo zbyt cenny. Czyż potrafił władać czymś, czy kimś w życiu, ten biedny Biały Królik, który ją tak bałwochwalczo kochał?

# ROZDZIAŁ XVI

## Dwie siostry

Gdy goście po kolacji wrócili do sali balowej, Lilian i jej towarzysz siedzieli w niewielkiej niszy i pozostali już tam do końca wieczoru. Tańczyli dwa czy trzy razy, lecz bez zbyteńgo zapału i gdy Joyce wreszcie podeszła do Lilian, proponując powrót do domu, ta przyjęła propozycję z największą radością.

- Jestem wzruszona do łez - zawołała szczerze. - W gruncie rzeczy dawno już uczyniłabym to chętnie.

Pożegnała się z Samem i wraz z siostrą opuściła salę.

Joyce przyglądała się jej uważnie, gdy przechodziły przez hall, lecz wyraz twarzy Lilian był najzupełniej normalny i nawet zdobyła się na przesłanie uśmiechu majorowi Bullivantowi, który wsparty o ścianę, palił papierosa. W odpowiedzi na uśmiech, major skłonił się grzecznie.

- Lilian, dlaczegoś to znowu zrobiła? - szepnęła Joyce.

- Co takiego? - zdziwiła się Lilian.

- Ach, to ciągle lekceważenie! - westchnęła starsza siostra.

W powrotnej drodze do domu dało się odczuć, że Lilian zasłużyła na nową niełaszkę swego szwagra z przyczyny dziwnego zachowania się przez cały wieczór. Pomimo to jednak, była w doskonałym humorze i po przybyciu do domu pobiegła do swego pokoju z wesołą piosenką na ustach.

Joyce spojrzała na męża z uśmiechem.

- Tak - rzekł Hildebrand ponuro - możesz się śmiać, jeżeli uważasz, że ta cała historia jest śmieszna. Ja myślę inaczej.

- Lilian jest strasznie samowolna - westchnęła Joyce.

- Zbyt łagodne określenie - odparł - Ten bezmyślny flirt z Samem Gregory w celu dokużenia Bullivantowi jest czymś, czego nie będę tolerował. Muszę dać Gregory'emu do zrozumienia...

- Och, nie czyn tego! - błagała Joyce. - Mogłoby to jeszcze pogorszyć sytuację. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby nagle zdecydowała się poślubić Sama Gregory.

- Taka głupia nie będzie - rzekł Hildebrand - mając możliwość zostania żoną Bullivanta.

- Prawdopodobnie ona wie lepiej, czego pragnie - zauważyła Joyce odważnie.

Wzruszył ramionami z pogardą. Jak może kobieta wiedzieć lepiej?

Lecz na dłuższą rozmowę brakło czasu, bo przed chwilą wybiła trzecia i za kilka godzin miało nastąpić zebranie myśliwskie. Pożegnawszy się z żoną, Hildebrand odszedł do swego pokoju, pozostawiając Joyce tę satysfakcję, że ona to wypowiedziała ostatnie słowo.

Nazajutrz rano posłała Lilian śniadanie do pokoju i sama ją odwiedziła. Chciała nawet powiedzieć jej parę przykrych słów na temat wczorajszego wieczoru, lecz gdy dziewczyna zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała serdecznie na przywitanie, Joyce zapomniała o wszelkich morałach. Lilian potrafiła rozbroić nawet najzaciętszego wroga.

- Lilian, kochanie! W takim stroju wychodzisz na korytarz! - zdobyła się Joyce na delikatną uwagę.

- Cóż w tym straszego? - zdziwiła się Lilian. - Przecież jestem w nocnej koszuli, a przyzwoiciej ona wygląda od niejednego szlafroka.

- Dajmy spokój, Lilian! - próbowała się jeszcze oburzać Joyce, lecz mimo woli uśmiechnęła się.

Lilian wciągnęła ją do pokoju, sama zaś wskoczyła z powrotem do łóżka, paląc papierosa po spożytym już śniadaniu.

- Cudownie spędziliśmy czas wczoraj w nocy - wyznała. - Namówiłam biednego Sama, aby mnie zabrał na przejażdżkę swym autem. Oczywiście zgodził się od razu, chociaż wiem, że on nigdy w życiu nie popełniłby takiego nietaktu. Dał mi poza tym pudełko tych papierosów, które podobno kupił specjalnie dla mnie. Bardzo ładnie z jego strony. Gdyby mi podarował kwiaty, na pewno rzuciłabym mu je w twarz.

- A gdzieście byli? - zapytała Joyce.

- Zapytaj lepiej, gdzieśmy nie byli - zaśmiała się Lilian. - Pomyślałam, że Samowi przyda się taka wycieczka po całotygodniowej pracy. Jak widzisz poświęciłam mu cały wieczór. Czyż to nie jest szlachetne z mojej strony?

- Nie mam pojęcia - odparła Joyce z wahaniem, zapatrując się widocznie inaczej na tę całą kwestię.

- O tak, ty kochanie, nie przyznasz mi słuszności, bo zawsze stajesz po stronie swego męża!

- Ależ, Lilian, nie uważasz, że zwodzisz biednego chłopca? - zauważyła Joyce.

- Ani trochę. - Lilian wypowiedziała te słowa z książęcą godnością. - Nigdy w życiu nie zwodził go nikt mniej ode mnie.

- Wybacz, Lilian, czy nie proponował ci znowu małżeństwa? - Joyce zadała to pytanie nerwowo, jak ktoś zbaczający na niedozwolony temat.

Lilian zaciągnęła się papierosem.

- Naprawdę nie pamiętam. Zdaje się, że nie. Ach, owszem, proponował, chociaż nie pamiętam, co mówił. Zdaje się, że ja odpowiedziałam „nie”. Jak zwykle. Zawsze proponuje, gdy nie może znaleźć innego tematu do rozmowy, a zdarza się to bardzo często.

- Ciekawa jestem, co z tobą będzie?

- Nie mam pojęcia - oznajmiła Lilian. - Przecież trudno, żeby się wszyscy zaręczali. To dobre dla Peggy. Widziałaś tę małą? Jest szczęśliwa jak królowa.

- Zamierzam ją dzisiaj odwiedzić - odparła Joyce.

- Koniecznie! Doskonały pomysł. Będziesz mogła jej powiedzieć, jakie rozkosze przynosi kobiecie małżeństwo i ona na pewno ci uwierzy. Pochłonie wszystkie twoje słowa, prosząc o więcej.

- Lilian! Lilian! - Joyce pokiwała z oburzeniem głową, a Lilian wybuchnęła nowym śmiechem.

- Przecież tak jest, kochanie! To jest twój ulubiony konik! Wszystkie mężatki dumne są ze swego stanowiska. Gdy tylko wychodzą za mąż, starają się imponować tym biedaczkom, bo prawdopodobnie w głębi duszy każda z was żałuje tego kroku. Ale tak już jakoś jest na świecie.

Strzepnęła popiół do filiżanki po wypitej kawie. W blasku porannych promieni słonecznych wyglądała jeszcze młodziej i bardzo uroczo. Włosy jej związane w niedbały węzeł, rozrzucone były na poduszce. Mimo całej swej nowoczesności, Lilian nie była niewolnicą mody. Nienawidziła wszelkich sztucznych upiększeń. Charakterystyczną cechą jej usposobienia było pragnienie swobody, więc i w tym wypadku nie lubiła zmuszać się do tego, co czyniły inne kobiety. Posiadała zresztą tyle wrodzonego czaru, że prawdopodobnie nie byłoby jej do twarzy w upiększeniach sztucznych. Słusznie powiedziała kiedyś Nancy Jervis, że chyba nikomu się jeszcze nie udało usunąć na drugi plan Lilian Devereux.



Gdy leżała tak teraz w pościeli z ognikami w oczach, sprawiała wrażenie małej dziewczynki, obdarzonej przez naturę prawdziwie kobiecym wabikiem. Nawet Joyce to zauważyła. I jednocześnie dostrzegła, że twarzyczka Lilian blejsza była dzisiaj niż zwykle.

- Widocznie źle spałaś tej nocy - odezwała się nieoczekiwanie.

- Czy uważasz, że powinnaś wziąć dzisiaj udział w polowaniu?

Lilian uczyniła nieprzyjemny grymas.

- Jesteś nieoceniona, Joyce. Nie rozumiem związku między jednym i drugim. Oczywiście, że będę polować! Wygląda to tak samo, jakbyś powiedziała: „Widzę, że masz szalone pragnienie i sądzę, że dobrze byłoby, abyś dzisiaj nic nie piła”.

- Bez wątplenia sama wiesz lepiej, co robisz - rzekła Joyce łagodnie.

Na twarzy Lilian odzwierciedliło się wzruszenie.

- Jakież ze mnie bydlę! Wybacz mi, siostrzyczko! Chciałam tylko zaznaczyć, że polowanie dobrze mi robi. San Toy także będzie zadowolona. Od kilku dni biedaczka ani razu nie galopowała przyzwoicie. Jaką mamy dziś pogodę? Ładnie, czy wilgotno? Muszę już wstać.

Natychmiast obróciła słowa w czyn, wyskakując z pościeli całkiem nieoczekiwanie. Chwyciła ręcznik i gąbkę i nucąc myśliwską piosenkę, pobiegła do łazienki.

Joyce wstała i zeszła na dół. Była stanowczo zmartwiona postępowaniem Lilian.

Już tylko trzy tygodnie do świąt Bożego Narodzenia, dzieci wrócą ze szkół i wówczas będzie miała mniej czasu na czuwanie nad siostrą. A Lilian wymaga opieki. Dręczy ją ciągle jakiś niepokój i w niepokoju tym jest coś rozpaczliwego. Jakaś niewytłumaczona siła pcha ją naprzód do postępów, którym sama jest przeciwna. Czyżby to było uczucie do Sama Gregory, czy może jakiś inny wpływ? Joyce zastanawiała się głęboko nad tym.

Ujrzała Lilian w chwili, gdy myśliwi zebrali się przed domem. Sama Joyce nie jeździła konno, lecz jako pani domu, zmuszona była wyjść i powitać gości.

Zaraz na wstępie zauważyła sir Burtona Tristrama, a przy nim pasierba, majora Bullivanta, którego obecność przejęła ją dziwnym zażenowaniem.

Polubiła go od pierwszego wejrzenia za jego uprzejmość i rycerskość i przykro jej było patrzeć na to, jak Lilian go dziwnie traktowała. Pragnęła mu powiedzieć, że młodsza siostra czyni to z prostego kaprysu i prosić, aby miał więcej cierpliwości, a wówczas na pewno wszystko się ułoży. W głębi duszy nie pochwalała postępowania Lilian, którego zresztą nie rozumiała, posądzając siostrę o wyrafinowaną kokieterię. Trudno było przypuścić, aby jakaś

kobieta nie lubiła majora Bullivanta, a tym bardziej Lilian, której major okazywał tyle życzliwości i przyjaźni. Może postępowanie to było raczej wynikiem uczucia, które zrodziło się w sercu dziewczyny od pierwszego wejrzenia? Joyce nie mogła się zorientować w sytuacji.

Widok Sama, jadącego na siwym wierzchowcu i wyglądającego, jak zwykle, niepozornie, zwrócił myśli Joyce znowu na tę kwestię. Czyż jakaś dziewczyna o zdrowych zmysłach może porównać niepozornego Sama Gregory o bezbarwnej twarzy z męskim, przystojnym majorem Bullivantem?

Lilian prawdopodobnie do reszty oszalała, bo zjawiła się nagle u boku Sama, rozmawiając z nim wesoło. Obydwoje prowadzili swe wierzchowce. Lilian zdawała się nie dostrzegać sir Burtona Tristrama i majora Bullivanta, który w pewnej chwili uchylił kapelusza, lecz natychmiast ręka mu opadła. Joyce wstydziła się za swoją siostrę.

- Jak ślicznie pani siostra wygląda na koniu - rzekł Bullivant.

Joyce zmieszana się, słysząc tę uwagę. Miała wrażenie, że czytał jej myśli.

- Jest doskonałą amazonką - odparła.

Uśmiechnął się.

- To od razu widać. Przyjemnie jest patrzeć na nią. Mam wrażenie, że lepiej się czuje na polowaniu niż w sali balowej.

Najwidoczniej pragnął mówić o Lilian! Joyce ucieszyła się ze swego odkrycia. Dla niej nadarzała się okazja!

- Sądzę, że była zbyt zmęczona wczoraj, aby tańczyć - rzekła. - Miała strasznie dużo pracy przez cały tydzień, przygotowując sztukę.

Wiedział o tym. Kilkakrotnie przyjeżdżał do Courtenaye w czasie, gdy Lilian przebywała w domu doktora i za każdym razem dopytywał się o nią.

Teraz pochylił z szacunkiem głowę.

- Doskonała z niej artystka - przyznał.

Dreszcz podniecenia przeszył ciało Joyce.

Nie wiedziała, czy słowa te były wypowiedziane z pewną intencją czy też nie zawierały żadnej ubocznej myśli. Czasu miała niewiele, a podniecenie coraz bardziej wzrastało.

- O, pan to także zauważył? - zawołała.

Spojrzenie jego spotkało się z jej wzrokiem. Przez chwilę w jego oczach malowała się powaga, potem uśmiechnął się znowu.

- Owszem, także zauważyłem - rzekł. - Lecz mam wrażenie, że pani częstokroć patrzy na siostrę przez różowe okulary.

- Lilian nie zwierza mi się ze swych tajemnic - wyszeptała. - A każda kobieta posiada swój świat duchowy.

Było to wszystko, co mogła powiedzieć. Przyjął to z przyjazną wdzięcznością, która wykluczała wszelką obrazę.

- Będę o tym pamiętał, Mrs Courtenaye - odparł. - Bardzo pani dziękuję.

Przesłała mu uśmiech, którym go chciała zapewnić o swej sympatii i zabierała się już do odejścia.

- Niech pan wpadnie do nas dzisiaj po południu, jeśli pan nie ma nic lepszego do roboty - zaproponowała.

- Bardzo dziękuję, na pewno skorzystam - odparł Bullivant.

Gdy wchodziła do wnętrza domu, przyszło jej na myśl, że Hildebrand miał słuszość twierdząc, iż i granie Lilian z Samem Gregory musi się stanowczo skończyć. Teraz, kiedy Joyce była już przekonana, że Ronald Bullivant miał poważne zamiary, sytuacja przybierała zupełnie inny obrót. Lecz jak przygotować do tego Lilian? Przecież ta dziewczyna posiadała w sobie tyle dzikiej przekory, że mogła dalszym swym postępowaniem tylko zepsuć całą sprawę. Jechała teraz przy boku Sama, aczkolwiek przed godziną twierdziła, że zeszłej nocy śmiertelnie nudziła się w jego towarzystwie.

# ROZDZIAŁ XVII

## Nieporozumienie

Zaszyli się w las, należący do majątku Courtenaye i nagle natknęli się na lisa, który począł uciekać szeroką drogą wiejską w stronę terenu dworskiego. W pobliżu parku skrył się na chwilę, po czym wynurzył się znowu z zarośli i myśliwi pognali w ślad za nim przez dolinę, aż prawie do pierwszych domów Ledwell, gdzie zamierzali zabić zwierzę na otwartej przestrzeni.

Lilian, jak zwykle, wyróżniała się spośród amazonek. Gnała nieustraszenie naprzód i zdawało się, że między nią i jej wierzchówką istniało jakieś porozumienie, które łączyło je obie w szalonym pragnieniu zwycięstwa. Istotnie, Lilian najlepiej czuła się w siodle, co zresztą przyznawał jej nawet Hildebrand. Z rękami wzniesionymi ku górze siedziała pewnie jak wytrawny jeździec, stanowiąc kontrast z Samem, który kurczowo trzymał się swego konia, jakby za chwilę miał spaść, chociaż na ogół był dość odważny.

Bullivant usiłował utrzymać się stale na czele oddziału, co mu przychodziło jednak z pewną trudnością. Sam osiągnął szybkość dość wielką, mimo swej niepozornej postaci.

Około pierwszej po południu deszcz przestał padać i blade słońce wyjrzało spoza chmur. Myśliwi zdecydowali po upolowaniu pierwszego zwierza, cofnąć się do lasu dworskiego.

I znowu - czy to przez przypadek - Lilian znalazła się u boku Sama, który ochlapany błotem od stóp do głowy, okazywał niezwykłą wytrzymałość i tuszował wszystko doskonałym humorem.

- Sądzę, że pojedziesz dalej? - zauważył, gdy znaleźli się na skraju bagnistej przestrzeni i nogi ich wierzchowców zaczęły grzęznąć w błotnistym terenie.

- Nie wiem, czy powinnam - odparła. - Chyba, że ta zabawa wkrótce się skończy.

- Jesteś zmęczona? - zagadnął Sam.

Skinęła głową.

- Trochę. Zresztą chciałabym zobaczyć się z Peggy. Obiecałam jej, że wpadnę. Pojedziesz ze mną, oczywiście?

- Chyba, że pojedę z tobą do domu.

Uczyniła nieznaczny ruch zniecierpliwienia.

- To stanowczo nie ma sensu, ale bardzo ci dziękuję. Lubię jeździć sama.

Mówiąc to obejrzała się. Właśnie Bullivant wraz z Hildebrandem wjeżdżali do lasu, który rozbrzmiewał głośnym szczekaniem psów. Minęli Lilian i Sama, zanurzając się w zarośla.

Lilian spojrzała na swego towarzysza i dostrzegła, że Sam obserwuje ją uważnie. Przez chwilę spojrzenia ich się spotkały, a w oczach jej zabłyśły pełne zuchwałości ogniki.

- Tak, myślę, że pojedę do domu - rzekła. - Zabrałam z sobą kilka kanapek, które mam zamiar zjeść po drodze.

Drugi raz już nie proponował, że pragnie jej towarzyszyć. Tętent kopyt końskich był znakiem, że do lasu wjechał większy oddział jeźdźców. Bullivant wraz z Hildebrandem zniknęli im z oczu.

- Do widzenia! - zawołała Lilian. - Wymknę się stąd, zanim tamci nadjadą...

- Jedź ostrożnie! - zaniepokoił się Sam.

Zaśmiała się głośno i odjechała. San Toy stapała ostrożnie po rozmokłej ziemi, gubiąc w błocie jedną podkowę. Sam obserwował odjeżdżającą Lilian ze zmarszczonymi brwiami.

Głośny krzyk, który rozległ się po chwili, upewnił go, że psy wpadły na ślad zwierza i że gonią go na otwartej przestrzeni. Szczekanie wzmogło się, przechodząc chwilami w dzikie wycie. Drugi lis ukazał się na skraju bagniska. W kilka minut potem całe pole rozbrzmiewało głośnymi okrzykami, powtarzanymi przez echo u stóp pobliskich pagórków. Sam zastanowił się, czy Lilian zwabiona tymi okrzykami, nie wróci na teren polowania. Był pewny, że nie odjechała jeszcze daleko i że słyszy entuzjastyczne wrzaski myśliwych. Lilian jednak nie wróciła. Zatrzymała tylko konia na chwilę, przysłuchując się okrzykom, lecz potem ściągnęła cugle, kierując wierzchówkę w stronę lasu.

W ciszy leśnej tego zimowego dnia było coś tajemniczego, przesiąkniętego wonią wiosny i jesieni, smutku i nadziei. Gdzieś w ukryciu raszka zawodziła słodkim głosikiem. Lilian znowu zatrzymała San Toy, aby posłuchać tego śpiewu.

Okrzyki myśliwych zamarły w oddali. Las był spokojny, jakby trwał pod wpływem baśniowego czaru. Tylko śpiewający ptak zdawał się być jedyną żywą istotą wśród spokojnych, poważnych drzew.

Lilian znieruchomiła na chwilę, jakby w niecierpliwym oczekiwaniu czegoś. Nic się jednak nie stało, więc pojechała dalej, zatopiona w głębokiej zadumie.

Dotarła wreszcie do skraju lasu, zsunęła się z siodła i przywiązała San Toy do drzewa.

- Odpoczniesz tu trochę, stara - rzekła. - Ochłodziś się nieco, pośpiech jest niepotrzebny.

Wyjęła puszkę z kanapkami, ukrytą pod siodłem i poczęła iść kobiercem miękkich liści w stronę zwalonego pnia drzewa. Promienie słoneczne przedzierały się przez nagie gałęzie, znacząc ścieżkę leśną smugą szczerego złota. Krople nocnego deszczu nie przeniknęły tutaj przez gęste konary drzew. Mała polanka wabiła Lilian jak puste gniazdo. Usiadła na pniu zmęczona. Dopiero w kilka minut potem zabrała się do jedzenia.

- Gotowam zasnąć, jeżeli dłużej tu zostanę - szepnęła do siebie.

Było jednak jeszcze bardzo wcześnie i Lilian nie miała ochoty ruszyć się z miejsca. Po zjedzeniu kanapek wsparła się o pień drzewa i przymknęła oczy.

Myśli jej biegły w stronę doliny, na której odbywało się polowanie i powoli zapadała w rodzaj drzemki, gdy nagle San Toy poruszyła się niespokojnie i zastrzygła uszami. Lilian w jednej chwili była na nogach. Oczom jej ukazał się w oddali jeździec, kierujący się w jej stronę. Siedział z dystynkcją na swym wierzchowcu i gdy ujrzał Lilian w oddali, rycerskim ruchem zdjął kapelusz.

Twarzyczka dziewczyny zbladła. Stała bez ruchu oniemiała. Dwadzieścia jardów dzieliło ją od wierzchówki, lecz nie miała siły przebyć tej niewielkiej przestrzeni. Wstała unieruchomiona jakąś tajemniczą siłą i obserwowała przybysza, wjeżdżającego w las a potem zeskakującego z siodła.

Uczyniła w pewnej chwili jakiś ruch, nie wyrażający nic, raczej automatyczny. Jedną ręką przysłoniła oczy, jakby ujrzała przed sobą coś, co ją przejęło strachem. Gdy po chwili rękę od oczu odjęła, on stał już przy niej.

- Zupełnie sama! - zagadnął.

Zadrżała nagle, lecz pohamowała się od razu.

- Wolę być zupełnie sama, majorze Bullivant.

Wyciągnął do niej rękę.

- Dlaczego pani tak drży? Nie ma powodu do lęku.

Unikała jego dotyku, jakby w obawie, dotknięcia oślizgłego gada.

- Och, sądzi pan, że się boję? - zawołała.

Spoglądał na nią z czułością.

- Nie ma najmniejszego powodu - powtórzył.

Odzyskała równowagę i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego pan mnie śledzi? - zapytała.

Blady uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Z jednej strony dlatego, żeby pani to powiedzieć - odparł.

- A z drugiej strony?

Wyciągnięta ręka opadła mu nagle. Nie próbował jej już dotknąć, szukając odpowiedzi.

- Z drugiej strony, Lilian, chciałbym panią prosić, aby pani została moją żoną.

- Pańską żoną! - cofnęła się o krok i wybuchnęła głośnym śmiechem. - Nie wiem, skąd panu to przyszło na myśl.

- Zawsze o tym myślałem - rzekł Bullivant. Mówił spokojnie z wzrokiem utkwionym wciąż w jej twarzy. - Pani nigdy nie dawała mi okazji, ale to było moim pragnieniem od samego początku. Teraz, kiedy wreszcie nadarzyła się sposobność, mam nadzieję, że zechce mnie pani wysłuchać.

- Ach! - było to więcej niż przerażenie. Stała, jak człowiek znajdujący się nad krawędzią przepaści. - I sądzi pan, że pan otrzyma moją zgodę?

Uczyniła słaby ruch protestu.

- Ośmielam się mieć nadzieję, że się pani zgodzi, a z chwilą, gdy zgodę już otrzymam, moją rzeczą będzie dbać o to, aby pani swego słowa nie żałowała.

- A jeżeli ja nie mam na to ochoty? - mówiła przez zaciśnięte zęby i z trudnością powstrzymywała drżenie.

Cień zdziwienia przemknął po jego twarzy.

- Potrafię pokonać wszelkie trudności - rzekł - jeśli mi pani powie, jakie one są.

- Trudności! - wybuchnęła z nagłym oburzeniem. Słowa padały z jej ust pełne rozpacz i lęku. - Tak, powiem panu, jakie są, jeżeli pan chce wiedzieć koniecznie. Przede wszystkim nienawidzę pana... nienawidzę z głębi duszy... i raczej wolałabym umrzeć niż zostać pańską żoną!

Słuchał tych słów z zupełnym spokojem. Zachowanie się jego było pełne uprzejmej powagi i takim pozostało.



- Ale to jest na pewno lepsze niż obojętność - zauważył. - Gdyby pani powiedziała, że nic dla pani nie znaczę, czułbym się wytracony z równowagi. Czy to jest jedyna przeszkoda?

Znowu zeszywniała, jak zapaśnik orientujący się, że nagle posunięcie przyprawiło go o utratę szans.

- Żadna kobieta - rzekła już spokojniej - żadna kobieta nie czułaby się z panem szczęśliwa, a tym bardziej taka, która pana dobrze zna.

- To jest nierozsądne - rzekł Bullivant. - Wytworzyła sobie pani fałszywą opinię o mnie i nie daje mi pani okazji ukazania się w jej oczach w prawdziwym świetle. Proszę mi wierzyć, że nie jestem takim nędznikiem, jakim mnie sobie pani wyobraża. W bujnej fantazji wyimagi-nowała sobie pani potwora, który nie istnieje. Twierdzi pani, że mnie pani nienawidzi, a ja przecież nie dałem do tego żadnego powodu. Potrafię przeistoczyć pani nienawiść w miłość, bo kocham panią i postanowiłem ją zdobyć.

- Wbrew mojej woli! - wybuchnęła Lilian.

Zdawał się nie słyszeć tego okrzyku.

- Postanowiłem panią zdobyć - powtórzył - dać pani szczęście, takie szczęście o jakim pani nie marzyła nawet w dzieciństwie. Wyciągnę panią z atmosfery, której pani nie lubi, dam pani nowe otoczenie, dam to wszystko, czego pani teraz osiągnąć nie może, a czego pani z głębi serca pragnie. Będzie pani miała wszystko, szczęście i miłość.

- Pańską miłość! - oburzyła się znowu.

- Tak, moją miłość - odpowiedział łagodnie. - Moją miłość, która panią podniesie, uszlachetni i zapewni wszelkie bezpieczeństwo.

Zadrżała.

- Lilian - począł szeptać gorąco. - Ty mnie nie znasz. Pełna jesteś niesłusznych podejrzeń. Czyż nie zgadłaś, że cię kocham? Nie ma człowieka na świecie, który by cię tak kochał jak ja. Walczysz przeciwko nieuniknionemu i w rezultacie cierpisz, lecz cierpienie stwarzasz sobie sama. Zbliź się do mnie, maleńka! Zaniechaj tej nierozsądnej walki z przeznaczeniem. Spotkałaś swój los i nie ma już dla ciebie ucieczki. Nie powiedziałem, że mam zamiar cię zdobyć? Najdroższa, ja cię już zdobyłem. Należysz do mnie i zdajesz sobie z tego dobrze sprawę. Po co walczyć dłużej, Lilian?

Uczyniła ruch pełen rozpacz i zasłoniła dłońmi twarz.

- Och, niech mnie pan puści! - zawołała. - Proszę mnie puścić! - I nagle zaczęła cicho płakać.

Pochylił się nad nią, głaszcząc ją pieszczotliwie.

- Moja najdroższa! - szeptał. - Moja jedyna! Dlaczego sama siebie męczysz. Czekam na ciebie, czekam, aby cię uczynić szczęśliwą, aby pokonać twą rozpacz i dać pełnię spokoju. Spójrz na mnie, kochanie, spójrz na mnie! Dlaczego płaczesz? Jesteś moja... tylko moja! Oddać to złe uczucie, które nazywasz nienawiścią! Oddaj mi siebie! Powiem raczej, oddaj mi to, co do mnie należy! Zaniechaj tej bezskutecznej walki z losem. To jest jedyna droga do szczęścia.

Skuliła się cała; unikając jego dotyku.

- Jedyna, droga! - jęczał. - Jedyna, droga!

Dłonie jego zacisnęły się na jej rękach.

- Lilian, spójrz na mnie! - wyszeptał znowu. - Znasz mnie przecież. Wiesz, że będzie tak, jak mówię. Wszystko skłania się do tego. Jesteś kobietą, a ja jestem mężczyzną, twoim panem. To, co przeżywamy teraz, już się nigdy nie powtórzy. Jest to ostatnia faza i sama czujesz się pokonana. Wyjdź z honorem z tej walki, najdroższa. Po co masz dłużej cierpieć. Daj mi przyrzeczenie, że w ciągu dwóch miesięcy poślubisz mnie, a mnie ta twoja obietnica w zupełności zadowoli. Lilian, słyszysz? Spójrz na mnie i odpowiedz!

Lecz ona wybuchnęła nowym łkaniem, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

Czekał odpowiedzi z łagodną cierpliwością. Cisza lasu spowijała ich swoim czarem. Zdawało się, że cały świat jest pusty i że oni sami tylko pozostali w blasku słonecznym.

Chwilowa jej słabość ustępowała. Łkanie powoli cichło i zamierało. Uniosła się nieco, z twarzą wciąż jeszcze osłoniętą dłońmi.

- Przemokniesz na tej wilgotnej ziemi - rzekł zaniepokojony. - Pomogę ci wstać i przeprowadzę cię do tamtego pnia.

Potrząsnęła przecząco głową i rzekła po chwili:

- Już mi jest lepiej. Proszę... proszę, niech mnie pan zostawi na kilka minut! Ja nie ucieknę. Chciałabym się tylko namyśleć.

- A dasz mi odpowiedź, gdy wrócę? - zapytał.

- Tak - odparła.

- Za pięć minut? - domagał się.

- Za pięć minut - odrzekła szeptem.

Stał jeszcze przez chwilę, jakby szukając pretekstu do pozostania, lecz ona milczała i nie uczyniła nawet najślabszego ruchu, więc w milczeniu odszedł.

Gdy odgłos jego kroków ucichł, podniosła głowę nagłym ruchem i rozejrzała się dookoła. Spokój i pustka zdawały się działać na nią zbawiennie. Podniosła oczy ku słońcu.

- O Boże - wyszeptała - o Boże, wybaw mnie!

Cisza spowila ją swym czarem. Siedziała w milczeniu z wstrzymanym oddechem. Wydawało jej się niemożliwe, aby taka rozpaczliwa prośba pozostała bez odpowiedzi.

Nagle znowu San Toy poruszyła się niespokojnie. Wierzchowiec Bullivanta, stojący w pobliżu odpowiedział jej cichym rzeniem. Całkiem mimo woli spojrzenie Lilian zwróciło się w stronę leśnej ścieżki.

W tej samej chwili uszu jej dobiegł głośny tętent. Któż to taki? Któż mógł jechać w tę stronę? Myśli jej zboczyły na chwilę w dziedzinę baśniowej fantazji. Podświadomie oczekiwała baśniowego rycerza w zbroi, jadącego przez las.

Potem zbudziła się do rzeczywistości i z piersi jej dobył się okrzyk pełen ulgi. Sam... Sam na swym starym, poczciwym koniu... jechał leśną ścieżką, jechał jak zwiastun wybawienia!

# ROZDZIAŁ XVIII

## Zwyciężony bohater

Wierzchowiec Sama mknął naprzód nie mając ochoty zwalniać biegu i dopiero na widok San Toy przeszedł w drobny truchcik.

Sam zeskoczył z siodła i przywiązał konia do drzewa, po czym bez pośpiechu skierował się w stronę Lilian.

Biegła ku niemu z wyciągniętymi ramionami jak przerażone dziecko. Spotkali się w pobliżu zwalonego pnia drzewa.

- Och, Sam! - zawołała.

Wetknął szpicrutę za cholewę wysokiego buta i ujął obydwie jej drżące ręce.

- Co się stało? - wyszeptał. - Bullivant?

Jeszcze długo potem nie mogła wyjść z podziwu, skąd wpadł na ten pomysł, lecz w owej chwili była tak przejęta grożącym niebezpieczeństwem, że myśleć spokojnie nie mogła.

Dłonie jej zacisnęły się konwulsyjnie na jego rękach, a oczy błyszczały przestraszonym.

- Och, Sam - powtórzyła - mimo wszystko jesteś jednak mężczyzną. Idź za nim... daj mu w twarz... zabij go, jak chcesz... a ja gotowa jestem jutro cię poślubić!

Ręce jego wysunęły się z uścisku jej dłoni.

- Którędy poszedł? - zapytał.

Wskazała gęste zarośla.

- Ma wrócić tu zaraz. Dopiero przed chwilą poszedł. On...

Nie pozwolił jej skończyć.

- Wszystko w porządku. Bądź spokojna! Wsiadaj na konia i uciekaj z lasu! Ja cię dogonię.

Odepchnął ją prawie od siebie i szybkim krokiem ruszył we wskazanym kierunku.

Posłusznie zwróciła się w stronę swej wierzchówki, świadoma, że powinna uciekać.

Podbiegła do San Toy, która powitała ją niecierpliwym rżeniem, drżącymi rękami odwiązała wierzchówkę, wskoczyła na siodło i skierowała się w stronę otwartej przestrzeni. Wiedziona nagłym impulsem, zmusiła klacz do galopu i w kilka chwil potem były już na wąskiej ścieżce polnej, pozostawiając za sobą ponurą ciszę leśną.

Szybka jazda i świeże powietrze sprawiły jej ulgę. Opuściło ją uczucie bezradności. Była odświeżona i posiadała nowy zasób energii. Dzika radość swobody upajała ją jak mocne wino. Gnała przed siebie z coraz większą szybkością. Prawdopodobnie nigdy w życiu pęd nie sprawiał jej tyle przyjemności.

Nie oglądając się poza siebie, jechała wciąż naprzód. Przed sobą widziała już obszerną przestrzeń pól, należących do folwarku Courtenaye. Od domu dzieliła ją odległość zaledwie dwóch mil. Gdy dotarła do terenu pól folwarcznych, nie potrzebowała zsiadać z siodła, bo wszystkie bramy w ogrodzeniach stały otworem. San Toy zwolniła kroku. Lilian nie poganiała jej. Pragnienie ucieczki przeistoczyło się teraz w uczucie szalonego wyczerpania. Zdawała sobie sprawę, że gdyby na chwilę zsunęła się z siodła i usiadła na ziemi, na pewno zasnęłaby jak kamień. Wolniejszy krok San Toy przeszedł w leniwy stęp. Minęła obszerne pastwisko i kierowała się wciąż w stronę Courtenaye.

Nagle myśl jakaś zrodziła się w głowie Lilian, jakby wewnętrzny, uporczywy głos nie dawał jej spokoju.

- Sam! Co z Samem?

Zatrzymała wierzchówkę i rozejrzała się dokoła, przejęta lękiem. Nikogo nie było w pobliżu. Istotnie, co z Samem! Co się stać mogło tam, za nią, w milczącym lesie? Jakim tchórzem była, uciekając i pozostawiając go na łaskę losu!

Zbudziła się teraz zupełnie z chwilowego ośpienia. Oszalałam chyba! - zawołała głośno.

Zawróciła San Toy, która nie stawiała zbyt silnego oporu. Słońce opuściło się niżej ponad horyzontem i przenikało złotymi promieniami do samej głębi dworskiego lasu. W powietrzu czuć było wilgotną mgłę, która zjawiała się wraz ze zniżaniem się słońca.

Lilian nie zdawała sobie sprawy, ile czasu upłynęło od chwili rozstania z Samem, orientowała się jednak, że musiała ujechać już ze dwie mile. Prawdopodobnie więc upłynęło od chwili wyruszenia jej z lasu jakieś pół godziny, a może i więcej. Dlaczego jej nie dogonił? Przecież obiecał, że natychmiast pojedzie za nią. Co się stało? Co się stać mogło?

Drżała teraz na całym ciele.

- Musiałam chyba oszaleć! - zawołała znowu.

Słowami i szpicrutą nakłaniała San Toy do szybszego biegu. Musi wrócić i przekonać się, co tam zaszło. Może uwierzył jej słowom, przecież wszyscy uważali go za osła! Ale Sam

nie był lekkomyślny, nie lubił działać pochopnie. Był zbyt leniwy na to. Czyż nie z tego właśnie powodu nazwała go Białym Królikiem?

Nie był typem mężczyzny, który wszczyna bójkę z przeciwnikiem, opierając się tylko na słowach kobiety. W tej samej chwili zimny dreszcz przejął ją. Mógł raczej zagadać się z tym, którego postanowił obić. Może właśnie w tej chwili rozmawiają poważnie, zaciągając się dymem wonnych papierosów Bullivanta.

Myśl ta nie dawała jej spokoju, lecz jednocześnie ów głos wewnętrzny nie ustępował. Mglista możliwość, że Sam przyjął na serio jej słowa, dręczyła ją w tej chwili najbardziej. Sam nie był silnym człowiekiem, był raczej chwiejny.

Zmusiła San Toy do szybkiego kroku. Wspinają się na niewielki pagórek tą samą drogą, którą tu przybyły. Las przybrał jeszcze bardziej ponury wygląd, bo słońce powoli zachodziło. Lilian rozglądała się wciąż dokoła, chcąc wypatrzyć jakiegoś jeźdźca, lecz żywej duszy, nigdzie nie dostrzegła. Tarcza słoneczna była poza nią, więc blask nie raził jej oczu, jednakże tylko pnie wysokich drzew stawały się wyrazistsze, stwarzając atmosferę pełną grozy. Dotarła do szczytu pagórka w pobliżu skraju lasu i tutaj zatrzymała wierzchówkę, spoglądając przed siebie.

Dookoła panowała cisza. Lilian mimo woli znowu zadrżała. Czy zdobędzie się na powrót do lasu? Nasuwały się na myśl trzy ewentualności. Mógł wrócić do domu inną drogą, chcąc spotkać się z myśliwymi! Zdrowy rozsądek przeczył tej teorii, lecz Sam był tylko Samem! Co można wiedzieć! Z drugiej strony mógł spotkać Ronalda Bullivanta i wraz z nim udać się do dworu. Ta teoria była bardziej prawdopodobna, bo Sam uchodził za człowieka towarzyskiego. Albo też, mógł jeszcze dotychczas być w lesie i prowadzić ożywioną rozmowę!

Sekundy przeistaczały się w minuty i San Toy zaczęła się niecierpliwić. Niepokój pani poczynał udzielać się i zwierzęciu. San Toy niespokojnie zarżała.

Znajdowały się na skraju lasu, z głębi którego dosłyszały nagle głośnie rzenie. Lilian zaczęła nasłuchiwać. Tak, on znajdował się jeszcze w lesie. Lecz tylko jeden koń odpowiedział na rzenie San Toy, czyli Gregory był sam.

San Toy gotowała się do biegu, lecz Lilian mocno ściągnęła cugle. Czy to koń Sama zarżał? A może to był...

Nowy dreszcz przemknął po jej ciele. Pośpiesznie obejrzała się. Może przecież w każdej chwili wycofać się na otwartą przestrzeń. Ale czy uniknie pościgu?

Jeżeli Sam znajduje się w lesie, to ona powinna jechać do niego. A jeżeli to nie on... Musi się przekonać koniecznie, musi wiedzieć. Nie może odjechać stąd, nie wiedząc, co zaszło.

I wreszcie ostatnim wysiłkiem uderzyła szpicrutą San Toy.

Gdy wyjechały na leśną ścieżkę, z piersi Lilian dobyło się westchnienie ulgi. Przywiązany do drzewa stał tylko jeden koń, siwy wierzchowiec Sama. Wierzchowca Bullivanta nie było.

Co z Samem?

Wjechała na ścieżkę, rozglądając się dokoła. Otaczała ją martwa cisza. Przystanęła na chwilę, nasłuchując, lecz nawet szmer najlżejszy nie zakłócił panującego spokoju. Cisza roztoczyła nad lasem swój czar.

- Przybyłam tu, aby go odnaleźć - zawołała głośno.

Nie miała jednak odwagi zawołać go po imieniu.

Wzrok jej padł na przewalony pień drzewa, na którym przed godziną odpoczywała. Pień tonał w szarym mroku. Słońce chyliło się ku zachodowi i mała polanka zasnutą była cieniem. Jakaś dziwna siła popchnęła ją w tę stronę. Zboczyła ze ścieżki, kierując San Toy na kobierzec miękkich liści.

- Tutaj go chyba nie ma! - rzekła, lecz jechała dalej.

Zbliżyła się do grubego pnia i spojrzała.

- Sam! - wyszeptała ze zdziwieniem.

Siedział na ziemi pochylony, z głową wspartą na rękach, snąc nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

Siedząc na siodle, przez kilka sekund obserwowała go i nagle w pewnej chwili on podniósł głowę, przesuwając dłonią po czole jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Nie widziała jego twarzy, lecz z ruchów i zachowania wyczuła coś, co spowodowało głośniejsze bicie jej serca. Zsunęła się z siodła i przywiązała San Toy do jakiejś grubszej gałęzi zwałonego drzewa. Potem pośpiesznie podbiegła do Sama.

Zdawał się nie słyszeć jej kroków. Pochylił znowu głowę, przybierając dawną pozycję. Tylko pod wpływem dotknięcia jej dłoni zadrżał niespokojnie.

- Sam! - szepnęła pochylając się nad nim - Sam!

- Co... hallo! - odparł Sam, z wysiłkiem zbierając myśli. - To ty, Lilian? To ty?



W tej chwili ujrzała jego twarz i zastygła w bezruchu. Był blady jak śmierć. Jedno oko miał zamknięte, druga powieka też opadała, a między oczami widniała głęboka rana, z której sączyła się krew. Strumień zakrzepłej krwi dojrzała na jego policzku, na którym jednak rany nie było.

Wkrótce odzyskała równowagę i wyzbyła się lęku zupełnie.

- Tak, to ja - rzekła. - Jesteś ranny. Pozwól, że ci pomogę!

Spojrzał na nią nieprzytomnie, jakby nie zdawał sobie jeszcze sprawy z jej obecności.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytał szeptem.

- O, mniejsza o to! - odparła. - Dość, że jestem. To najważniejsze. Pomogę ci!

Potrząsnął głową.

- Nie... nie, dziękuję! Poczekaj! Zaraz będę się czuł dobrze. - Znowu przetarł dłonią czoło. - Będę się czuł dobrze - powtórzył, a potem znowu do siebie - świetna była walka...

- Lękam się, żeś ty na tym gorzej wyszedł - rzekła Lilian.

Znowu spojrzał na nią.

- Nie, nic strasznego! O nie! Obiłem go porządnie. Nie miałem szczęścia. Na ringu nazywają to „nieuczciwą grą”.

- Chcesz powiedzieć, że gra była nieuczciwa? - zagadnęła Lilian.

Znowu potrząsnął głową. Widocznie przytomność mu wracała.

- Nie, kochanie, nie! Nie chciałem tego powiedzieć. Zresztą to się nie liczy. Lękam się, że strasznie muszę wyglądać. Nie lepiej byłoby, żebyś odeszła?

Odpowiedziała mu ze zniecierpliwieniem, chociaż w gruncie rzeczy, nie była nań zagniewana:

- Sądzisz, że cię tutaj tak zostawię? Podnieś się, Sam! Podam ci rękę, po tamtej stronie jest mała sadzawka, w której będziesz mógł obmyć twarz.

- O, nie martw się o mnie! - szeptał. - Sprawilo mi to prawdziwą przyjemność.

Lecz Lilian była nieubłagana. Widząc teraz jego twarz całkiem wyraźnie, orientowała się, że rana była dość głęboka i uczuła nagle niepokój.

- Podnieś się! - powtórzyła. - Ja ci pomogę.

Zbliżyła się i ujęła go za ramię. Zgodził się, wspierając się na kolanach, a potem dopiero podnosząc się z ziemi. Nagle siły go opuściły, zachwiał się.

- Oprzyj się na mnie! Przecież jestem przy tobie! - rzekła Lilian.

Spoglądał na nią spoza mgły i całkiem mimo woli wsparł się na jej ramieniu. Po chwili dopiero zdawał się odzyskiwać równowagę.

- Tak nie można - szeptał. - Jesteś dla mnie za dobra! Strasznie ci dziękuję!

- Sądzisz, że będziesz mógł pójść o własnych siłach? - zagadnęła Lilian. - Jeżeli nie, to oprzyj się o to drzewo, a ja ci przyniosę trochę wody.

- Nie, nie! Sam pójde.

Usiłował postąpić kilka kroków naprzód, lecz czynił to z wielką trudnością, ona zaś widząc to, objęła go ramieniem.

- Nie rób tego - szeptał, lecz nie miał siły, wyswobodzić się z jej uścisku.

- Zaprowadzę cię - rzekła. - Uważaj, żebyś się nie potknął.

Zastosował się do jej woli, co ją nawet nieco zdziwiło. Prowadziła go wolniutko w stronę małej polanki, gdzie grunt był nieco twardszy. Nogi plątały mu się w liściach, jakby nie miał siły podnosić ich do góry. Teraz szedł już nieco pewniej i gdy wyszli na skraj lasu usunął jej rękę ze swego ramienia.

- Zaczekam tu - rzekł - a ty tymczasem przyprowadź San Toy.

Mówił spokojnie i rozsądnie, jakby przytomność wróciła mu zupełnie i Lilian skonałowała, że nie był już taki blady. Chwycił się gałęzi i wsparł plecami o drzewo.

- Zaraz będę się czuł dobrze - rzekł. - Tylko ty się nie martw.

Zauważyła, że nie chce jej samej zostawić w lesie i ubawiło ją to trochę. Nigdy nie widziała Sama tak troskliwego, nigdy nie traktowała go jako opiekuna. Postanowiła spełnić jego życzenie bez protestu. Zresztą sama nie miała ochoty zagłębiać się zbytnio w las.

Poszła po San Toy i wyprowadziła ją na polanę. Gdy zbliżyła się, Sam znowu ocierał twarz chustką.

- Przyniosę ci trochę wody w puszcze po kanapkach - rzekła. - Sádzawka jest tu w pobliżu.

- O, nie chcę cię trudzić! - wybąkał.

Lecz w tym wypadku Lilian go nie usłuchała. Przywiązała San Toy do tego samego drzewa, przy którym stał wierzchowiec Sama i wyciągnęła spod siodła blaszaną puszkę. Potem zbiegła z pagórka ku sadzawce, położonej nieco niżej.

Woda w sadzawce była czysta i Lilian pochyliła się, aby jej zaczerpnąć. Gdy wracała, wspinając się po pochyłym brzegu, usłyszała zbliżające się kroki Sama.

- Nie schodź tutaj! - zawołała. - Już ci niosę wodę.

Lecz Sam widocznie nabrał nowych sił i postanowił nie korzystać z jej pomocy. Spotkał się z nią w połowie drogi.

- Nie chcę, żebyś to robiła - rzekł. - Czuję się już zupełnie dobrze. Nie ma powodu do niepokoju.

- Siadaj! - rozkazała Lilian. - Daj mi swoją chustkę!

Uśluchał rozkazu, co było najlepszym dowodem, że nie czuł się jeszcze zupełnie dobrze.

- Nie chcę, żebyś to robiła - powtórzył.

- Nie bądź głupi - zgromiła go Lilian.

Zaśmiał się urywanym śmiechem.

Obmyła ranę, wracając kilka razy do sadzawki po świeżą wodę i owiązała mu czoło chustką.

- Już ci lepiej? - zapytała głosem pełnym troskliwości.

- Zupełnie dobrze, dziękuję - odparł.

- Chyba nie bardzo bolało, jak ci ranę przemywałam.

- Sprawiało mi to wielką przyjemność.

Zignorowała tę uwagę.

- Najlepiej będzie, jak pojedziesz ze mną do Courtenaye, jeżeli będziesz mógł utrzymać się na siodle.

Twarz skrzywiła mu się pod bandażem.

- I znowu poczęstują mnie sosem pietruszkowym? Nie, dziękuję za to.

Zaśmiała się głośno.

- Nie bądź głupi, Sam! Ale do Courtenaye jest najbliżej, oczywiście nie biorąc pod uwagę dworu, bo o tym mowy być nie może.

- Oczywiście - przyznał Sam. - Zresztą oni tam mają już drugiego inwalidę. Zaraz będę się czuł dobrze. Bądź spokojna! Byłaś dla mnie taka dobra i powrócę do domu jak zwyczajni bohater.

Nagła ciekawość ogarnęła Lilian. Nie mogła już milczeć dłużej.

- Sam, na miłość boską, co się stało? - zapytała.

- Co się stało? - powtórzył Sam z wolna. - A myślałaś, że co się stało? Kazałaś mi przecież go obić, prawda?

- Tak, ale tyś tego nie uczyniła! - zawołała niecierpliwie. - Nie mogłaś tego uczynić!

- Naturalnie - odparł Sam z zimną krwią. - Jednym słowem wszystko w porządku.

Coś w tych słowach zaniepokoiło ją. Wyczuła w nich jakąś ukrytą myśl. Raptowny spazm chwycił ją za gardło. Czyż miała przyjąć jego łaskawość i udawać, że jej nie dostrzega? Łaskawość Sama! Nagłe uczucie zbudziło się w jej sercu, owładnęło nią zupełnie. Mogła wiele rzeczy od niego przyjąć, tego tylko nie była w stanie.

Zaczęła mówić przyciszonym, niespokojnym głosem.

- Sam, dasz słowo honoru, że obięłaś go?

- Co? - zapytał Sam. Całkiem nieoczekiwanie dotknął jej dłoni. - Wszystko w porządku, kochanie. Uspokój się! W każdym razie nie zabiłem go.

Cofnęła rękę.

- Ale dałaś mu po twarzy? - upierała się.

Sam zapalał się powoli.

- Zgubiłem w lesie szpicrutę - rzekł. - Tam gdzieś, przy tamtym drzewie. Jest zresztą prawdopodobnie połamana.

Podniósł się z ziemi. Lilian uczyniła to samo, spoglądając nań wciąż uważnie.

- Czy otrzymam szczerą odpowiedź? - zapytała.

- Jeśli ci na tym zależy - odparł zrezygnowany.

- Pragnę wiedzieć - rzekła - muszę wiedzieć. Obięłaś go?

- Pragniesz wiedzieć? Dowiesz się. Napadłem na niego pierwszy. Stłukłem go na kwaśne jabłko. Potem jakoś usunąłem się niezręcznie i on mnie trochę poturbował.

Odwrócił się i począł iść w stronę polany. Lilian szła tuż przy nim, nie ofiarując mu jednak swej pomocy. Gdy stanęli na skraju lasu, zapytała:

- Sam, jak to zrobiłaś?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Przy specjalnych okazjach Pan Bóg daje człowiekowi nadzwyczajną siłę, nieprawdaz?

- Nie wiem - odparła, a potem znowu: - Sam, czy on... czy ty... czyście o czymś mówili?

- Niewiele - odparł. - Powiedziałem mu tylko, że przyszedłem, aby mu dać w twarz, a on na to: „Zbliź się!” czy coś w tym rodzaju. Nigdyśmy się specjalnie nie lubili.

- A nie zapytał dlaczego?

- Nie, w ogóle o nic nie pytał. Zresztą dałem mu niewiele czasu. Strasznie się bałem, że wrócisz i przerwiesz nam walkę.

- Nie miałam pojęcia, że z ciebie taki waleczny rycerz - rzekła Lilian z wysiłkiem.

- Ja także nie wiedziałem - odparł Sam szczerze. Znowu przystanęła i spojrzała nań z drżeniem.

- Sam, nie odwiązuj jeszcze konia! Zaczekaj chwilę! Pragnę ci coś powiedzieć.

Sam stał pochylony, zajęty odwiązywaniem cugli.

- Powiesz jutro! - zaproponował łagodnie.

- Nie - zaprotestowała. Zwrócił się do niej:

- Lilian, chciałbym pojechać do domu. Nie jestem zupełnie silny w tej chwili. Będziesz się gniewać, jak zaraz do domu pojedę?

- Nie, zaczekaj! - rzekła. - Jutro... jutro może nie będę mogła tego powiedzieć.

- Lepsze to, niż masz powiedzieć dzisiaj za dużo - oznajmił.

Uczyliła ruch pełen rozpacz.

- Sam, jak ty mnie traktujesz? Musisz dać mi równe szanse.

- Dam ci wszystko, czego sobie życzysz. Tylko nie każ mi sobie niczego proponować, Lilian, bo jestem zbyt słaby, w tej chwili. Zresztą posiadam usposobienie za bardzo buntownicze i...

- Jesteś mężczyzną!

- Naprawdę nie! - prosił Sam. - Zaczekaj aż moja głowa się wykuruje! Gdybym teraz chciał cię wysłuchać, gotów bym paść do twych nóg i samemu sobie sprawić nowy ból.

- Sam - zawołała Lilian - przestań wreszcie żartować i wysłuchaj mnie. Dzisiaj po raz pierwszy nie bawię się tobą i nie mam najmniejszej ochoty sprawiać ci przykrości.

- Naprawdę? - zdziwił się Sam.

Wyciągnęła doń nagle rękę nieco patetycznie.

- To wszystko uczyniłeś dla mnie, prawda, Sam?

Zawahał się przez chwilę, po czym wyciągniętą dłoń uściskał.

- Jeżeli masz mi zamiar coś zaproponować, Lilian - rzekł - to ostrzegam, że cię do domu nie odprowadzę.

- Możesz mnie nie odprowadzać, Sam - odezwała się drżącym głosem. - Na pewno nie utopię się ze zmartwienia, bo ty byś potem bardzo rozpaczał. Nie myśl, że jestem w tobie zakochana. Nie wierzę w miłość, ale zostanę twoją żoną, jeśli zechcesz mnie poślubić. Poślubisz mnie, Sam?

Głos jej umilkł. On przejęty ciekawością wahał się, tylko dłoń jego mocniej zacisnęła się na jej ręce. Po chwili zaczął mówić prawie szeptem:

- Lilian, znasz odpowiedź. Lecz jeżeli jutro...

Przerwała mu z gniewem.

- Sam, nie ma jutra. Natychmiast daj mi odpowiedź!

Pochylił się nieco z uroczystym szacunkiem. W głosie jego jednak brzmiała nuta żartobliwa.

- W takim razie... oczywiście... odpowiedź jest twierdząca.

Zaczerpnęła powietrze i uwolniła się z uścisku jego dłoni.

- Tak myślałam. Jedźmy teraz do domu! - rzekła

- Jak sobie życzysz - odparł Sam.

Koniec Części Pierwszej

# CZEŚĆ DRUGA



## ROZDZIAŁ I

### Nieoczekiwane nowiny

- Strasznie się cieszę - mówiła Peggy, ujmując dłoń przyjaciółki, gdy obydwie siedziały przy kominku.

Lilian nie podzielała tej radości.

- Nie wiem, co cię tak cieszy - rzekła. - Przyjęłam jego oświadczenia i prawdopodobnie poślubię go. Nie kocham go jednak i nigdy go kochać nie będę.

- Miej cierpliwość! - doradzała Peggy.

Przed chwilą wróciła samochodem doktora z odwiedzin w Chinnery i oczy jej promieniały jeszcze wspomnieniem ostatnich godzin.

Wzrok Lilian był przygasły i utkwiony w jednym punkcie.

- Owszem, zaczekam - rzekła. - Będzie to dla mnie ciekawy eksperyment, aczkolwiek nie bardzo w to wierzę. Może z biegiem czasu sprzykrzy ci się twój mąż i zakochasz się nagle w moim!

- Nie gadaj głupstw! - wyszeptała Peggy.

Lilian zaśmiała się nieszczerze.

- Wiem, że to się nie stanie. Gdy ktoś wyrusza w drogę życia bez zbytniego zapалу, wraca z tej drogi zamieniony w sople lodu.

- Daj spokój, kochanie! - prosiła przyjaciółka.

Wzrok Lilian spoczął na jej twarzy.

- Słusznie. Będzie inaczej, gdy dołożę pewnych starań. Ale muszę już iść. Wpadłam do ciebie tylko na chwilę, aby ci o wszystkim opowiedzieć. Jestem zadowolona, że sprawiłam ci tymi nowinami przyjemność.

- Wszyscy ucieszą się, słysząc o tym - rzekła Peggy.



- Hildebrand będzie zachwycony - zaśmiała się Lilian. - A właściwie byłby jeszcze przed dwoma tygodniami, bo dzisiaj co do mnie ma wyższe aspiracje.

- Masz na myśli Lancelota? - zagadnęła Peggy. Na ustach Lilian pojawił się grymas pełen goryczy.

- Tak, ten wzór wszelkich doskonałości! Prawdopodobnie będziesz zadowolona, gdy się dowiesz, że jest on już wyrzucony poza nawias.

- Strasznie się cieszę - zawołała Peggy.

Lilian stanęła przed lustrem, wiszącym nad kominkiem i uważnie poprawiała sobie krawat.

- Prawdziwa komedia! Nie mogę w żaden sposób zawiązać równo tego krawata.

Peggy spoglądała na nią z uwielbieniem.

- A co się stało z tą srebrną podkówką, którą ci dałam przed laty, gdy byliśmy jeszcze dziećmi? Nosilaś ją zawsze na szczęście, a ostatnio jakoś jej nie widzę.

- Zdaje się, że ją zgubiłam - rzekła Lilian. - Razem z nią zgubiłam moje szczęście!

- Muszę ci podarować drugą. Może wtedy i szczęście wróci.

- Lepiej nie próbuj! - zaśmiała się Lilian, lecz pożałowała widocznie swych słów, bo serdecznie ucałowała przyjaciółkę.

Peggy otoczyła ramionami jej szyję.

- Nie chodź jeszcze, kochanie! Zostań i pomów ze mną trochę! W przyszłym tygodniu jadę do domu, więc nie będziemy miały okazji się widywać.

- Muszę już iść, dziecino - tłumaczyła się Lilian. - Trzeba zawieźć radosne nowiny do Courtenaye. Widzisz, mamy zamiar wziąć ślub jak najprędzej. Z takimi rzeczami nie należy zwlekać. Jak tylko Sam będzie po ludzku wyglądał...

- Czyż on nie wygląda po ludzku? - przerwała Peggy. - Co mu się stało?

- Ach, nie mówiłam ci? Jest poturbowany i wygląda okropnie. Musiałam mu obandażować twarz. Właśnie to doprowadziło do oświadczyń.

- Lilian, więc ty przyjęłaś jego oświadczyń z litości!

- Mniej więcej, moje dziecko! - przyznała Lilian ponuro. - Historia podobna do twojej!

- Ja tego z litości nie uczyniłam - zaprotestowała Peggy. - Nie była to również wdzięczność, chociaż Jack uratował mi życie. Lilian, nie chce mi się wierzyć, abyś ty mogła to uczynić z takiego powodu.

- Uspokój się, mała! Nie ma powodu do oburzenia! - zawołała Lilian. - Zabawny jest świat, co? Sama nie mam pojęcia, jaki był powód. Wątpię, czy podziałał tak na mnie jego intelekt. A może się mylę. Jeszcze z nas będzie idealne małżeństwo. W każdym razie w życiu moim nastanie radykalna zmiana.

Sięgnęła po rękawiczki i szpicrutę, zabierając się do wyjścia. Peggy odprowadziła ją do drzwi.

- A może - wyszeptała nieśmiało - a może znalazłaś wreszcie swego rycerza?

- O, nie bądź śmieszna! - zawołała Lilian, lecz w głosie jej nie było wesołości. Opuszczając pokój przyjaciółki, westchnęła głęboko.

Gdy przybyła do Courtenaye, odzyskała pozornie dobry humor i weszła do mieszkania, gwizdząc wesoło. Starsza siostra wyszła do hallu na jej spotkanie.

- Lilian, nareszcie jesteś! Jakże późno! Byłam już o ciebie niespokojna.

- Moja najdroższa! - zawołała Lilian wesoło. - Czy kiedy cośkolwiek mi się złego przytrafiło?

- Nie mam pojęcia, moje dziecko. Wątpię, czy mi zawsze mówisz o wszystkim - rzekła Joyce w zamyśleniu. - Ale mniejsza o to! Wejdz i napij się herbaty! Przed chwilą wydałam dyspozycję.

- Jak ładnie z twojej strony! Czy jest ktoś?

- Tylko Hildebrand i pan Jervis, który przyszedł, aby omówić sprawy parafialne. On ci chyba nie przeszkadza, prawda?

- O nie; komu może przeszkadzać stary Jervis? - zaśmiała się Lilian. - Uważam, że właśnie on powinien wiedzieć. Czy ma ktoś przyjść na obiad?

Joyce zmieszała się nieco.

- Właściwie nie, kochanie! Dzisiaj będziemy przy obiedzie sami, chyba że pan Jervis zostanie. Ale możliwe jest, że później wpadnie major Bullivant.

- Och, naprawdę? - zawołała Lilian. Łagodnie ujęła siostrę pod ramię. - Ach, ty strategiczko! - dorzuciła.

- Nie gniewaj się na mnie! - broniła się Joyce. - Musiałam go zaprosić, bo wiedziałam, że ma szaloną ochotę nas odwiedzić.

- Już wszystko załatwione w tej sprawie, więc możesz przestać się troszczyć - zauważyła Lilian, gdy kierowały się do drzwi salonu. - Chcę ci coś powiedzieć! Ale lepiej powiem o

tym przy wszystkich, zaoszczędzi mi to trudu powtarzania każdemu z osobna. - Z tymi słowami weszła do salonu, trzymając za rękę Joyce. - Halo, Mr Jervis! Jak to dobrze, że pan przyszedł!

Z figlarnym błyskiem w oczach uściśnęła dłoń proboszcza. Joyce obserwowała ją nerwowo, dochodząc do wniosku, że coś niezwykłego zająć musiało.

Pan Jervis wstał na powitanie. Był to krótkowzroczny, starszy mężczyzna w binoklach, z małymi wąsikami. Nie ubiegał się oczywiście o względy Lilian, ale żywił dla niej zawsze wiele szacunku. Była nieoceniona w urządzaniu wszelkich imprez wiejskich i pod tym względem proboszcz miał do niej bezgraniczne zaufanie.

- Bardzo się cieszę, że panią widzę, Miss Devereux - rzekł.

- Pięknie z pańskiej strony! - zawołała Lilian. - Chciałam panu powiedzieć, jaka byłam zgorszona, widząc Jacka Croftona całującego na scenie Peggy. Było to jednak na scenie i w żaden sposób nie mogłam temu zapobiec.

- O, jestem tego pewny - odparł pan Jervis. Spoglądał na nią nieco podejrzliwie, bo właściwie nigdy nie wiedział, czy mówi poważnie czy żartuje.

- Ale myślę, że im pan przebaczy, bo są już całkiem legalnie zaręczeni - odezwała się po chwili. - Sądzę, że raczył pan zauważyć, jak przyzwoicie zachowywała się druga para, to znaczy Sam Gregory i ja. Widzi pan, u nas jeszcze nie doszło do fazy pocałunków, ale muszę panu zakomunikować, że również jesteśmy legalnie zaręczeni.

To mówiąc, podniosła lewą rękę i wdzięcznym ruchem pokazała sygnet Sama na trzecim palcu.

- Boże drogi! - zawołał pan Jervis drżącym głosem. - Ale to naprawdę radosna nowina!

- Lilian, kochanie! - wybuchnęła Joyce, a w głosie jej brzmiała jednocześnie radość i rozczarowanie. - Czy to rzeczywista prawda?

Lilian z łobuzerskim uśmiechem zwróciła się do szwagra.

- Sądzę, że jesteś zadowolony?

- Ja? - zapytał Hildebrand, spoglądając na nią z zimną pogardą. - Tak, wieszuję ci.

Zaśmiała się szyderczo.

- Serdeczne dzięki! Nareszcie będziesz mógł zaprowadzić w domu jaki taki porządek.

- Moja najdroższa i ja ci wieszuję! - wyszeptła Joyce. - Dlaczego nie przywiozłaś z sobą Sama?

Usiłowała przytulić Lilian do serca, lecz ta łagodnie odsunęła ją od siebie.

- Daj spokój, Judy! Możesz to uczynić później. Sam nie przyjechał, bo uderzył się tak niezręcznie, że o mało sobie oka nie wybił. Nie dziwcie się, gdy jutro zobaczycie go z podbitym okiem.

- O, biedny Sam! Ale myślę, że nie zwraca na to uwagi, tak jest przejęty szczęściem. Siadaj, kochanie i napij się herbaty! Jestem pewna, że ci to dobrze zrobi.

- A ja mogę - zaczął pan Jervis, który przez cały czas stał wpatrzony w Lilian - a ja mogę złożyć pani najserdeczniejsze gratulacje, Miss Devereux? Sposobność jest bardzo uroczyta i interesująca nas wszystkich. Dumą mnie to przejmuje, że jestem jednym z pierwszych, którzy pani winszują i mam nadzieję, że będę miał zaszczyt asystować przy zalegalizowaniu pani szczęścia.

- Bardzo panu dziękuję - odparła Lilian z prostotą. - Nie wiem, jakie Sam ma plany, bo ja ze swej strony uważam, że im prędzej tym lepiej.

- Zupełnie słusznie - mruknął ponuro Hildebrand.

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Jak to pięknie, że się ze mną zgadzasz! Otóż jestem gotowa wziąć ślub w przyszłym tygodniu, jeżeli to nikomu nie przeszkadza.

- Kochanie, przecież musisz mieć jakąś wyprawę - zaprotestowała Joyce.

- Nie widzę powodu do tak szalonego pośpiechu - odezwał się Hildebrand. - Nie zapominaj, że moje stanowisko wymaga pewnych przygotowań do twego ślubu.

- Nie wolno nam także zapominać o zapowiedziach! - dorzucił pan Jervis z nieszczerą żartobliwością.

- Ach, co tam zapowiedzi! - zawołała Lilian. - Gwiżdżę na wyprawę! - uśmiechnęła się do Hildebranda z nonszalancją. - Na twoje sprzeciwy też nie zwracam uwagi - dorzuciła, machnąwszy pogardliwie ręką.

Hildebrand odwrócił się do kominka, nie mówiąc już ani słowa. Pan Jervis również zamilkł, choć będąc z natury elokwentny, chętnie jeszcze rozwodziłby się na ten temat. Joyce zajęła się nalewaniem herbaty, mrużąc pod nosem jakieś słowa usprawiedliwienia. Tylko Lilian nie utraciła ani na chwilę równowagi.

- Czyż to nie jest zabawne? - mówiła, pijąc herbatę. - Mieszkaliśmy z Samem przez osiemnaście miesięcy w najbliższym sąsiedztwie i dopiero teraz doszliśmy do wniosku, że

lubimy się wzajemnie do tego stopnia, że możemy się pobrać! Tymczasem Jack Crofton i Peggy poznali się dopiero przed tygodniem!

- W miłości nigdy nic nie wiadomo - wyszeptała Joyce niepewnie.

- Masz rację - przyznała Lilian z ironicznym uśmiechem. - Sądzę, że Sam wkrótce wykuruje swe podbite oko, bo teraz po prostu patrzeć na niego nie mogę.

- Jeżeli tak twierdzisz - odezwał się nagle Hildebrand z naciskiem - to uważam, że jesteś dziewczyną bez serca.

Lilian otworzyła szeroko oczy, w których zabłyśły ogniki ironii.

- A czy kiedykolwiek za inną mnie uważałeś? - zapytała.

- Nigdy! - odparł Hildebrand.

- To czemu, u diabła, narzekasz? - zapytała logicznie. Hildebrand nie narzekał więcej.

Dał znak panu Jervisowi i obydwaj wyszli z pokoju.

TLR

# ROZDZIAŁ II

## Rozmowa

Sam nie zjawił się nazajutrz w Courtenaye, lecz po południu przysłał kilka słów Lilian.

Siedziała w owej chwili przy kominku w salonie i natychmiast po otrzymaniu listu otworzyła go i przeczytała. Było to zaledwie kilka słów, pozbawionych zupełnie sentymentalnych wynurzeń.

*Moja droga Lilian - pisał - nie przyjechałem dzisiaj, aby się zobaczyć z tobą, bo jakoś marnie się czuję. Stosownie do naszej umowy, nie czynię tajemnicy z zaręczyn naszych i wszyscy moi najbliżsi już o tym wiedzą. Jack w pierwszej chwili nie wierzył. Teraz twierdzi, oczywiście, że ty robisz marny interes. Zresztą ma słuszość. Lecz moim zadaniem będzie dbać o to, abyś nie żałowała. Czy napiszesz do mnie kilka słów? I ja chwilami nie wierzę w swoje szczęście, może list twój mnie przekona. Mam nadzieję, że trwasz jeszcze przy zamiarze.*

*Twój Sam*

Lilian zmarszczyła brwi, jakby treść listu nie sprawiła jej zbytnej przyjemności.

- Sądzę, że gdyby Peggy była na moim miejscu - rzekła do siebie - na pewno natychmiast pojechałaby go zobaczyć. Ponieważ jednak nie jestem Peggy...

Rzuciła list do ognia i zasiadłszy przy biurku Joyce, skreśliła krótką odpowiedź.

*Drogi Sambo, bardzo mądrze, żeś nie przyjechał. Wyobrażam sobie, jak wyglądasz ze swoim okiem. Tak, mój drogi, to jest prawda. I ja również powiedziałam już wszystkim, nie wyłączając pana Jervisa, który zaofiarował się w dopełnieniu ceremonii ślubnej. Uważam, że dla niego byłaby to niezwykła frajda. Czy pewny jesteś, że nie byłbyś szczęśliwy z Nancy? Jeżeli masz jakies wątpliwości, to powiedz mi otwarcie, a potem zwróć się do niej!*

*Twoja Lilian*

*P.S. Jeszcze noszę twój pierścionek!*

Przycisnęła guzik dzwonka i kazała służącemu natychmiast pojechać z listem, sama zaś wyszła do parku.

Dnia tego pogoda była dziwnie ponura, jak to zwykle bywa w grudniu przed końcem roku. Lilian szła naprzód energicznym krokiem.

- Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek jeszcze w życiu będę spała spokojnie - wyszeptała do siebie.

Znalazła się na ścieżce, biegnącej w kierunku kępki drzew na samym szczycie niewielkiego pagórka. Wolniej już poczęła iść tą ścieżką. Myślała o Samie, aczkolwiek nie pragnęła teraz jego obecności, wprost przeciwnie. Była jednak zmęczona i odczułaby prawdopodobnie wyraźną ulgę, gdyby mogła z kimś porozmawiać. Przeżycia ostatniego dnia jeszcze ciągle szumiały jej w głowie. Pragnęła kogoś, czegoś, chociaż zarówno ten ktoś, jak i coś nie był bliżej sprecyzowany. Wątpliwe, czy pragnienie to zaspokoiłby Sam, ale nikogo innego nie było. Nikogo nie będzie już teraz, pomyślała ze smutkiem. Będzie tylko Sam... Sam... i jedynie Sam... aż do końca życia!

- Ciekawa jestem, jak długo wytrzymam - wyszeptała.

Dotarła do kępki drzew. Na samym końcu ścieżki była ławeczka.

Usiadła na niej i zapaliła papierosa z półprzymkniętymi oczami.

W chwilę potem zerwała się nagle, jakby chcąc uciec stąd, lecz wkrótce opanowała się i została. Potężna postać Hildebranda ukazała się na zakręcie ścieżki. Z wyrazu jego twarzy wyczytać mogła, że szuka jej i poddała się temu z zupełną rezygnacją. Bezskuteczna byłaby teraz ucieczka, skoro Hildebrand już ją dostrzegł.

Wolnym krokiem zbliżał się do ławki. Tak, prawdopodobnie wyszedł ją tutaj. Widocznie szedł za nią od samego domu, pomyślała z bladym uśmiechem.

- Biedny Hildebrand! Zawiedzie się! - wyszeptała.

Cierpliwie czekała, aż się zbliży. Nie lubił, gdy go ktoś witał z odległości. Lecz gdy stanął już przy niej, uczyniła ręką ruch powitalny, zapraszając go tym samym, aby usiadł.

- Doskonale - zawołała. - Zapalisz papierosa?

Potrząsnął przecząco głową, odsuwając podaną sobie papierośnicę. Nigdy nie pozwalał palić swej żonie i niechętnie patrzył w takiej chwili na Lilian, choć sprzeciwić się nie mógł, bo była przecież już pełnoletnia.



Zamknęła papierośnicę, zaciągając się dymem, a on tymczasem oddychał ciężko. Przez chwilę milczeli, po czym znowu ona przerwała ciszę.

- Chciałeś pewno ze mną pomówić! - rzekła. - Jestem pewna, że cokolwiek byś nie powiedział, zawsze robisz to dla mego dobra.

- W tym wypadku masz słuszość - odparł. Powstrzymała drwiący uśmieszek. Nie wiadomo dlaczego nie miała siły odpierać jego zarzutów.

- Więc zaczynaj! - zachęcała. - Jestem strasznie ciekawa. Nie zamierzasz chyba przeszkodzić zapowiedziom?

Spojrzał na nią surowo.

- Widocznie wszelka impertynencja sprawia ci przyjemność - zauważył. - Ale ja osobiście nie mam zamiaru patrzeć na to wszystko lekkomyślnie.

- Wobec tego, mówmy poważnie! - zawołała. - O co chodzi?

W tonie jej nie było już teraz ani odrobiny zaciekawienia. Widocznie powaga Hildebranda nie przemawiała do jej duszy. W każdym razie chciała wysłuchać tego, co mówił, a jak na nią i to było wiele. Zdawał sobie doskonale z tego sprawę.

- Przyszedłem tu - rzekł po chwili milczenia - aby ci zadać bardzo ważne pytanie.

- Proszę cię bardzo, mów! - odparła Lilian. - Słucham uważnie.

- Tak, ty słuchasz - uśmiechnął się Hildebrand. - Mam nadzieję, bo traktuję kwestię poważnie.

Zaczął bardzo niezręcznie, pomyślała szyderczo, lecz nie wyrzekła ani słowa. Hildebrand w roli ojca-moralizatora był szalenie komiczny i postanowiła przyjmować jego morały pobłażliwie.

- Ja także nie żartuję - zapewniła go.

- Więc słuchaj - rzekł, przyglądając się jej jeszcze ciągle z podejrzliwością. - Szedłem tu za tobą, aby cię zapytać, czy przemyślałaś ostatni swój krok?

- Jaki krok? - zapytała.

- Mam na myśli twoje projektowane małżeństwo - odparł niechętnie.

- Ach, to! - zaśmiała się Lilian. - Miałam chyba dość czasu do namysłu, nieprawdaż? Po raz pierwszy Sam zwrócił się do mnie z tą propozycją... czekaj... kiedy to było? Ach, tak, to było chyba rok temu. Od tej pory co pewien czas powtarzał swoje oświadczenia, które zaczęły mnie już nudzić.

- I odmawiałaś mu!

- Niezliczoną ilość razy - odparła.

- Tak sądziłem. - W głosie jego brzmiała surowa nagana, której jednak nie wypowiedział słowami. - To oczywiście znaczy, że go prawdziwie nie kochasz.

Lilian zeszywniała nieco.

- Nie jestem przygotowana na to, aby omawiać z tobą kwestię mego sentymentu - rzekła. - Zejdźmy na temat bardziej praktyczny albo też zakończmy dyskusję.

Uczył ruch pełen pogardy.

- Tak sądziłem - powtórzył.

Lilian wpadła nagle w zapał.

- Słuchaj! - zawołała. - Wiedziona prostą ciekawością tylko, chciałabym również usłyszeć z twoich ust jedno. Czy kochasz... czy kiedykolwiek kochałeś Joyce?

- Lilian! - oburzył się, jak pod wpływem wymierzonego policzka.

- Nie bądź głupi! - uśmiechnęła się. - Nie mam zamiaru cię obrażać, pragnę tylko wiedzieć. Czy to jest miłość, jeżeli się na kogoś zrzędzi i burczy przez cały dzień? Czy to jest miłość, jeżeli się temu komuś sprawia ciągle przykrości? Czy to jest miłość, jeżeli się tego kogoś znieważa słowami? Czy to jest miłość? Powiedz mi! Czy to jest miłość?

- Zupełnie nie zdajesz sobie sprawy z tego, o czym mówisz - wtrącił Hildebrand.

- Nie, ale pragnę wiedzieć. - Mówiła z dziwnym uporem, pozbawionym wszelkiej złości. - Tak często obserwowałam was i dziwiłam się. Oczywiście, Joyce zawsze twierdzi, że małżeństwo jest rzeczą idealną, ale... Boże drogi... gdyby mężczyzna traktował mnie tak, jak ty ją traktujesz, gotowa byłabym go zabić. Mówię całkiem szczerze! Te ciągle utarczki domowe, ten sposób traktowania własnej żony, która stała się niewolnicą, gorzej, służącą! Zawsze musi być kozłem ofiarnym, gdy coś złego się staje! Jest przedmiotem tortur, gdy pan i władca wpada w zły humor! I zawsze musi milczeć, musi zamykać usta i oczy, chociaż chętnie by zareagowała! I dla takiej sprawy warto to wszystko znosić? Chyba mężczyzna nic w zamian nie daje! Wiem o tym. Dzieci wyrastają w egoizmie i okrucieństwie. To daje im z siebie ojciec. Ty osobiście masz przyjemność w maltretowaniu tych, których powinienesz kochać. Nie pozwalasz im nawet kierować się własną wolą, gdy wpadasz w swoją brutalność. Cieszysz się, gdy oni płaczą, aby tylko zaspokoić swoje pożądanie władzy. A później, gdy pasja

twoja ustępuje, pozwalasz im opatrywać rany, które są twoim dziełem, rany, które nigdy się nie goją!

Namiętny jej wybuch ustępował. Był on zbyt raptowny, zbyt porywający, aby Hildebrand mógł go powstrzymać. Mimo to, nie mówiła z gniewem, tylko z goryczą, dobywającą się z głębi duszy. A gdy przestała mówić, nie spojrzała na mężczyznę siedzącego u jej boku, tylko zawisła wzrokiem na pobliskich konarach drzew.

Po chwili znowu mówić zaczęła, a Hildebrand nie miał odwagi przerwać jej, nie miał odwagi sprzeciwić się temu wybuchowi.

- Dlaczego kobiety to wszystko znoszą? - zapytała. - Dlaczego, dlaczego? Aby stać się ofiarami najgorszych wybryków, zwierzęcych porywów mężczyzny! Co za głupota! I to się nazywa życiem!

Teraz dopiero Hildebrand zdobył się na słowa i począł mówić z godnością:

- Jeżeli to jest twój pogląd na małżeństwo, to po co zamierzasz się wiązać?

Zwróciła się doń z pełnym ironii uśmiechem:

- A czy ty nie skłaniałeś mnie do małżeństwa od chwili ukończenia szkoły? Czy teraz zamierzasz powstrzymać mnie od tego?

- Zaznaczyłem tylko, że jeżeli taki jest twój pogląd na małżeństwo... - tłumaczył się Hildebrand z niebywałym u niego zmieszaniem. - Wolno zapytać, czy Samowi Gregory również wyłuszczyłaś ten swój dziwaczny pogląd?

- Jeszcze nie - odparła Lilian, zapalając się znowu. - Jeżeli mam być szczerą, to wątpię, czy Sam jest taki jak wy wszyscy. W każdym razie nie traktuje kobiet w ten sposób. Chociaż może się myłę.

- Przemawia przez ciebie zupełna ignorancja - odparł Hildebrand jeszcze nieco zmieszany. - Radziłbym ci zwrócić się do swej siostry, która bardziej jest od ciebie doświadczona.

Lilian zaśmiała się nieprzyjemnie.

- Nie wiesz o tym, że raczej zaprzedałaby swą duszę, niż miałyby wypowiedzieć się szczerze na ten temat? Wszystkie dobre kobiety są jednakowe, jeżeli chodzi o małżeństwo. Starają się osłaniać tajemnicą tyranie swych mężów. Pan Bóg raczy wiedzieć, dlaczego tak postępują. Jest to pewnego rodzaju szaleństwo, które wy nazywacie miłością. Ja się na to inaczej zapatruję. Prawdopodobnie jest to zwykły instynkt, doprowadzający do najbardziej przykrego końca.

Hildebrand westchnął głęboko.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby dziewczyna przy zdrowych zmysłach mówiła tak otwarcie o rzeczach, w których się absolutnie nie orientuje.

- Przyznaję - odparła Lilian. - Lecz zapominasz, że dowody tego widzę codziennie. Dlaczego Joyce tak często wychodzi ze swego pokoju z czerwonymi oczami? Dlaczego usiłuje cię ułagodzić przy każdej okazji? Dlaczego drży z przerażenia, kiedykolwiek podnosisz głos? Prawdopodobnie kocha cię i to jest jedyną przyczyną! Lecz czy ta miłość jest pełna szczęścia, skoro żona twoja czyni to wszystko? Czy jest tylko pozorem, spaczonym pojęciem dawnych, romantycznych ideałów, mnóstwem niezabliźnionych ran, które ty przy każdej okazji rozdrażniasz na nowo?

- Lilian! - zawołał Hildebrand.

Był zmieszany jej wystąpieniem i nie miał siły niczemu zaprzeczyć. Nigdy jeszcze nie widział Lilian w takim nastroju.

- Nie miałem pojęcia - rzekł po chwili - że młode pokolenie do tego stopnia wyzyło się wszelkiego romantyzmu.

- Romantyzmu! - zawołała Lilian i łzy ukazały się w jej oczach. - Ciekawa jestem, co się z twoim romantyzmem stało?

- Z moim!

Patrzyła nań przez łzy.

- Tak, z twoim! Przypuszczam, że ulotnił się już dawno. Przypuszczam, że nie przetrwał on małżeństwa, prawda?

Nie obraził się. Rozmyślając potem o tej dziwnej rozmowie, musiał przyznać sobie samemu, że posiadał jednak dość dużo cierpliwości.

- Małżeństwo jest ważniejszą rzeczą niż romantyzm - rzekł pompatycznie. - Jak będziesz trochę starsza i już kilka lat po ślubie - Lilian zadrżała - zrozumiesz, że czysty romantyzm sam nie może istnieć. Lecz jednocześnie - postanowił skorzystać z chwilowej okazji - mogłabyś uczynić lepszy wybór i znaleźć bardziej romantycznego kochanka niż Sam Gregory.

- O tak, wiem o tym - odparła Lilian. - O tym właściwie chciałeś ze mną mówić, prawda? Ale widzisz, romantyzm mi nie odpowiada. Tak często stykałam się już z tym i tak mało mam do tego zaufania.

- W tym wypadku - rzekł znowu Hildebrand - radziłbym ci praktyczniej patrzeć na życie, tym bardziej, że i tobie byłoby lepiej. Niewiele jest dziewcząt w twojej sytuacji, które mogłyby zrobić taką świetną partię jak ty, gdybyś tego tylko chciała. Okazje takie mogą się więcej nie powtórzyć. Radzę ci, radzę ci szczerze zastanowić się nad tym.

- Ty byś to na pewno uczynił! - wybuchnęła nagle Lilian. - Każdy by to zresztą uczynił, ale jeżeli chodzi o mnie, rady twoje są bezskuteczne. Ci przystojni i rycerscy młodzieńcy nie odpowiadają mi. Uczucia ich są zbyt płytkie, abym mogła mieć do nich zaufanie. Za to biedny Sam...

Hildebrand wstał ruchem pełnym niechęci.

- Wolałbym - rzekł - nie słyszeć twoich wywodów o nim, jeżeli masz zamiar go poślubić.

Lilian podniosła się również ze śmiechem. Całkiem nieoczekiwanie powrócili do dawnych swych wzajemnych niechęci i jednocześnie na twarzach ich odzwierciedliła się ironia.

- Nie, ja również nie mam zamiaru mówić o nim z tobą - rzekła. - On jest zbyt dobry, chociaż może nie najlepszy, ale posiada dobre serce i to mi wystarcza. W każdym razie, jeżeli chodzi o mnie, nikt obecnie nie może się porównać z Samem.

- Czyli nic nie odwiedzie cię od twego zamiaru? - zapytał Hildebrand, darząc ją zimnym spojrzeniem.

Postąpiła kilka kroków naprzód wąską ścieżką z głową wysoko podniesioną.

- To już moja sprawa! - rzuciła impertynencko.

# ROZDZIAŁ III

## Pierwsza faza

Nakłaniany przez Jacka Croftona, Sam zdecydował się nazajutrz pojechać do Courtenaye, by „umocnić swe stanowisko”, jak Jack twierdził. Pod lewym okiem miał jeszcze wielkiego siniaka i na czole przyklejony kawałek plastra, toteż nasunął mocno czapkę na oczy, aby wyglądem swym nie zwracać niczyjej uwagi.

Jack towarzyszył mu w samochodzie, aż do domu doktora. Czuł się już teraz o wiele lepiej i postanowił dzisiaj odwiedzić Peggy.

- Tylko, na miłość boską, nie bądź głupi! - doradzał Samowi, gdy ruszyli w drogę. - Upolowałeś swego zająca, więc trzymaj go! Nie pozwól, aby ci się z rąk wymknął!

- Uczynię, co będzie w mojej mocy - odparł Sam.

- Tak, i nie okazuj zbytnej cierpliwości! - dorzucił Jack. - Rusz się wreszcie, człowieku! Nie pozwól, aby po tobie deptano!

- Mój chłopcze - odezwał się Sam. - Mam wrażenie, że lepiej będzie, jeżeli sam przeprowadzę swą grę do końca. Każdy człowiek posiada własną metodę działania.

- O, wiem o tym - odparł Jack. - I ty właściwie zaszedłeś dalej niż się tego spodziewałem. Ale nie wolno ci teraz opuszczać rąk. Widzisz, ona może uczynić to samo i wówczas przegrałeś.

- Dziękuję ci - mruknął Sam.

- Nie bądź osłem! - zawołał Jack. - Nie mówię tego, aby cię obrazić. Chcę tylko zaznaczyć, że w tej chwili potrzebna jest twoja energia. Pragnąłbym cię już widzieć po ślubie.

- Dziękuję ci! - powtórzył Sam. - Jeżeli cokolwiek mogłoby pokrzyżować moje plany, to właśnie twoje przyjacielskie rady.

- Niesłusznie się oburzasz! - zaprotestował Jack. - Nie chciałem popełnić nietaktu. Pragnąłbym, byś przekonał ją, że nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Diabli by to wzięli! Musisz się trzymać mocno w obecności tej dziewczyny.

- Nie martw się!

Włączył sprzęgło, motor zawarczał mocniej i dzięki temu dalsza rozmowa była niemożliwa.

Rozstali się przed domem doktora, darząc się wzajemnie najlepszymi życzeniami, które ze strony Jacka przesiąknięte były pewnym niepokojem. Nie miał pojęcia, jakie były dalsze plany Sama, Peggy również nie potrafiła wyjaśnić mu nic na ten temat.

- Lilian jest porywcza - tłumaczyła przyjaciółkę. - I mam wrażenie, że bardzo lubi Sama.

Jack nie darzył dobrą opinią Lilian, w jedno tylko wierzył, że posiada ona jednak prawy charakter.

Jadąc w kierunku Courtenaye, Sam przejęty był dziwnym niepokojem. Na domiar wszystkiego samochód zaczął nieco szwankować, toteż gdy tylko Sam przybył na miejsce przeznaczenia, nie wszedł od razu do wnętrza domu, tylko otworzył maskę motoru i począł coś majstrować w cylindrach. Pochłonięty tą robotą, ujrzał nagle Lilian wychodzącą na podwórze.

- Jeżeli chciałeś mnie odwiedzić - rzekła - to nie ma mnie w domu.

Wyprostował się i przyłożył rękę do daszka czapki, nie zdejmując jej jednak z głowy.

- Chciałem cię zabrać na spacer - rzekł.

- Tym klekotem? - uśmiechnęła się.

- Właśnie mam zmartwienie - odparł - coś mi się zepsuło w jednym cylindrze i nie wiem, czy będę mógł go naprawić.

- Na pewno nie będziesz mógł. Ale mógłbyś zostawić to i pójść ze mną na spacer, jeżeli masz ochotę.

- Doskonale - zawołał, jak zwykle uradowany. - Zaczekaj jeszcze chwilkę!

Zamknął maskę i okrył motor pokrowcem. Lilian obserwowała go z szyderczym uśmiechem.

- Jaki troskliwy jesteś dla tego starego pudła! - zauważyła, gdy zbliżył się do niej.

- Każda troskliwość opłaca się - odparł. Zaśmiała się głośno.

- Mam nadzieję, że nie zaproponujesz mi podróży poślubnej tym klekotem.

- Nie, będziemy oryginalni i pojedziemy pociągiem - odrzekł.

Szli przez pewien czas w milczeniu, po czym ona nagle spojrzała nań i zapytała:

- Dobrze, a jak się czujesz?

- Jak najlepiej.

- Wcale na to nie wyglądasz.



- Wkrótce przyjdę zupełnie do siebie - zapewnił ją. - Siniak jeszcze jest widoczny, ale rana doskonale się goi. Nie sądzę, abym był brzydszy niż zwykle.

- W jaki sposób nabawiłeś się tej rany? - zapytała Lilian nieoczekiwanie.

- Właściwie sam nie wiem.

- Dajmy na to, że wiesz - wypowiedziała te słowa z gniewem. - Może z powodu kopnięcia?

- Mam wrażenie, że było to uderzenie ostrogą - próbował tłumaczyć Sam.

Zadrżała nagle, nie przystając ani na chwilę. Dzień był wilgotny i ponury.

- Wcale ci nie do twarzy z tymi bajkami - zauważyła.

- Ależ ja wcale nie opowiadam bajek. Moje szczęście, że mam taką twardą głowę i że nic mi się właściwie nie stało. Chciałem ci podziękować za list! Bardzo ładnie z twojej strony, żeś napisała.

- Czy myślałeś długo o tym? - zagadnęła.

- O czym? - zdziwił się Sam.

- O naszych zaręczynach, oczywiście! - cedziła słowa przez zęby, patrząc prosto przed siebie.

- O nie! A ty?

- Ja dużo myślałam - odparła. - I chcę ci coś powiedzieć. Jeżeli chcesz naprawdę mnie poślubić, jeżeli jesteś pewny tego swego pragnienia, to najlepiej uczynić to prędko.

- To samo tobie chciałem powiedzieć - rzekł Sam.

- To dlaczego nie powiedziałeś? - wyrzuciła te słowa nie odwracając głowy. Przyśpieszyła kroku, biegnąc prawie w tej chwili.

Sam z trudem mógł za nią nadążyć.

- Właśnie w tym celu przyjechałem - zauważył łagodnie. - Trzeba mieć na to specjalne pozwolenie!

Załamano rękę.

- Czy nie orientujesz się - zawołała - że nie mogę tu zostać dłużej? Trzeba to załatwić teraz, albo nigdy. Po rozmyślaniach doszłam do tego wniosku.

- Więc załatwimy to teraz - odparł Sam. - Jeszcze dziś po południu pojedę do miasta i wystaram się o pozwolenie. Chcesz, żeby ślub odbył się jutro?

Zwolniła kroku i zaśmiała się nagle.

- O, nie jutro, Sam! Tak prędko nie myślałam.

- A ja bym chciał - zawołał.

Spojrzała nań.

- Ty byś chciał? Co masz na myśli?

- Chciałbym, aby ślub się odbył jutro.

- Nie gadaj głupstw! Jutro niemożliwe! Ale w każdym razie wkrótce!

- Właśnie, że jutro! - upierał się Sam.

Spojrzała nań znowu ze zdziwieniem.

- Naprawdę, Sam! Czyś ty oszalał?

- Nie - odrzekł Sam. - Mówię całkiem poważnie. Właściwie obiecałaś poślubić mnie jeszcze wczoraj, więc udzieliłem ci dwóch dni zwłoki.

- Nie mogę wziąć ślubu jutro - upierała się Lilian.

- A ja sądzę, że możesz.

Przystanąła nagle i przyjrzała mu się uważnie.

- Sam, to nie może się odbyć jutro. Proszę cię, nie bądź głupi! Chętnie zgodzę się na ślub przed Bożym Narodzeniem, ale nie jutro!

- Dlaczego?

- Z wielu przyczyn - mówiła z nerwową żartobliwością. - Nie chcę zaczynać z moimi.

Oni się nigdy na to nie zgodzą.

- Och, zgodzą się - upewniał ją Sam. - A drugi powód?

- Po drugie - spoglądała nań dłużej z zainteresowaniem - wątpię, czy taki pośpiech byłby dobry dla nas obojga.

- O mnie się nie martw! - uśmiechnął się Sam. - Powiedziałem ci kiedyś, że moja opinia się nie liczy.

- A moja? - zapytała raczej rozpaczliwie.

- O nią ja sam dbać będę - odparł.

Dziwny dreszcz przeniknął ją do głębi.

- To nie wszystko - rzekła.

- Nie - przyznał Sam - muszą być jeszcze jakieś przyczyny.

Tupnęła nogą, wybuchając głośnym śmiechem.

- Przestań, Sam. Właściwie czemu nalegasz?

- Zależy mi na tym - odparł z prostotą.

- I sądzisz, że możesz ze mną robić, co ci się podoba? - zapytała.

- W każdym razie wszystko dla twego dobra - wyszeptał łagodnie.

- W tym wypadku nie idzie ci o moje dobro - uśmiechnęła się z ironią. - Po prostu chcesz mnie jak najprędzej zdobyć.

- O nie! - zaprotestował Sam. - Nie, kochanie! Na takie posądzenie nie zasłużyłem.

Dobrotliwość, z jaką się zwracał do niej, odniosła pewien skutek. W każdym innym wypadku taka dobrotliwość ze strony Sama zbudziłaby w niej jeszcze większą niechęć. Dziś, nie wiadomo z jakiego powodu, wpłynęła ona na nią całkiem odwrotnie. Nieoczekiwanie wyciągnęła doń rękę.

- Sam, bardzo mi przykro, że to powiedziałam.

Uścisnął jej dłoń gorąco.

- Powinnaś mieć do mnie odrobinę zaufania, Lilian, powinnaś mi wierzyć.

- Nie wierzę żadnemu mężczyźnie - odparła z pogardą. - Nienawidzę mężczyzn.

- Ale do mnie nie czujesz nienawiści - zawołał Sam z przekonaniem.

- Ty jesteś zupełnie inny. Ale nie kocham nawet ciebie.

- To zupełnie zrozumiałe - rzekł. - Lecz z chwilą, gdy zdecydowałaś się wyjść za mnie, musisz pozwolić, abym czynił to, co do mnie należy. Posłuchaj, Lilian! Nie weźmiesz ze mną ślubu jutro, jeżeli stanowczo tego nie chcesz. Niechaj ślub odbędzie się pojutrze! Będziesz miała dość czasu do zapakowania rzeczy.

Spojrzała nań z dziwną ulgą.

- Nie moglibyśmy naznaczyć tej uroczystości na następny tydzień?

- Nie - odparł.

- Dlaczego nie?

Ręka jej jeszcze ciągle spoczywała na jego dłoni.

- Z bardzo ważnej przyczyny, którą znasz - odparł.

Tym razem ustąpiła.

- Dobrze - rzekła - niech i tak będzie.

- Więc pojutrze? - zagadnął.

- Tak, pojutrze.

Wypuścił jej rękę z uścisku.

- Muszę się zająć formalnościami - rzekł. - Wieczorem przyjadę i zakomunikuję o tym twojej rodzinie.

Przesłała mu uśmiech i skierowała się w stronę domu z dziwnym zażenowaniem.

Sam wrócił do swego motoru, który wreszcie zdołał puścić w ruch i po chwili z szybkością popędził przed siebie, drogą prowadzącą do całkiem nowego życia.

## ROZDZIAŁ IV

### Druga faza

Przybycie Sama do Courtenaye tego wieczoru wywołało niebywałą sensację. Zjawił się ze swym podbitym okiem i plastrem na czole właśnie w chwili, gdy Lilian i Joyce wstawały od obiadu. Hildebrand, który zazwyczaj po obiedzie wypijał szklaneczkę portera, powitał gościa z pewnym zdziwieniem.

- Proszę, niech pan wejdzie, drogi panie! Nabawił się pan guza na sobotnim polowaniu, słyszałem? Mam nadzieję, że się pan szybko wykuruje?

- O, na pewno! - uśmiechnął się Sam. - przez cały dzień byłem w mieście. Witam panią, Mrs. Courtenaye! Hallo, Lilian! Nareszcie załatwiłem!

Zakomunikował o tym z dziecięcą prawie radością, co wywołało uśmiech ironii na twarzy Lilian.

- Doskonale! - zawołała. - Mam nadzieję, że to nie kosztowało zbyt wiele!

- Właściwie tak - odparł Sam. - Wszędzie szalenie zdzierają, ale trudno wziąć ślub tak prędko i nie ponieść żadnych kosztów. Państwo wiedzą, że się zamierzamy pobrać, prawda? - zwrócił się do Hildebranda.

- Nie zwrócono się do mnie o radę w tej sprawie - odparł Hildebrand urażony.

- Nie, oczywiście, że nie! - zawołał Sam, zmieszany nieco. - Ale słyszał pan o tym, sądzę?

- Owszem, słyszałem - odparł gospodarz.

Uczył ruch w kierunku drzwi, dając znak żonie i Lilian, że chciałby pozostać sam na sam z gościem.

- Niech pan pozwoli, aby panie zostały! Zwołamy wielką naradę. Lilian oczywiście będzie przewodniczącą! - uśmiechnął się do niej przyjaźnie Sam. - Zgodzisz się przewodniczyć? - zapytał.

Milczała, przejęta pragnieniem znieważenia w jakiś sposób Hildebranda i w tej samej chwili zaczęła go porównywać z Samem

- Mam wrażenie, że cała ta sprawa nie wymaga dalszych omówień - odezwała się wreszcie. - Otrzymałeś już pozwolenie, prawda? Pozostaje więc tylko udać się do urzędu stanu cywilnego.

- Lilian! - zawołała Joyce ze zgorznięciem. - Nie możesz brać cywilnego ślubu!

- Nie, nie! - uspokoił ją Sam. - Nie ma mowy o tym, Mrs. Courtenaye! Lecz jeżeli to nikomu nie przeszkadza, załatwiłem już wszystko, ślub odbędzie się w kościele w Londynie pojutrze.

- Kiedy? - wybuchnął Hildebrand.

Wszyscy zwrócili się ku niemu, a Lilian wzruszyła z pogardą ramionami.

- W jednym z londyńskich kościołów, pojutrze - odparł Sam.

- A po co taki niebywały pośpiech? - zapytał Hildebrand.

- Bo ja się bardzo śpieszę - odrzekł Sam.

Głośny śmiech Lilian pozbawiony był w tej chwili wszelkiej ironii, lecz Hildebrand przyjął go jako osobistą obrazę.

- Wstydzę się - zawołał - tak, wstydzę się na samą myśl, że ktoś należący do mojej rodziny zachowuje się w niewłaściwy sposób. Powinienem być jednak przygotowany na to. Jestem pewny, że ten pośpiech był inicjatywą Lilian.

- Och, pan się myli - zawołał Sam z pełną naiwnością, zadowolony z siebie. - To moja wina.

- A dlaczego? - zapytał Hildebrand.

- Bo czekałem już dość długo - tłumaczył Sam. - I nie mam zamiaru dłużej czekać.

Hildebrand chrząknął.

- Nie mam do pana o to urazy - oznajmił. - Ma pan już dosyć bezmyślnego flirtu, prawda?

- Różnie się na to można zapatrywać - rzekł Sam. - W tym wypadku powody są mniej materialistyczne. Porozumieliśmy się z Lilian, więc uważam, że należy to przypieczętować.

Hildebrand obrzucił go surowym spojrzeniem, nie mogąc się zdecydować, czy ma ostatecznie słowa gościa przyjąć za obrazę skierowaną w swoją stronę. Lecz wesoły uśmiech Sama był taki naiwny i szczery, że postanowił nad ostatnią jego uwagę przejść do porządku dziennego

- Jeżeli sprawa się tak przedstawia - zauważył z godnością - to sędzę, że nie należy protestować dłużej. Lecz muszę panu oświadczyć, że takie postępowanie stanowczo nie zgadza się z moimi poglądami i nie osiągnie mojej aprobaty!

- Bardzo nam przykro - wyszeptał Sam - ale sędzę, że teraz już za późno, aby zmieniać cokolwiek. Gdyby pan zechciał asystować przy ceremonii, byłibyśmy panu niewymownie wdzięczni.

Lilian uczyniła jakiś pogardliwy ruch, lecz Joyce w sama porę schwyciła ją za ramię.

- Już jemu to pozostaw, kochanie! - wyszeptała. - On to załatwi lepiej.

Hildebrand wciąż jeszcze spoglądał na Sama surowym wzrokiem.

- Nie widzę, aby moja obecność była konieczna.

- Och, właściwie nikt nie jest konieczny z wyjątkiem Lilian i mnie - odparł Sam. - Lecz, gdyby pan zechciał asystować, byłoby nam bardzo miło. Wiem, że taka ceremonia jest w dzisiejszych czasach raczej farszą, ale trudno. Należy przystosować się do pewnej reguły. I my nie chcemy, postępować inaczej.

- Co pan właściwie załatwił? - zapytał Hildebrand, wskazując gościowi krzesło. - Niech pan siada i napije się szklaneczkę porteru.

- Czy jadłeś coś, Sam? - wtrąciła nagle Lilian.

- O, tak - odparł. - Miałem bardzo dobre śniadanie, dziękuję.

- Śniadanie! - zawołała Joyce. - I od tej pory nic pan nie jadł! Hildebrand...

- Zadzwoń! - rozkazał Hildebrand.

- Proszę się nie trudzić! - zawołał Sam. - Za wszystko bardzo dziękuję. Jack prawdopodobnie czeka na mnie w Chinnery. Wpadłem tu tylko na chwilę, aby opowiedzieć państwu o wszystkim.

Hildebrand podszedł do dzwonka i sam zadzwonił, po czym zwrócił się do żony:

- Gdybyście zechciały z Lilian przejść na chwilę do salonu, byłbym wam bardzo wdzięczny. Za kwadrans i my się tam zjawimy.

- Ależ chętnie! - odparła Joyce. - Już idziemy. Chodź, Lily!

Lecz Lilian zaprotestowała.

- Jak chcesz, to idź! Ja zamierzam zostać, aby usłyszeć o wszystkim. Mów, Sambo!

Sam spojrzał na nią, ciągle się uśmiechając.

- Właściwie nie ma nic ciekawego - rzekł. - Mam już pozwolenie w kieszeni i załatwiłem wszystko z pastorem w Londynie. Ślub jest naznaczony w środę na dwunastą. Poza tym nie robiłem jeszcze żadnych planów. Myślę, że planować będziemy razem.

- Cudowny pomysł - pochwaliła Lilian. - Smacznego ci życzę! Zasłużyłeś na dobry obiad. Po zjedzeniu musisz wracać do domu! Prawdopodobnie jesteś bardzo zmęczony.

- Będę cię mógł jeszcze zobaczyć? - zagadnął Sam, otwierając drzwi.

Uśmiechnęła się doń przez ramię.

- Zależy, jak długo tu będziesz. Zazwyczaj wcześniej się kładę do łóżka, tym bardziej, że jutro czeka mnie dużo pracy. Na szczęście zawsze jestem gotowa do przeprowadzki, więc z przygotowaniem będę miała mniej ambarasu, niż gdybym była na przykład u Nancy Jervis.

- Lilian, kochanie! - wyszeptała Joyce.

- Tak, siostrzyczko, wiem - odparła Lilian, wychodząc z niechęcią. - Brzydko z mej strony, że ją wyprzedziłam, prawda? Ale naprawdę to zupełnie nie jest moja wina.

Sam zamknął drzwi za paniami i wrócił do stołu z uśmiechem na ustach. Hildebrand obserwował go uważnie.

- Mam nadzieję - rzekł, gdy Sam podszedł doń - że obmyślił pan dokładnie swój zbyt pośpieszny krok.

W oczach Sama odzwierciedliło się nieme zapytanie.

- Och, najzupełniej, najzupełniej! - odparł. - Obydwoje nie oczekujemy niczego specjalnego, więc nie możemy doznać rozczarowania. Pan nie poluje w środę, prawda?

Hildebrand zdawał się nie słyszeć zapytania.

- Pod żadnym pozorem nie jestem skłonny wtrącać się do tej sprawy, Gregory. Gdyby pan mnie zapytał uprzednio, na pewno wypowiedziałbym swoje zdanie, a pan zaoszczędziłby sobie wielu niepotrzebnych przykrości.

- Absolutnie! - oznajmił Sam grzecznie. - Żadna przykrość w tym wypadku nie jest zbyt wielka. Co do czyjejkolwiek pomocy, to mam wrażenie, że sami damy sobie doskonale radę.

Spojrzenie Hildebranda nie było w tej chwili przyjazne.



- Zdaję sobie sprawę - rzekł - że Lilian jest pełnoletnia i nie przyjmie żadnej rady ode mnie, lecz sądzę, że pan lepiej by uczynił, gdyby omówił tę całą sprawę przed wyjazdem do miasta.

- Och, rozumie się - wyszeptał Sam. - Bardzo mi przykro, ale lękałem się spóźnić na pociąg i o niczym innym już nie myślałem.

- To naprawdę nie ma znaczenia - tłumaczył Sam - bo i tak rozmowa z panem nie odwołaby mnie od zamiaru. Jak już powiedziałem, obydwójce nie chcemy hucznego wesela. Nie jesteśmy bogaci i nie mamy zamiaru obracać się w wyższych sferach.

- A gdzie zamierzacie mieszkać, jeśli wolno wiedzieć? - zapytał Hildebrand.

- Jeszcześmy nie zdecydowali - odparł Sam. - Pomyślimy o tym, gdy będziemy po ślubie.

Hildebrand wyraził naganę.

- Mam wrażenie, że postępuje pan bardzo niemądrze.

- Strasznie mi przykro - wtrącił Sam.

- Zresztą - wzrok Hildebranda przeszywał go teraz na wskroś - jestem pewny, że za tydzień będzie pan myślał tak jak ja. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że Lilian przyjęła pańskie oświadczenia tylko przez kaprys?

- Nie wchodzę w to - zawołał Sam wesoło. - Opieram się tylko na fakcie.

- Na fakcie, tak - mruknął Hildebrand. - Ponieważ w chwilowym nastroju przyjęła pańskie oświadczenia, skłonił ją pan do małżeństwa, którego pan będzie wkrótce żałował. Sądzi pan, że takie postępowanie pańskie jest szlachetne?

- Właściwie sam nie wiem.

Wejście służącego z tacą przerwało rozmowę i twarz Sama rozjaśnił wesoły uśmiech.

- Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że jestem naprawdę głodny - rzekł. - Pozwoli pan, że skonsumuję te wszystkie smaczne potrawy, a potem będziemy mówić dalej?

- Proszę bardzo - mruknął Hildebrand chłodno, siadając przed kominkiem. - Niech pan sobie nie przeszkadza.

Sam przyjął skwapliwie zaproszenie i przez kilka minut panowało nieprzerwane milczenie. Hildebrand w zamyśleniu palił papierosa przy kominku.

- Dziękuję - odezwał się wreszcie Sam. - À propos, słyszałem, że nie tylko ja nabiłem sobie guza w sobotę. Słyszał pan coś o stanie zdrowia Bullivanta?

Hildebrand odwrócił głowę w zaciekawieniu.

- Bullivant? Nie! Co mu się stało?

- Po prostu nieszczęśliwy wypadek! - odparł Sam. - Zdaje się, że potłukł się porządnie.

A może to tylko plotka. Ludzie zawsze powtarzają więcej, niż jest naprawdę.

- Już teraz rozumiem - mruknął Hildebrand.

- Co pan rozumie? - zapytał Sam, dopijając ostatnie łyki herbaty.

- Rozumiem, dlaczego tu się nie zjawił - wyjaśnił gospodarz - Wie pan chyba o tym, że major był u nas ostatnio częstym gościem.

- O!

- I zgaduje pan prawdopodobnie przyczynę? - ciągnął dalej Hildebrand.

- A! - zdziwił się znowu Sam.

Hildebrand lustrował go od stóp do głów z pogardą.

- Byłaby to partia, którą ja nawet byłbym skłonny aprobować.

- Lękam się, że nic nie rozumiem - uśmiechnął się Sam. Hildebrand uczynił ruch zniecierpliwienia.

- Wiedziałem, że pan nie zrozumie. Bullivant, który jest wicehrabią i człowiekiem na odpowiedzialnym stanowisku, bardzo się zainteresował Lilian i obydwójce z żoną uważamy, że byłaby to dla niej wspaniała partia.

- O! - zawołał Sam tonem zrozumienia. - To jest pomysł! Wątpię jednak, czy uda się go urzeczywistnić, bo jestem pewny, że Lilian jednak mnie woli.

- W danej chwili - mruknął Hildebrand. Sam zaśmiał się i połknął łyk herbaty.

- Ja żyję chwilą - oznajmił.

- Ach! - westchnął Hildebrand. - A gdy nastanie jutro...

- Ależ to nie jutro! - zawołał Sam. - Ślub ma się odbyć dopiero pojutrze! - Uśmiechnął się nagle. - Pojutrze będzie dzień mego szczęścia!

Hildebrand oficjalnie wyciągnął doń rękę.

- Bardzo mi pana żal, Gregory - rzekł. - Zdaje mi się, że popełnia pan wielki błąd, ale miejmy nadzieję, że będzie jak najlepiej.

- Bardzo miło z pańskiej strony! - rzekł Sam serdecznie. - Więc zechce pan łaskawie asystować przy ceremonii? Nie zabierze to panu zbyt wiele czasu. Powiedziałem pastorowi, żeby ślub trwał krótko.

- Myślę, że może moja obecność byłaby wskazana - zauważył Hildebrand.

- Oczywiście! - zapewnił Sam. - Będzie nam bardzo miło! Więc załatwione. Nie, nie będę palił, dziękuję. Pójdę jeszcze pożegnać się z Lilian. Niech się biedactwo wcześniej położy. A potem muszę wracać do Jacka.

Z tymi słowy skierował się ku drzwiom, dorzucając jeszcze wesoło:

- Dobrej nocy i serdeczne dzięki!

Hildebrand nie odpowiedział, zresztą Sam nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Ale, gdy drzwi zamknęły się za gościem, Hildebrand wypowiedział głośno to, co myślał od chwili ukazania się Sama:

- Zatracony osioł!

## ROZDZIAŁ V

### Ostatnia faza

Był prawdziwie grudniowy dzień, szary, pochmurny i nabrzmiały smętkiem, dzień, w którym Lilian została żoną Sama Gregory. Przetrwiała ceremonię ślubną z wyrazem lekko-myślności na twarzy, co charakteryzowało wszystkie jej dotychczasowe wystąpienia. Na zadawane przez księdza pytania, odpowiadała krótko i rzeczowo, chociaż zdawało się, że w danej chwili myślała całkiem o czymś innym.

Sam ze swej strony sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Pod lewym okiem miał jeszcze ślady wielkiego siniaka i kawałek czarnego plasterka nalepionego na czole, lecz opuchlizna zupełnie zniknęła i twarz się wygładziła. Jack Crofton z całą serdecznością dodawał mu otuchy, a w pobliżu stała Peggy Clarke, przybyła tu na własne życzenie. Obydwoje z Jackiem tego samego dnia mieli wyjechać do domu Peggy w Midland, gdzie Jack miał poznać ojca narzeczonej. Stan zdrowia Jacka bardzo się poprawił, i chociaż nosił jeszcze na rękach bandaż, to jednak mógł już się sam ubierać i był w doskonałym humorze. Z całego towarzystwa, on jeden czuł się najlepiej i nawet Hildebrand nie mógł zaprzeczyć, że Jack jest przemiłym chłopcem. Joyce, tonąca w łzach i drżąca na całym ciele, wdzięczna była Jackowi za jego wesołość. Humorem swym porucznik Crofton rozpraszał atmosferę tragedii, panującą w zakrystii kościelnej.

Po skończonej ceremonii odciągnął Hildebranda na stronę, tłumacząc mu, że należałoby zaprosić całe towarzystwo na wykwinzny lunch. Joyce nieśmiało poparła prośbę Jacka, a Sam i Lilian nie czynili żadnych przeszkód. Towarzystwo więc pojechało do eleganckiej restauracji i Hildebrand zdobył się nawet na wypicie toastu na cześć zaślubionej pary. On i Joyce opuszczali również miasto po południu, więc niezbyt długo pozostaną w restauracji. Hildebrand miał to przyjemne uczucie, że spełnił swój obowiązek i że cała dalsza odpowiedzialność za czyny Lilian spada obecnie na Sama. Zdawał sobie sprawę, że partia ta nie była jego wyborem, lecz oddychał z ulgą na samą myśl, że wreszcie pozbył się nieznośnej szwagierki.

Po zjedzeniu lunchu wszyscy znaleźli się na szarej, mglistej ulicy londyńskiej. Zawołano taksówki; nastąpiła chwila pożegnania. Jack był wciąż jeszcze w doskonałym humorze. W pewnej chwili zwrócił się do Sama:

- Ty i Lilian musicie wziąć pierwszą taksówkę i jechać do hotelu. Co macie zamiar robić dalej?

- Nie mam pojęcia - odparł Sam. - Ale sądzę, że pożegnamy się tutaj.

Oświadczenie to nie było zbyt grzeczne i w pewnej chwili Jack miał zamiar zwrócić uwagę przyjacielowi, po namyśle jednak uśmiechnął się doń z pobłażaniem.

- Doskonale, stary. Sam wiesz najlepiej. Mrs. Courtenaye, zdaje się, że państwo się śpieszą. Więc proszę wsiąść do pierwszej taksówki!

- Więc mamy się pożegnać! - wyszeptała Joyce, zwracając się do Lilian ze łzami. - Moja droga, kochana Lily!

Lilian ucałowała ją, siląc się na uśmiech.

- Och, nie bądź mazgajem, kochanie! Nie masz się czego martwić. Wkrótce się zobaczymy. Głowa do góry. A nie zgub czegoś! Masz torebkę? Gdzie parasolka?

Pożegnanie z Hildebrandem było jeszcze mniej czułe.

- Do widzenia, stary! Nareszcie się mnie pozbywasz! Serdeczne dzięki za długotrwałą opiekę! Nie utyj tylko z radości po moim wyjeździe.

- Mam nadzieję, że przyjedziecie na święta - rzekł Hildebrand zdawkowo.

- Na święta! - powtórzyła Lilian. - Przecież to już za kilka dni, prawda? Wątpię, czy przyjedziemy! Do widzenia!

Gdy państwo Courtenaye odjechali. Lilian stała się nieco weselsza. Otoczyła ramieniem Peggy i przytuliła się do niej.

- I ty będziesz szczęśliwa, kochanie. Mam nadzieję, że będziesz rzekła. - Nie zapomnij o mnie!

- Jak mogłabym zapomnieć! - zawołała Peggy z wyrzutem rumieniąc się, jak zwykle, gdy była wzruszona.

Lilian ucałowała ją.

- Gdy będziemy już mieli własne mieszkanie, to musicie z Jackiem przyjechać do nas.

- Jak najchętniej - zawołała Peggy i tuląc się do niej mocniej, dodała: - Ty także musisz być szczęśliwa.

Jack przerwał, nim jeszcze Lilian zdążyła odpowiedzieć:

- Bardzo mi przykro, ale musimy już iść. Życzę szczęścia Mrs. Gregory!

Grymas ironii ukazał się na jej twarzy, lecz w tej samej chwili wyciągnęła doń rękę.

- Do widzenia, Jack! Dziękuję za przyjemny dzień. Nigdy bym nie brała ślubu bez pańskiej asysty. Trzeba sprowadzić dla was taksówkę.

- Dziękujemy - odparł Jack z uśmiechem. - Damy sobie radę. Do widzenia! Do widzenia, stary! Nie zбочz ze świętej drogi małżeństwa!

- Żebyś ty nie zginął! - zawołał wesoło Sam. - Pilnuj swojej Peggy!

- Nie ma strachu! - zaśmiał się Jack, pomagając narzeczonej wsiąść do taksówki. - Niezadługo odbędzie się nasz spektakl, a potem ty i Lilian musicie tańczyć na naszym weselu.

- Na pewno! - zawołali Lilian i Sam jednocześnie i obydwójce po raz pierwszy wybuchnęli głośnym śmiechem.

Pozostali sami na chodniku w to szare, pochmurne grudniowe popołudnie. Za godzinę będzie już zupełnie ciemno. Spojrzeli na siebie wzajemnie, ona z drżeniem, on w zamyśleniu.

- Cóż to za okropny dzień! - szepnęła Lilian. Przywołał taksówkę.

- Uciekajmy z tej wilgoci - rzekł.

Podał nazwę hotelu, w którym Lilian przepędziła poprzednią noc i gdzie złożone były jej rzeczy.

- Co będziemy teraz robić? - zapytała, gdy usiadł przy niej w samochodzie.

- Pogadamy - odparł. - Ale sądzę, że tę noc spędzimy w mieście. Zadrżała nagle, całkiem mimo woli.

- Jesteś zmęczona - zauważył.

Usiłowała zaprzeczyć, lecz słowa więzły jej w gardle. Drżącą dłoń położyła na jego kolanach. Poglaskała ją łagodnie.

- Nie przejmuj się niczym - uspokajał. - Już ja się wszystkim zajmę.

Zmuszała się do uśmiechu.

- Jakże ja nienawidzę Londynu! - zawołała całkiem nieoczekiwanie.

Przyjechali do hotelu i Sam udał się do kancelarii, ona zaś oczekiwała w hallu. Wkrótce wrócił.

- Napijemy się herbaty - rzekł - a potem pójdziesz na górę i odpoczniesz. Ja muszę pojechać po swoje rzeczy.

- Wcale mi się nie chce odpoczywać - odparła.

- O, musisz, kochanie - upierał się Sam. - Widzę wyraźnie, że jesteś zmęczona. Gdybyś spała nawet cały tydzień, to jeszcze nie odeśpisz swego.

Z piersi jej dobyło się głębokie westchnienie.

- Właściwie muszę przyznać, że od tygodnia spałam bardzo niewiele.

- Wiem coś o tym.

Był bardzo troskliwy i łagodny, gdy pili razem herbatę, starając się niczym jej nie urazić. Siedziała nieruchomo w fotelu, przyjmując jego usługi w milczeniu i obserwując go spod półprzymkniętych powiek. Po herbacie wypaliła papierosa i wsparła się bezsilnie o poręcz. Stolik ich był zupełnie odseparowany od reszty sali. Sam pochylił się ku niej i łagodnym ruchem odebrał jej papierosa.

- Chodź na górę! - rzekł. - Tutaj ci jest niewygodnie.

- Och, pozwól mi pozostać! - rzekła bezdźwięcznie. - Nie chce mi się ruszać z miejsca.

Lecz Sam był nieubłagany.

- Nie tutaj, kochanie! Nie możesz przecież tutaj zasnąć!

Wyraz jego twarzy był tak poważny, że nie próbowała więcej oponować. Podniosła się z odruchem zdenerwowania.

- Nigdy nie będę miała chwili spokoju?

- Owszem - odparł Sam. - Okres ten rozpocznie się od dzisiaj.

- Jestem ciekawa! - rzekła Lilian z goryczą.

Przeszła z nim do windy. Pojechali na górę razem. Podprowadził ją do drzwi, które otworzył i oczom jej przedstawiło się wnętrze elegancko urządzonego apartamentu. Weszła z okrzykiem zachwyty.

- Sam! Jakże tu cudownie! Tego się nie spodziewałam.

- Wygodnie ci tu będzie? - zapytał.

Zwróciła się doń z tą swoją impulsywną słodyczą, z którą jej było tak do twarzy.

- Sam, nie powinieneś był tego robić! Zamień ten apartament na coś tańszego! Będę równie zadowolona.

Lecz on łagodnie odrzucił propozycję.

- Chcę, żebyś tu przenocowała dzisiaj. Lilian. Teraz odpoczniesz, kochanie, a ja tymczasem przywiozę swoje rzeczy.

Nie mogła protestować dłużej. Zła nieco, lecz uśmiechnięta, przystała. Nim zdążyła się zorientować, jego już nie było.

Rozpakowała najpotrzebniejsze drobnostki i położyła się, lecz sen jakoś nie przychodził. Nie mogła odwrócić myśli od zdarzeń dzisiejszego dnia. Jakież to wszystko było straszne! Sprawiało wrażenie nocnej, nieprzyjemnej mary! I czy już minęło? Sam... Sam, ten osioł rósł przed oczami jej wyobraźni. Działał ze zdecydowaniem i pewnością siebie, a o to wszystko nigdy go nie posądzała. Wykorzystał jej chwilowe wahanie, jej jedno wypowiedziane słowo. Posunął się dalej niż przypuszczała i niestety, nie mogła go z drogi cofnąć.

- To ja jestem głupia! - rzekła do siebie, przewracając się na luksusowym łóżku. - Oni są wszyscy jednacy, wszyscy. Powinnam była wiedzieć.

Lecz lęk przed Samem wydał jej się nierozsądny i na samą myśl o tym zaśmiała się głośno. Przecież był jeszcze dotychczas jej niewolnikiem, oddanym wielbicielem, gotowym na każde jej skinienie!

Dopiero w godzinę potem usłyszała, że wrócił. Nie wszedł do niej, tylko pozostał w przyległym pokoju, aż wreszcie doczekał się, że go zawołała.

Otworzył drzwi, łączące obydwa pokoje i stanął na progu bez marynarki, uśmiechając się do niej.

- Nie zasnąłaś jeszcze? - zapytał.

- Nie będę spała - odparła. - Sam, chodź tu i porozmawiaj ze mną! Nie mogę uleżeć spokojnie.



- Co się stało?

Zbliżył się i stanął przy łóżku, po czym położył dłoń na jej czole. Ruch ten zaskoczył ją i nagle zeszywniała.

- Usiądź gdziekolwiek! - wyszeptała niepewnie.

Pozostał bez ruchu przez chwilę, po czym delikatnie odgarnął jej włosy z czoła.

- Nie potrzebujesz wstawać i ubierać się - rzekł. - Zamówiłem obiad do pokoju.

Zdziwiła się nieco.

- Myślałam, że wyjdziemy, może do teatru, czy gdzieś indziej.

- Nie - odparł Sam.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Wolałabym raczej - szepnęła.

- Nie, kochanie - powtórzył. Poruszyła się niespokojnie.

- Nie ma powodu, żebyś mnie traktował jak chorą.

- Wszystko w porządku. Nie przejmuj się! Wstrzymała szyderczy śmiech.

- Nie możesz zmuszać mnie, Sam. Pamiętaj, że przyzwyczajona jestem do samodzielności.

- Wiem - odparł.

W tonie jego coś ją zaniepokoiło. Odsunęła jego dłoń ze swego czoła.

- I na miłość boską, nie denerwuj mnie! - zawołała. - Gotowam cię znienawidzić.

- Nie mam zamiaru cię denerwować - odrzekł Sam z mocą. - Chcę tylko zaopiekować się tobą, na swój zacofany sposób i to wszystko. Jest to przecież moim obowiązkiem.

Mówił łagodnie i irytacja Lilian przygasła.

- Dobry z ciebie chłopiec, Sam - rzekła po chwili. - Gdybym cię takim nie знаła, nie byłabym tutaj w tej chwili. Ale musisz się jeszcze wielu rzeczy nauczyć, o ile mi się zdaje.

- Nie tak wielu, jak sądzisz - uśmiechnął się. Zmarszczyła brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic, kochanie - odparł przyjaźnie. Odwróciła się od niego na poduszkach.

- Chciałabym, żebyś nie mówił rzeczy, o których nie myślisz - rzekła. - Niepotrzebna strata czasu. Wybacz mi, że się uniosłam. Często jestem taka dziwna. Mam paskudną naturę. Musisz mi wybaczyć.

- Zawsze to czynię - rzekł Sam.

Zaśmiała się raczej boleśnie.

- Tak, ale nie wiesz wszystkiego. Chciałabym, żebyś się dowiedział. Staraleś się, aż wreszcie obraleś własną drogę. Ale ta droga niekoniecznie musi cię zaprowadzić do szczęścia. We mnie nie ma nic takiego, co by mogło ludzi uszczęśliwić.

- Myślę, że jest.

Odwróciła się doń rozpaczliwie.

- Sam, czasami myślę, że nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Ale pamiętaj, masz nie być zamyślony i milczący! Obiecałeś mi.

Pochylił się nieznacznie nad nią.

- Lilian - wyszeptał - co takiego chcesz mi powiedzieć?

Wstrzymała westchnienie, lecz nie odpowiedziała. Twarz miała ukrytą w poduszce. Dotknął jej znowu, dłoń jego szukała jej ręki pod kołdrą.

- Czy możesz mi zaufać? - zapytał. - Czy jestem za głupi na to? Milczała. Ręka jej spoczywała zimna w jego dłoni.

- Nie wiesz o tym - wyszeptał - że twoje szczęście jest teraz dla mnie najważniejszą rzeczą w życiu?

Głębokie westchnienie wydarło się z jej piersi, lecz nie powiedziała nic, leżąc bez ruchu. Ukląkł przy łóżku.

- Lilian - rzekł - mniejsza o to, co chcesz mi powiedzieć. Może to nawet być coś, czego nie będę mógł słuchać. Wątpię, czy wiesz, co jest dla ciebie dobre. Działałaś bezwiednie, zaślubiając mnie i prawdopodobnie przez pewien czas jeszcze działać będziesz w ciemnościach. Lecz nie zapominaj, nie zapominaj tego, com ci powiedział! Bo to zawsze będzie moją pierwszą myślą... nie to, czego pragniesz w danej chwili, lecz to, co może być dla ciebie dobre. Lilian. - głos jego załamał się nieco - jesteśmy obecnie mężem i żoną, a dla mnie posiada to wielkie znaczenie. Przyjdzie dzień, kiedy i dla ciebie kwestia ta będzie ważna. Lecz do tej chwili możesz mnie obdarzać swoim bezwzględny zaufaniem. Możesz mi powierzyć siebie w pełnym znaczeniu tego słowa. Lilian, ty drzysz. Uspokój się! Wiem dobrze, że mnie nie kochasz, ale jesteś moją żoną. Pozwól mi trzymać się w objęciach tylko dlatego, że jesteś moją żoną!

Poruszyła się i spojrzała nań oczami zalęknionego dziecka.

- Sam! - wyszeptała. - O, Sam, czy muszę koniecznie?

- A nie możesz?

Wzdrygnęła się i zamknęła oczy na chwilę.

- Sam nie wiesz... o co mnie prosisz - wyszeptała z zapartym oddechem.

- Wiem - odparł Sam.

Łagodnie, z prawdziwie ojcowską troskliwością otoczył ją ramieniem i przytulił jej głowę do swej piersi. Nie odpychała go, lecz zeszywniała znowu pod wpływem jego dotyku i leżała niby marmurowa figurka, nieruchomo, prawie martwo. Drugim ramieniem przytulił ją do siebie, aż wreszcie uczył jej oddech na swej twarzy.

Nastała chwila ciszy a jemu, patrzącemu wciąż na nią, zdawało się, że cały świat się nagle zatrzymał. Potem zdecydowanym ruchem pochylił się i przywarł ustami do jej warg.

Ona wciąż leżała, jak człowiek, z którego resztki życia ulatują, który usiłuje je jeszcze powstrzymać, zapierając oddech.

Sam trzymał ją w objęciach, nie mówiąc ani słowa i po chwili znowu ją pocałował, po czym wypuścił ją ze swych ramion.

- Nastanie dzień, kiedy będzie całkiem inaczej - rzekł i spokojnie opuścił pokój.

# ROZDZIAŁ VI

## Plany

Aż do następnego dnia Lilian nie wszczyniała rozmowy ze swym mężem na temat planów na przyszłość. Po śniadaniu siedzieli w swym eleganckim saloniku przed ogniem płonącym na kominku, podczas gdy za oknami cały Londyn spowiła wilgotna mgła.

Sam usiłował zatrzymać ją w łóżku, aż do chwili, gdy zdecydują, co będą robić dalej, lecz ona stanowczo oparła się temu.

- Nie mogę spokojnie myśleć, dopóki nie wezmę kąpieli - tłumaczyła, nie ubrała się jednak, lecz siedziała przed ogniem w japońskim szlafrocuku, z włosami swobodnie opuszczonymi na ramiona.

Wyciągnęła nogi w stronę ognia, a on przyglądał się im w zachwycie, lecz nie wyrażał zachwytu słowami. Wiedział, że wyrażaniem swych myśli mógł tylko rozdrażnić Lilian, która była tego ranka w dziwnym usposobieniu i jakby nie zdawała sobie sprawy z jego obecności przy sobie.

Siedziała wygodnie w fotelu, z głową wspartą na poduszkach, obserwując leniwym spojrzeniem płomienie, a twarz jej była bledsza niż zwykle i brwi groźnie zmarszczone.

- Dzięki Bogu, że już wczorajszy dzień minął! - rzekła, zaciągając się dymem papierosa.

- Mam wrażenie, że dla ciebie ten dzień był straszny - odparł Sam.

Uczyła niewyraźny ruch ręką, w której trzymała papierosa, lecz nie spojrzała w jego kierunku i zdawała się mówić do siebie:

- Przez cały wczorajszy dzień zapadałam się, zapadałam się, aż wreszcie uczułam, że jestem na samym dnie przepaści. Wątpię, czy mogłabym zapaść jeszcze głębiej.

- Może teraz zaczniesz się wznosić - uśmiechnął się. Zaciągnęła się znowu dymem.

- Wątpię, czy to jest możliwe. Zaprzedałam swoją wolność. Wątpię, czy zdołam się przyzwyczaić do tego, zresztą właściwie niewiele miałam do stracenia.

- Możesz ją jeszcze odzyskać przy końcu - zauważył Sam z przeświadczeniem w głosie.

Odpowiedziała mu, jakby zaniechała wypowiedzenia tajemnej jakiejś myśli:

- Zaczofany punkt widzenia! Ciekawa jestem, czy kobiety tłumaczą to sobie w ten sposób, gdy węzły małżeństwa zaczynają je męczyć! W każdym razie muszę przyznać, że wstąpiłam w życie małżeńskie bez wszelkich iluzji. Powtarzam, miałam niewiele do stracenia.

- Gdyby to było w mojej mocy - rzekł Sam, zapalając papierosa - straciłabyś wszystko, czego nie lubiłaś i zaczęłabyś nowe życie.

Przesłała mu niepewne spojrzenie.

- Czyś nie osiągnął celu? - zagadnęła. - Czegóż jeszcze chcesz więcej?

Odpowiedział jej łagodnie:

- Nie proszę o nic dla siebie. Zdobyłem to, czego pragnąłem. Lecz jeżeli bogowie zechcą obdarzyć mnie łaską, prosiłbym, aby twoje dawne przykrości życiowe rozplynęły się w mgłę zapomnienia i abym miał możliwość pokazać ci życie takim, jakim ono jest.

Błady uśmiech przemknął po jej twarzy.

- Jestem gotowa się uczyć.

- Ale mnie nie chcesz mieć za nauczyciela - uśmiechnął się Sam. Znowu spojrzała nań nieznacznie.

- Muszę przyznać - rzekła - że nie uczyniłaś jeszcze zbyt wiele, aby zapobiec moim dawnym przyzwyczajeniom. Nie jestem podobna do Joyce. Nie potrafię upiększać zdarzeń życiowych. Widzę rzeczy takimi, jakie one są. - Głos jej miał teraz brzmienie dziwnie suche.

- Nie wierzysz w miłość? - zauważył Sam. Poruszyła się niespokojnie na dźwięk jego słów.

- Opowiadałam ci historię mojej miłości - odparła.

- Wybacz! - wyszeptał łagodnie. - Nie zapomniałem o wymarzonym rycerzu. Lecz dajmy na to, że rycerz ten jest zwykłym śmiertelnikiem?

Znowu poruszyła się, kryjąc twarz w dłoniach

- Zwykły śmiertelnik, tak - rzekła. - Lecz zupełnie inny... zupełnie inny, niż wy wszyscy.

- Ciekawy jestem - mruknął Sam. Cofnęła się, jakby tymi słowami ją dotknął.

- Nic dziwnego, że jesteś ciekawy, lecz powiadają, że taki człowiek rodzi się raz na sto lat. Reszty nie można brać pod uwagę.

- Rozumiem.

Pochylił się na krzesło w zamyśleniu, a zamyślił się tak głęboko, że papieros wysunął mu się z palców.

Lilian skończyła swego papierosa i rzuciła do ognia niedopałek. Nagle poruszyła się w fotelu i mruknęła:

- Tak.

- Co takiego? - zbudził się Sam z zadumy.

Patrzyła nań z uśmiechem.

- Zasnąłeś?

- Skądże znowu!

- Powiedz, co będziemy dalej robić? - zapytała.

- Robić? - powtórzył Sam.

Pochyliła się naprzód i włosy jej załśniły w blasku ognia jak rozpalona miedź.

- Co masz zamiar ze mną robić teraz, kiedy mnie już zdobyłeś?

- Ach, o to ci idzie! - zawołał Sam, uśmiechając się. Pochylił się również naprzód i położył dłoń lekko na jej włosach. - Nigdy nie widziałem nic podobnie pięknego - rzekł.

Usunęła jego rękę.

- Nie bądź głupi! Takie rzeczy nie mają sensu przy świetle dziennym!

- To uczesz się lepiej i zapleć włosy - wyszeptał Sam.

Zmiękła nagle pod wpływem jego słów.

- Sam, ty jesteś taki dobry. Strasznie mi przykro. Masz, weź to! - podsunęła mu długie pasmo swych złocistych włosów. - Rób z tym, co chcesz!

Otoczył ją ramieniem.

- Ma to dla mnie taką wartość tylko dlatego, że jest nieodłączną częścią ciebie samej - szepnął. - Nie mów, że ci przykro, Lilian! Nie bądź zmartwiona!

Zaśmiała się, patrząc nań roziskrzonym wzrokiem.

- Przykro mi ze względu na ciebie - rzekła.

- Daj pokój! Ja rozumiem, orientuję się!

Wsparała się na jego ramieniu przez chwilę.

- Wiem, że jestem niemożliwa, Sam. Krzycz na mnie... bij mnie... jeżeli już ze mną nie możesz wytrzymać!

- Nic się nie stało, kochanie! - uspokajał.

Głowa jej dotknęła jego ramienia.

- Nie mogę powiedzieć, że cię nie lubię, zawsze cię bardzo lubiłam. Gdybyś mnie nawet bił, to nie wzbudziłoby to we mnie nienawiści. Może nawet dobrze by mi zrobiło.

Ucałował jej włosy.

- Miałaś przykre przejścia - odezwał się. - Okazuje się, że nie jestem taki silny, jak myślałem. Bądź rozsądna! Połóż się i wypocznij, a przez ten czas zastanowimy się, co mamy robić.

Oparła się o poręcz fotela i przymknęła oczy. Niespokojne podniecenie zamierało w niej z każdą chwilą.

- Tak, co będziemy robić dalej? - wyszeptała.

- Jeszcze jedną noc musimy spędzić tutaj - odparł Sam. - A potem do Rossingdon!

- Rossingdon! - zwróciła się doń z płonącym wzrokiem, jakiego nie widział u niej od chwili ślubu.

- Chciałabyś zamieszkać w Rossingdon? - zapytał.

- Bardzo bym chciała - zawołała. - Ale tam wszystko zrujnowane. Z pewnością nie będzie ci się podobać.

- Nie orientuję się, w jakim to jest stanie - rzekł Sam. - W każdym razie musiałbym zobaczyć. Sądzę, że jest tam jakaś gospoda, w której można by się było zatrzymać?

- O tak, jest gospoda starego Badgera. Mieszkałam w niej, ale nie ma tam luksusu.

- Mniejsza o to. Pojedziemy i przekonamy się, czy można dom doprowadzić do jakiego takiego porządku.

- Trzeba na to mnóstwo pieniędzy - zauważyła Lilian.

- Wielkich sum nie posiadam. - odrzekł Sam - ale ze sprzedaży Chinnery można osiągnąć coś nie coś. Poza tym mam przecież mego służącego Jima. Obydwoje z żoną poprowadzą nam gospodarstwo.

- Bardzo bym się cieszyła - westchnęła. - Nie widziałam kochanego starego domu od kilku lat. Hildebrand chciał go sprzedać nim jeszcze doszłam do pełnoletności. Ciągle mu się sprzeciwiałam. Zawsze miałam przeczucie, że...

- Że co? - zapytał Sam, gdy zamilkła.

Uśmiechnęła się.



- Że sprzedanie przynieść by mogło nieszczęście. Wprawdzie dom jest zrujnowany, ale znajduje się tam wiele starych rzeczy, z którymi nie chciałabym się rozstać.

- To nie była chyba główna przyczyna - zauważył Sam. Potrząsnęła głową.

- Nie. Uważałam zawsze Rossingdon za ziemię obiecaną, za miejsce, do którego można uciec w potrzebie. Miałam nawet zamiar wyjechać tam i zamieszkać sama. Wiesz, że tam się urodziłam i że od wielu stuleci posiadłość ta należy do naszej rodziny.

- Wstyd byłoby się z nią rozstawać - dorzucił.

- A jak ty możesz myśleć o rozstaniu się z Chinnery?

- O, głupstwo. Teraz, kiedy mam ciebie... Przesłała mu półdrwiące spojrzenie.

- Ciekawa jestem, czy to samo będziesz mówił za pół roku. Będąc na twoim miejscu, nie śpieszyłabym się ze sprzedażem Chinnery.

- Czy sądzisz, że miałbym z Chinnery jakikolwiek pożytek, gdyby się coś stało? - uśmiechnął się Sam. - Nie, stanowczo je sprzedam. Będziemy szukali szczęścia gdzie indziej.

Wzniosła w górę ramiona.

- To będzie nawet bardzo zabawne. Będziemy mieli własny inwentarz i będziemy jeździć konno. Ale to wielka posiadłość, wymagająca całego sztabu służby. Powinniśmy najprzód jechać do Monte Carlo, aby zdobyć trochę pieniędzy.

- Ty grasz? - zdziwił się Sam.

- Owszem, gram - przyznała z najzupełniejszą obojętnością. - Lubię ryzykować. Hazard podnieca mnie. Tracę zupełnie panowanie nad sobą, a ty?

- Chcesz powiedzieć, że chleb powszedni ci nie odpowiada - wyszeptał z uśmiechem.

- Masz słuszność - odparła. - Wolałabym raczej umrzeć z głodu niż żyć w przeciętnych warunkach. Wolałabym paść w walce niż przebywać w klatce o chlebie i wodzie.

- To znaczy, że nie uznajesz pośredności - zauważył.

Uczyniła ruch zniecierpliwienia.

- Wegetacji nie znoszę. Powinnam być za to wdzięczna Bogu. Podaj mi papierosa, Sam. Spełnił rozkaz, za co otrzymał obojętne podziękowanie. Znowu zdawać się mogło, że nie zwracała absolutnie uwagi na jego obecność przy sobie.

Podszedł do okna i wyjrzał na mglistą ulicę. Po chwili odwrócił się i rzekł spokojnym głosem:

- Wyjdę trochę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie masz nic przeciwko temu?

- O nie - odparła obojętnie.

Zbliżył się do niej wolnym krokiem.

- Masz gazetę - rzekł. - Nie będziesz się nudzić.

Podniosła głowę i spojrzała nań bez zainteresowania.

- Wobec tego możesz się nie śpieszyć z powrotem! - rzekła.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Do widzenia, kochanie!

Uczyniła nagły ruch niechęci.

- Do widzenia! - odrzekła szeptem.

Gdy wyszedł, siedziała jeszcze przez chwilę, trąc czoło z nieprzyjemnym grymasem na twarzy.

- Ciekawa jestem, jak długo wytrzymam! - wyszeptała.

## ROZDZIAŁ VII

### Nemesis

Sam był nieobecny przez dwie godziny, a gdy wrócił, zastał Lilian ubraną, zajętą pisanie listu.

- Zakomunikowałam Joyce, że jeszcze żyję! - rzekła gdy wszedł do pokoju. - Jestem pewna, że się ucieszy, chociaż naprawdę nie wiem dlaczego.

Sam stanął przy stole.

- Dobrześ uczyniła! - rzekł.

Usłyszała szelest papieru i odwróciła głowę.

- O, Sam, jakie piękne!

Okrzyk ten dobył się z jej piersi całkiem mimo woli. Sam zajęty był rozpakowywaniem bukietu purpurowych róż. Wstała i podeszła don. Wzięła kwiaty i zanurzyła w nich rozjaśnioną twarz.

- Jakie bajeczne! - wyszeptała.

Woń rozkwitłych róż przeniknęła cały pokój. Lilian wchłaniała ten aromatyczny zapach.

- Ogromnie się cieszę, że się podobają - rzekł Sam.
- Szalenie lubię te róże - odparła. - Skąd wiedziałeś? Tysiącrotne dzięki!
- O, daj spokój! Podziękowania staną się wkrótce nudne.

Uśmiechnęła się.

- Tak często masz mi zamiar przynosić kwiaty? Jesteś strasznie lekkomyślny. Musiałeś zapłacić za nie mnóstwo pieniędzy.

- Nie tak strasznie! - odparł. - Tańsze są niż wycieczka do Paryża. Na wycieczkę tę przez dłuższy czas oszczędzałem.

- Oszczędzałeś! Jak to mam rozumieć, Sam? - patrzyła nań z ciekawością sponad kwiatów.

- Dłuższy czas odkładam pieniądze - rzekł. - Nie wiedziałem, czego zapragniesz.

- Boże święty! - zawołała. - Od jak dawna datują się twoje oszczędności?

- Mniej więcej od osiemnastu miesięcy.

- To znaczy od chwili, kiedyśmy się po raz pierwszy ujrzeli? - W głosie jej brzmiało zdziwienie i zaciekawienie.

Skinął głową.

- Coś w tym rodzaju. Zesztywniała nagle.

- Czyli, że byłeś już wówczas pewny, że mnie zdobędziesz!

- Myślałem o tym - odparł z prostotą. - W każdym razie odkładałem pieniądze na wszelki wypadek.

- Jesteś przezorny! - uśmiechnęła się z ironią.

- Jeszcze coś ci przyniosłem - rzekł po chwili, sięgając do kieszeni.

- Cóż takiego? - w głosie jej nie było radości. - Nic nie chcę od ciebie, z wyjątkiem kwiatów.

- Bardzo mi przykro - rzekł Sam, wyjmując z kieszeni małe pudełeczko. - To ci się nie spodoba?

Wzięła pudełeczko po chwilowym wahaniu.

- Biżuteria? Sam, wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Przykro mi - powtórzył. - Ale bardzo chciałem, żebyś to miała... i nosiła na szczęście.

Odłożyła kwiaty, aby otworzyć pudełeczko.

- A co to jest? Nie trzeba było kupować! Pierścionek! Sam, jaki ty jesteś lekkomyślny!

- Właściwie nie miałaś przyzwoitego zaręczynowego pierścionka - rzekł. - Gdyby nasze zaręczyny nie nastąpiły tak raptownie, byłbym na pewno jakiś pierścionek przygotował.

- Dziwne! - zawołała Lilian, wpatrując się w klejnot, spoczywający na białym atłasie. - Nie wiem, czy powinnam to przyjąć od ciebie.

- Myślę, że tak - wyszeptał.

Przyglądała się wciąż pierścionkowi w milczeniu.

- Nie podoba ci się? - zapytał.

Był to platynowy pierścionek z małą podkówką z brylantów. Fason nie był zbyt oryginalny, ale Sam posiadał gust nieco zacofany. Lilian dostrzegła widocznie w tym podarunku coś szczególnie niezwykłego.

- Lękam się, że jest może mało oryginalny, ale podobno przynosi szczęście.

Nie podnosząc oczu, rzekła:

- Miałam kiedyś broszkę z podkówką, którą dostałam od Peggy. Zgubiłam ją. Co cię skłoniło do tego, aby mi podkówkę kupić?

- Nie podoba ci się? - zapytał znowu. Spojrzała nań nagle przenikliwym wzrokiem.

- Dajesz mi to na szczęście, bez żadnej ubocznej myśli? - zagadnęła.

- Tak, tylko z tej przyczyny, kochanie - odparł. - Ale widzę, że specjalnie ci się nie podoba, dlatego też proszę cię, abyś nosiła ten pierścionek tylko na szczęście.

Wyjęła pierścionek z pudełeczka.

- Ciekawam, czy nie będzie za duży.

- Ten sam rozmiar, co ślubnej obrączki - zauważył. - Noś go na tym samym palcu.

Ujął jej dłoń i wsunął pierścionek na palec.

- Pasuje doskonale - rzekł. - Kupiłem bilety na dziś wieczór do teatru, żebyś się nie nudziła.

Nastrój jej uległ zmianie. Uśmiechnęła się.

- Sam, jesteś dla mnie naprawdę bardzo dobry.

- W głębi duszy tak nie myślisz - zaśmiał się.

- Owszem, myślę. - Mówiła, jak człowiek, zdecydowany na wszystko. - Orientuję się, że robisz wszystko, co jest w twojej mocy, ja również będę się o to starać. Dziękuję ci za pierścionek, Sam. Bardzo mi się podoba. Muszę i tobie coś podarować.

- Nie - zawołał z miną nieugiętą. - Wolałbym, żebyś nie robiła tego, kochanie. Bardzo ci dziękuję. W tej chwili posiadam to, czego najbardziej pragnąłem.

Pogłaskał ją po dłoni i odwrócił się.

- Zejdziemy na dół na lunch - rzekł. - Potem musisz odpocząć, bo przecież wychodzimy wieczorem.

Lilian niechętnie przyjęła tę propozycję, lecz on zmusił ją do uległości po spożyciu lunchu.

- Mało odpoczywasz - rzekł - a jest ci to koniecznie potrzebne.

- Nie jestem przyzwyczajona, aby mnie ktoś rozpieszczał - zauważyła - i nie lubię tego, Sam.

- Masz słuszość! - odrzekł łagodnie. - Możesz się nawet nie rozbierać. Połóż się na kanapie, a ja ci zdejmę pantofle.

Zaśmiała się, chociaż gniew ją ogarnął.

- Daj spokój! Odpoczynek jest mi niepotrzebny i z pewnością nie zasnę.

- Postaraj się.

Nie było rady. Każdy wyraz protestu z jej strony przyjmował z łagodną stanowczością, usiłując zwalczyć jej upór. Doszła do wniosku, że w tej sytuacji nie warto się było buntować.

- Klócić się należy tylko w ważnych kwestiach - pomyślała i uśmiechnęła się do siebie.

Kłótnia z Samem sprawiałaby wrażenie kłótni ze starą dobroduszną piastunką, która najlepiej wie, co jest dobre a co złe dla jej wychowania. Lilian z zimnym rozsądkiem spoglądała na wystąpienia męża.

- Mam wrażenie, że wkrótce przestanę go nawet lubić - zdecydowała.

Mimo uporu, zasnęła natychmiast i spała kilka godzin, a gdy się wreszcie obudziła, nie zdawała sobie sprawy z niczego, co ją otacza. Przez mgłę usłyszała przyciszony głos Sama:

- Dobrze ci zrobił ten wypoczynek. Teraz napijemy się herbaty.

Odpowiedziała gniewnie, że nie ma najmniejszej ochoty i zapadła znowu w drzemkę. Lecz wspomnienie jego ostatniej propozycji nie pozwoliło jej ponownie zasnąć.

- O, Sam - zawołała po chwili - dlaczego nie możesz mnie na chwilę zostawić samej?

- Napij się herbaty, kochanie! Gorąca herbata pokrzepia.

Podniosła się niechętnie, przygotowana na stanowczy protest. Postawił tacę tuż przy kanapie i stał nad nią z napełnioną już filiżanką.

- Napij się - prosił, patrząc na nią z uśmiechem. - Wiesz, że spałaś prawie pięć godzin?

Podczas picia herbaty umysł jej jakoś się rozjaśnił.

- To musi już być bardzo późno - zauważyła.

- Siódma - odparł Sam. - Najwyższa pora, aby się ubrać i zjeść obiad przed przedstawieniem.

- Widocznie przebudziłeś mnie jak wszedłeś tutaj.

- O nie, kochanie - odparł. - Siedziałem przy tobie przez cały czas. - Wskazał fotel, stojący opodal.

Mówił wesoło. Ona przyjęła jego słowa w milczeniu.

- Czujesz się lepiej? - zapytał, odbierając od niej pustą filiżankę.

- Tak, dziękuję. O wiele lepiej. - Opadła znowu na poduszki, jakby odczuwała jakąś dziwną nieprzyjemność po zbudzeniu się z głębokiego snu.

- Może byś coś zjadła! - zaproponował.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, przecież zaraz będzie obiad. Może byś zechciał wyjść na chwilę, abym się mogła ubrać.

Uśmiechnął się, sięgając po tacę.

- Zostawię drzwi otwarte - rzekł.

- Nie, proszę cię, zamknij - zawołała.

Zamknął drzwi posłusznie, a Lilian odetchnęła z ulgą. Poczula nagle woń jego kwiatów i zauważyła, że postawił wazon tuż przy niej. Zanurzyła twarz w pachnących różach.

- Bydłę ze mnie - wyszeptała. - Ale są chwile, kiedy muszę być sama.

Gdy w kwadrans potem spotkała go w saloniku, przypięła do gorsu dwie róże i zauważyła, że radośnie przyjął ten objaw pamięci. Otulił ją futrem i zeszli na dół. Pod okiem jego widniała jeszcze ciemna plama, lecz twarz nie była już tak zeszpecona jak przed kilku dniami. Gdyby nie czarny plasterzek przyklejony na czole, wyglądałby już zupełnie normalnie.

Kilkugodzinny sen odświeżył ją i zorientowała się, że podczas obiadu obecność Sama nie wydawała jej się już tak nieznośna. Zresztą Sam był przecież Samem i nie obrażał się, gdy nań nie zwracano żadnej uwagi. Lubił, gdy mówiła, lecz dłuższe jej milczenie nie raziło go nigdy. Wyleczona twarz dodawała mu sympatycznego wyglądu i Lilian pomyślała, że w każ-

dym razie dzisiaj wygląda już bardziej po ludzku. Chwilami nawet usiłowała nie pamiętać o tym, że jest jej mężem.

Przedstawienie było jednym z tych przedstawień, o których ostatnio mówił cały Londyn.

- Dziwię się, żeś dostał bilety - zauważyła - bo podobno codziennie teatr jest wypełniony po brzegi.

- A jednak udało mi się zdobyć jakiś kącik dla nas - uśmiechał się tajemniczo Sam.

Gdy wprowadził ją do łoży, zorientowała się, że miejsca te musiały być bardzo drogie i cichym głosem wyraziła swe niezadowolenie.

- Nie należało tak robić, Sam. To jest stanowczo lekkomyślność. Musisz koniecznie stać się oszczędniejszy.

Zaśmiał się, pomagając jej zdjąć futro.

- To tylko dzisiaj, kochanie! - rzekł. - Przecież bardzo chciałaś iść do teatru. Ślicznie wyglądasz w tej sukni.

Zachwył jego nie sprawił jej przyjemności. Cóż mógł znaczyć zachwył Sama? Wiedziała, że w tej sukni wyjątkowo ładnie wygląda. Było to połączenie czarnego aksamitu ze złotem i w obramowaniu tym jasna jej twarzyczka zyskiwała na uroku. Gdy usiadła, wyczuła, że kilka par oczu spoczęło na niej. Wiedziała, że tego wieczoru była najpowabniejszą kobietą na widowni.

Ona sama nie zwracała zbyt uwagi na publiczność. Już prawie od trzech lat nie była w Londynie, więc towarzystwo zebrane w teatrze było jej zupełnie obce. Nie miała zbyt ochoty spotkania kogoś z dawnych znajomych, dla niej bowiem tamte dawne czasy należały do przeszłości, która już istnieć przestała.

Sam jednak widocznie na spojrzenia zaciekawionych nie był obojętny, bo w pewnej chwili energicznym ruchem zasunął portierę łoży.

- Posuń trochę swe krzesło - rzekł.

Spojrzała nań.

- Dlaczego? Bardzo mi tu wygodnie.

- Wolałbym, żebyś się przesunęła nieco.

Wzruszyła ramionami.

- Mój drogi, co ci na tym zależy? Niech patrzą, jeśli mają przyjemność.



- Nie chcę, żeby wytrzeszczali oczy na moją żonę - zawołał gniewnie.

Spojrzała nań znowu ze zdziwieniem, lecz w tej samej chwili światła zgasły i dźwięk gongu oznajmił o rozpoczęciu przedstawienia.

- Proszę cię, Lilian! - upierał się Sam, szepcząc już teraz do ucha żony.

- Jesteś niemożliwy - odparła z gniewem, lecz spełniła jego prośbę.

Akcja się rozpoczęła. Zainteresowała ona Lilian od samego początku, bo treścią sztuki był fragment życia jej samej dość bliski, życia, toczącego się w jednym z domów gry w południowej Europie.

Wraz z rozwijaniem się akcji, podniecenie Lilian wzrastało. Przy końcu pierwszego aktu, była tak oczarowana, że nie dostrzegła nawet, gdy w pewnej chwili widownia zapłonęła światłem.

- Ależ to nadzwyczajne - wyszeptała.

- Przemawia do ciebie? - zapytał.

- Ogromnie! - odparła. - Takie prawdziwe. Byłam tam i znam to najlepiej.

Skinął potakująco.

- Dla ciebie to zupełnie obojętne - dorzuciła, wracając do rzeczywistości. - To życie, ta gorączka gry, wydaje ci się fantazją.

- Niezupełnie - zamyślił się. - Byłem raz w Monaco, ale dużo lat temu.

- Na pewno nie grałeś! - zawołała. - Nie miałeś ochoty ryzykować.

- Istotnie ryzykowałem niewiele! - przyznał. Odwróciła się od niego z ironicznym półśmiechem.

- Oczywiście! Wiedziałam!

- Uważam, że to jest wymarzona miejscowość dla samobójców - zauważył Sam.

Pochyliła się na krzesło z nagłym dreszczem.

- Dasz mi papierosa? - zapytała.

- Nie pal tak dużo, kochanie! - próbował oponować.

Ruchem zniecierpliwienia wzięła papierosa, ignorując zupełnie jego uwagę. Siedzieli w milczeniu do następnego podniesienia kurtyny.

Dalszy ciąg sztuki podniecił Lilian jeszcze bardziej. Cała jej uwaga skierowana była na scenę. Przy końcu drugiego aktu padła na fotel, jakby była bliska omdlenia.

- Nie jestem zadowolona z tej sztuki - wyszeptała. - Całe szczęście, że to tylko teatr.

- Może już pójdziemy? - zaproponował.

Potrząsnęła głową przecząco.

- Nie. Muszę ją zobaczyć do końca, ale nienawidzę jej! Nienawidzę!

- Napiałabyś się kawy? - zapytał Sam.

- Daj mi spokój! - zawołała z pasją. Wstał i wyszedł z łoży.

Była mu wdzięczna za to, że ją pozostawił samą i cofnęła się za portierę łoży. Obecność każdego człowieka sprawiałaaby jej teraz przykrość, a tym bardziej obecność Sama, który tak jej w tym wypadku nie rozumiał. Nic dziwnego, Sam nigdy nie zetknął się bliżej z tym życiem, lecz za to autor sztuki musiał znać je doskonale.

Gdy Sam po chwili wrócił, nie odezwała się doń ani słowem. Całym jestestwem była teraz przy bohaterach, którzy radowali się i cierpieli z taką naturalnością. Z lękiem oczekiwała zakończenia akcji.

Ostatni akt był punktem kulminacyjnym całości. Poprzez nadzieje i obawy akcja kierowała się do ostatecznej tragedii.

Lilian, z łokciami wspartymi o poręcz łoży, w pewnej chwili osunęła się na kolana, jak gdyby dalej nie mogła patrzeć na scenę, siedząc. Wreszcie nadeszło zakończenie i gdy kurtyna opadła, Lilian bezsilnie osunęła się w ramiona Sama.

Uniósł ją i posadził w fotelu.

- Lilian, chora jesteś?

Odpowiedziała mu bezdźwięcznie, a słowa jej mieszały się z odgłosem licznych oklasków:

- Nie, nie! Ale zabierz mnie stąd... prędko... prędko!

Narzucił jej futro na ramiona i opuścili łożę. Prowadził ją przez pusty korytarz, podtrzymując silnie, lecz ona w pewnej chwili wyswobodziła się z uścisku jego ręki.

- Daj spokój! Zupełnie dobrze się czuję.

Hall teatralny był jeszcze zupełnie pusty, gdy weszli. Podprowadził ją do kanapki.

- Usiądź, a ja tymczasem zawołam taksówkę! - rzekł.

Usiadła posłusznie, bo kolana jej drżały, chociaż siłą woli starała się odzyskać równowagę.

Sam wybiegł na ulicę a tymczasem publiczność tłumnie napłynęła do hallu.

Lilian siedziała, otulając się futrem i drżąc na całym ciele. Nie zwracała uwagi na przechodzących obok niej ludzi. Siedziała z wzrokiem utkwionym w przestrzeni, jakby ujrzała tam jakąś wizję. Nagle z tłumu usłyszała głos, zwrócony w swoją stronę. Odwróciła głowę i mocniej jeszcze futrem się otuliła.

- Lilian! - mówił głos. - Lilian! Lilian Devereux, prawda? Sądziłam w pierwszej chwili, że się mylę.

Spojrzenie Lilian spoczęło na twarzy jeszcze dość młodej kobiety, ubranej wykwintnie. Kobieta uśmiechnęła się do niej.

- Nie pamięta pani Nemezis? - zapytała.

Lilian uczyniła niepewny ruch i przymknęła oczy. Po chwili, odzyskawszy równowagę, spokojniej już spojrzała na nieznajomą.

- Sądzę, że pani się myli - rzekła.

Charkotliwy śmiech dobył się z piersi nieznajomej.

- Nie, nie, moja droga! Pamiętam doskonale te włosy i te oczy. Jeżeli pani zapomniała o Nemezis, to Nemezis panią doskonale pamięta. Obserwowałam panią przez cały wieczór i tego młodego, bladego arystokratę, który pani towarzyszył! Przypuszczam, że jest arystokratą, sądząc z jego zdegenerowanej powierzchowności.

- Pani się myli - powtórzyła Lilian, mówiąc tym razem z całym spokojem i nieznacznym wzniesieniem brwi. - Ja pani nie znam.

Purpurowe wargi kobiety uśmiechnęły się, ukazując białe, drapieżne zęby.

- Tak prędko pani zapomniała? Doskonale, postaram się przypomnieć. Chce pani ominąć tę drogę, którą Nemezis kroczy, lecz Nemezis zawsze ukaże się pani w chwili najbardziej nieoczekiwanej.

- Zechce pani mnie zostawić samą! - zawołała Lilian, siląc się na obojętność. - Powiedziałam już, że pani nie znam.

Dostrzegła w tej chwili Sama, przedzierającego się przez tłum w jej stronę, spokojnie więc wstała, przywołując go ruchem ręki. Spojrzała jeszcze raz z pełną szczerości nienawiścią w oczy nieznajomej, po czym szybkim krokiem oddaliła się.

Sam spoglądał na nią wzrokiem pełnym zaniepokojenia.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Zawołałem taksówkę.

Nie odsunęła się tym razem, gdy ujął ją pod ramię, lecz szybkim krokiem szła przy jego boku. Gdy padła na poduszki auta i drzwiczki taksówki się zatrzęsły, zawołała szeptem pełnym rozpacz:

- Otwórz okno, Sam! Brak mi powietrza.

Sam opuścił obydwie szyby i prąd zimnego nocnego powietrza wniknął do wnętrza. Z prawdziwie macierzyńską troskliwością otulił żonę mocniej futrem.

- Nie czuję chłodu - rzekła, lecz drżała coraz bardziej, dzwoniąc zębami.

Owładnęło ją straszliwe osłabienie i gdy wreszcie po kilku minutach stanęli przed hotelem, nie miała siły ruszyć się z miejsca.

- Tak się źle czuję! - szeptała, gdy Sam pomagał jej wysiąść.

- Uspokój się kochanie! - rzekł i nagle, ku jej wielkiemu zdziwieniu, dwoje stalowych ramion wyniosło ją z taksówki.

- Ach, Sam! - szeptała zażenowana.

- Uspokój się - prosił. - Nie troszcz się o nic!

Siła jego ramion oszołomiła ją. Niósł ją jak małe dziecko, ten słaby, niepozorny Sam, którego wąskie ramiona zawsze przejmowały ją uczuciem litości, a widok całej postaci wywoływał śmiech!

- Pani zemdlą! - usłyszała jego głos. - Proszę przynieść trochę koniaku!

Później położył ją na kanapie w hallu i krzątał się koło niej z troskliwością piastunki.

Przyniesiono koniak, a on zmusił ją do wypicia kilku kropel. Gdy się już czuła nieco lepiej, wziął ją znowu na ręce i przeniósł do windy, odmawiając czyjejkolwiek pomocy.

Gdy wróciła do przytomności, zorientowała się, że leży już w swoim pokoju na szerokim łóżku i że Sam, zachowując jak najdalej idącą delikatność, rozbiera ją.

- Pozwól, że ci pomogę - rzekł, nim jeszcze zdążyła zaprotestować. - Nie mogę zostawić cię tutaj samej.

Nowy zimny dreszcz przeniknął jej osłabione ciało.

- Jak zimno - wyszeptała.

Pod dotknięciem spokojnych rąk męża, czuła się, jak bezradne dziecko. Całkiem mimo woli łzy napłynęły jej do oczu.

- Głupstwa pleciesz, kochanie! - odparł z uśmiechem. - Nie odczuwam zbytnej przyjemności, widząc cię osłabioną i chorą. Martwię się o ciebie. Pragnę, abyś jak najszybciej była zupełnie zdrowa.

Z największą troskliwością otulił ją kołdrą i usiadł tuż przy niej. W pewnej chwili bez słowa podała mu obydwie ręce, jakby chcąc tym samym wyrazić całą swą wdzięczność.

- Zimno ci jeszcze? - zapytał.

- Zimno w sercu! - odparła szeptem. - I nigdy chyba nie będzie inaczej.

Otoczył ją ramionami i przytulił głowę jej do swojej piersi.

- Śpij, dziecinko, śpij! - uspokajał ją szeptem.

I wreszcie drzeć przestała, zasypiając spokojnie.

TLR

# ROZDZIAŁ VIII

## Koniec podróży

Opuścili Londyn nazajutrz rano, udając się do Rossingdon. Uciążliwa to była podróż ze względu na częste przesiadania i długie oczekiwania na stacjach, lecz pozostawiwszy za sobą mury stolicy, Lilian była o wiele spokojniejsza. Zwracała się do Sama jakoś serdeczniej i szczerzej, twierdząc, że jest w doskonałym humorze. W gruncie rzeczy zajęta była wciąż myślą, że wkrótce odwiedzi stare swe rodzinne domostwo.

Dzień był ponury, osnuty nieprzyjemną mgłą. Od chwili jednak, gdy wyruszyli z Londynu, Lilian nawet mgły tej nie odczuwała.

Przed wieczorem, gdy już zaczęło się ściemniać, znaleźli się na dworcu małej stacyjki, oddalonej o cztery mile od celu ich podróży.

- Szkoda, że nie mamy mego samochodu! - zauważył Sam. Lilian zaśmiała się.

- To prawda, ale często przybywają tu samochody z miasta.

Miasto składało się z kilku szeregów zapadłych domków, zbudowanych z kamienia. W domkach tych były małe sklepiki, które jednocześnie służyły za hotele. Miasteczko nazywało się Hackstone, i prawdopodobnie nazwa ta pochodziła od kamiennych domków, w których mieszkali nieliczni tutejsi obywatele. Kałuże brudnej wody płynęły ulicami, tworząc coś w rodzaju kanałów, wpadających do wąskiej rzeczki, która przepływała przez sam środek miasta. Pod wpływem ciągłych deszczów powierzchnia wody przybrała, tworząc tysiące małych strumieni.

- Chodźmy do oberży Gulla - zaproponowała Lilian. - Guli miał kiedyś całkiem wygodną bryczkę.

Poszli do Gulla, lecz czekało ich tu wielkie rozczarowanie. Oberża była już w innych rękach i stała się brudną, zapadłą spelunką.

- Może byśmy się napili herbaty? - zagadnął Sam.

- O, nie tutaj! - zaprotestowała Lilian. - Na herbatę pójdziemy do starego Turnekeya. Jest tam również piekarnia.

Lecz i tutaj nie znaleźli tego, czego szukali. Piekarnia dawno zakończyła swą egzystencję, a na jej miejscu był sklep narzędzi żelaznych. Tymczasem ściemniało się coraz bardziej i zaczął padać rześisty deszcz.

- Czy nie znajdziemy tutaj jakiejś gospody, w której by można przenocować? - oburzył się Sam.

- Przyzwoitej gospody tu nie ma - oznajmiła Lilian. - Nigdy zresztą takiej nie było. Rzadko kiedy ktoś do tego miasta przyjeżdża. Będziemy chyba musieli pójść piechotą do Rossingdon.

- Ależ to jest niemożliwe.

- Czekaj, zapytamy się w kuźni! - zaproponowała.

Weszli do kuźni. Kowal, który był jednocześnie kołodziejem, spojrzął na nich spod krzaczastych brwi. Nie, nie wiedział o żadnym wehikule w Hackstone, którym by mogli udać się w taką deszczową noc do Rossingdon.

- A nie ma tu jakiegoś garażu? - zapytał Sam.

- Co takiego - zdziwił się kowal. Lilian ujęła Sama pod ramię.

- Chodźmy już! Tu się niczego nie dowiemy. Pójdziemy „Pod Koronę” „Korona” znajdowała się na tej samej ulicy. Miała wygląd niezbyt zachęcający i gdy weszli do sieni, znaleźli się w zupełnych ciemnościach.

- Co to za straszna dziura! - narzekała Lilian.

Słyszeli jakieś szmery z dalszych izb, lecz nikt jakoś nie wychodził.

- Ładna historia! - zawołał Sam.

Lilian zwróciła się doń:

- Sam, nie możemy spędzić nocy tutaj! Znam doskonale drogę. Pójdziemy.

- Moja kochana - perswadował - w żaden sposób nie mogę pozwolić na to.

Wyszli znowu na ulicę.

- Więc co proponujesz? - zapytała.

- Będziemy szukać dalej - odparł Sam. - Po przeciwległej stronie ulicy widziałem sklepik z papierosami. Spróbujemy.

Z tymi słowy zanurzył się w błocie, przechodząc przez uliczkę, a Lilian posłusznie poszła za nim.



Sklepek, o którym wspominał, oświetlony był małą naftową lampą. Nikogo w nim nie było, gdy weszli. Lecz po chwili na dźwięk dzwonka, wtoczyła się otyła niewiasta z przyległego pokoju.

- Dobry wieczór! - pozdrowił ją Sam. - Chcieliśmy się napić herbaty.

- Tutaj nie mogą państwo dostać - odparła.

- Nawet gdybyśmy z góry zapłacili? - prosił Sam. - Pogoda jest straszna i przemokliśmy do nitki.

Spojrzała nań zdziwiona.

- Wstępowali państwo do Korony? - zagadnęła.

- I do Gulla także - wyznał Sam. - Lecz nigdzie...

- Ach, do Gulla! Tam pan nic przyzwoitego nie dostanie! - przerwała otyła jejmość.

- Właśnie tak pomyślałem - odparł Sam, po czym dodał dyplomatycznie: - Dlatego postanowiłem tutaj wstąpić.

Spojrzała nań tym samym wzrokiem, którym przedtem powitał go kowal.

- Państwo są obcy w tych stronach - zauważyła.

- Jedziemy prosto z Londynu. Celem naszej podróży jest Rossingdon.

- Do Rossingdon państwo jadą! - powtórzyła ostro. - A po co? Samowi przyszło na myśl, że może dobrze będzie zaspokoić ciekawość tej kobiety.

- Ta pani - rzekł - moja żona, jest właścicielką dworu Rossingdon.

Otyła jejmość otworzyła szeroko oczy i zawisła nimi na twarzy Lilian.

- Och! - zawołała. - Przyjechała pani, aby zobaczyć co się tam dzieje?

- To było naszym głównym celem! - pośpieszył zapewnić Sam. - A czy byłaby pani o tyle uprzejma, aby nam przed tym podać herbaty?

- Chcą państwo dalej jechać jeszcze dzisiaj? - zapytała znów jejmość.

- Jeżeli tylko będziemy mogli. Przedtem jednak musimy się napić herbaty. Nie uważa pani...

- Zaraz państwu podam - rzekła. - Proszę wejść do dalszego pokoju.

Poszli za nią, a Sam uśmiechnął się, dumny ze swej dyplomacji.

Pokój, do którego weszli przeładowany był zakurzonymi meblami, lecz znajdował się w nim mały kominek i Sam podprowadził doń Lilian.

- Usiądź i ogrzej się! - rzekł łagodnie.

- Muszą państwo zaczekać chwilkę - zauważyła jejmość, kierując się leniwym krokiem do dalszych drzwi. - Woda się pewno jeszcze nie zagotowała.

- Mniejsza o to - zgodził się Sam. - Chętnie zaczekamy.

Głównym jego pragnieniem było teraz, aby Lilian rozgrzała się nieco i wypoczęła. Mała lampka stojąca na stole, roztaczała dookoła nieprzyjemną woń oliwy. Usiłował przykręcić ją, lecz bez skutku. Potem uwaga jego zwrócona została na ogień płonący na kominku. Lilian siedziała w milczeniu i spoglądała nań z daleka.

- Wolałabym - odezwała się nagle - byśmy tu wcale nie przyjeżdżali!

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Ach, głowa do góry, kochanie! - zawołał. - Jesteś po prostu przemęczona. Po wypiciu herbaty będziesz się czuła lepiej.

Potrząsnęła głową.

- Nie... nie! To nie to. Mam jakieś dziwne uczucie przez cały dzień, którego nie mogłam pojąć.

- Cóż to za uczucie? - zapytał z zaciekawieniem.

Uczyła ruch bezradności.

- Że to wszystko niepotrzebne... że cały nasz wysiłek bezowocny... że fatum... to fatum... - głos jej nagle załamał się i przycichł.

- Och, nie bądź dziecinna! - zawołał Sam i znowu odwrócił się do ognia. - Co fatum ma z tym wszystkim wspólnego? Możemy fatum łatwo pokonać.

Zaśmiała się, lecz w śmiechu tym był dziwny tragizm.

- Mówisz, jak prawdziwy mężczyzna - oznajmiła.

- Dlaczegoż nie miałbym być czasami mężczyzną? - zdziwił się.

- Przeważnie nie jesteś takim jak inni - odparła całkiem nieoczekiwanie.

- Dziękuję ci! - wyszeptał z widoczną przyjemnością.

Począł grzebać w kominku i wkrótce z rozpalonych węgielków poczęły buchać wesołe płomienie.

- Gospodyni nie będzie zadowolona, jak zobaczy, żeś tak rozniecił ogień - zauważyła Lilian, grzejąc się przy kominku z prawdziwą rozkoszą.

- Zapłacę jej za to - odparł.

Nagle Lilian poczęła się śmiać już bardziej szczerze.

- Cóż za straszliwy kontrast między tym wieczorem i ostatnim - zawołała. - Orientujesz się chyba, że będziemy musieli spać w jakiejś stodole.

- Orientuję się, że na nic takiego nie będziemy narażeni - odrzekł z uśmiechem.

- Żebyśmy mogli dostać się do Rossingdon...

- Lepiej nie myśleć o tym. Poruszyła się niespokojnie na krześle.

- Nie myśleć! Ależ musimy, Sam! Przecież nie możemy przepędzić tej nocy w takiej dziurze.

- A jak będziemy musieli - uśmiechnął się znowu.

- Musieli! Po co? Jeszcześmy nie próbowali. Och, nie bądź śmieszny! Musimy stąd koniecznie wyjść.

- Ale nie dzisiaj - oznajmił stanowczo.

Uczyła ruch rozpaczliwy.

- Jeżeli masz zamiar prawić nonsensy...

- Ani mi się śni.

- Stanowczo nie zgadzam się na pozostanie tutaj - zawołała Lilian. - Pójdę sama i koniec.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nie, kochanie - wyszeptał łagodnie.

Zapadło głucho milczenie, a on po kilku chwilach usiłował przedstawić jej plan dalszych działań.

- Mam zamiar zostawić cię tutaj przy ogniu po wypiciu herbaty i poszukać jakiegokolwiek schronienia na dzisiejszą noc.

- A co będzie jeżeli odmówię? - zapytała z przekorą.

- Och, nie bądź dzieckiem, kochanie! - powtórzył jeszcze łagodniej.

Znowu zapadła cisza. Wszelkie przekonywanie Sama byłoby niepotrzebną utratą energii i cierpliwości. Postanowiła zabrać się do rzeczy wówczas, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Ciepło płonącego ognia ogarniało ją przyjemnie i przyjęła nawet podanego przez Sama papierosa, który miał skrócić długie chwile oczekiwania na herbatę.

Upłynęło dziesięć minut. Krople deszczu uderzały w okno, a wiatr dał ze wzmożoną siłą, zawodząc żałośnie w kominie.

- Cóż za okropna noc! - wyszeptała Lilian.

Sam w milczeniu palił papierosa. Rozsiadł się wygodnie, wyciągnął leniwie nogi i zdawał się zapadać w głęboką drzemkę. Minęło następne pięć minut.

- Nie będziemy chyba czekać dłużej - zniecierpliwiła się Lilian. Sam nie odpowiedział. Podbródek miał wsparty na dłoni, papieros wyleciał mu z palców, a powieki ociężałe się przymknęły.

Odwróciła głowę i spojrzała nań niechętnym wzrokiem. Wyraźnie drzemał, bo głowa opadała mu to w jedną, to w drugą stronę. Jedna ręka zwisała bezwładnie z poręczy fotela. Siedział w niedbalej pozycji, musiał być bardzo zmęczony.

Lilian ogarnął jakiś dziwny spokój. Oddalona od gwaru miasta, czuła ulgę i zupełne bezpieczeństwo przy boku Sama.

- Nigdy już do miasta nie wrócę - pomyślała, pochylając się nad ogniem. - Resztę życia przepędzę we dworze Rossingdon, chociażbym miała umrzeć z nudów!

Odgłos stawianych na stole filiżanek zwrócił jej uwagę. Nareszcie herbata! Sam zbudził się z pomrukiem. W drzwiach ukazała się otyła gospodyni z tacą w ręku. Ustawiła tacę na małym stoliku pośrodku pokoju.

- Już jest! - rzekła. - Nareszcie woda się zagotowała. Proszę, niech państwo piją. Przypuszczam, że nic państwu więcej nie potrzeba?

- O, nic - odparł Sam grzecznie. - Siedz sobie, Lilian, ja naleję herbatę - podniósł się z tymi słowy.

Otyła jejmość ociągała się z wyjściem.

- Niech pan da żonie mocniejszej herbaty! - poradziła. - Musi być bardzo zmęczona. Sądzę, że państwo słyszeli o wszystkim.

- O czym mianowicie? - zapytał Sam, nalewając esencję z małego czajniczka.

- Więc nie w tym celu państwo tu przybyli? - zdziwiła się jejmość.

- Nie mogę odpowiedzieć, dopóki się nie dowiem - odparł Sam. Lilian odwróciła się na krześle z niepokojem.

- A cóż to takiego? O czym mamy wiedzieć?

- Co? Więc państwo nie słyszeli? - zawołała jejmość. - Myślałam, że z tej przyczyny przyjechali państwo tutaj. Nie słyszeli państwo? Nic nie wiecie?

Lilian zerwała się na równe nogi. Twarz jej w świetle przyćmionej lampki była blada. Sam odstawił na chwilę czajniczek.

- Proszę nam powiedzieć - zawołała Lilian drżącym głosem - proszę nam powiedzieć, co pani ma na myśli.

Kobieta z przerażeniem spojrzała na nią.

- Niech się pani uspokoi! - rzekła. - Pan jest mężem tej pani, prawda? Może lepiej powiedziałabym o tym panu, a pan później powtórzy żonie.

- Och, proszę nie mieć żadnych obaw - zawołał Sam wesoło. - Co się stało? Czy dwór zapadł się pod ziemię?

Gospodyni wahała się jeszcze, spoglądając na Lilian podejrzliwym wzrokiem.

- Nie lubię być tą, która przynosi złe wieści - odparła. - Mąż mój zaraz wróci i o wszystkim państwu opowie.

- Sam! - z piersi Lilian dobył się nieprzytomny okrzyk niepokoju.

Sam otoczył ją ramieniem, lecz spoglądał ciągle na otyłą jejmość, stojącą przy drzwiach.

- Sądzę, że lepiej będzie, jak nam pani powie - rzekł. - Kobiety zawsze mają do tych rzeczy większe zdolności.

Widocznie ton, jakim się zwrócił do gospodyni, musiał podziałać na nią i przekonać ją zupełnie.

- Jeżeli pani należy do rodziny Devereux'ów, to właściwie powinna pani wiedzieć - odezwała się po chwili. - Szkoda, że nie przyjechała pani nieco wcześniej, kiedy jeszcze posiadłość ta nie doprowadzona została do ruiny. Nigdy nie gości szczęście w takim domu, który opuszczają właściciele. Słyszałam jakąś dziwną opowieść o Czarnym Rycerzu. Lecz to jest tylko plotka, a plotkami nie lubię się zajmować. Dwór, biedny stary dwór zniszczony jest zupełnie, jak również i wszystko, co się wewnątrz znajdowało. Spalił się od dachu do fundamentu przedwczoraj.

- Ach! - wybąkał Sam. Ramię jego mocniej opasało Lilian, lecz nie mógł jakoś spojrzeć na nią. - Dziękujemy pani za wiadomości - rzekł spokojnie.

- Wiadomością tą są państwo zaskoczeni, jak mi się zdaje - rzekła gospodyni, otwierając dość szeroko drzwi, aby móc się przez nie przedostać. - Szkoda, że uprzedziłam państwa, bardzo żałuję.

Wyszła. Sam wreszcie odważył się spojrzeć na Lilian, stojącą przy nim.

- Strasznie jestem zmartwiony, kochanie - rzekł.

Odpowiedziała mu z dziwnym grymasem.

- Szkoda, prawda? I naszego ślubu także szkoda! Powiedziałam ci, że nic z tego nie będzie.

- Nic nie będzie? - zdziwił się.

- Nic nie będzie z tego, do czego dążymy - dorzuciła. - To jest fatum, widzisz? Los nas ściga, aż wreszcie uda mu się nas schwycić! A Czarny Rycerz... słyszałeś, co ona mówiła? Czarny Rycerz zawsze ukazuje się, gdy się coś ma stać!

Znowu zamilkła i zdawać się mogło, że zmusza się do uśmiechu.

- Miejmy nadzieję, że tym razem ukazał się po raz ostatni - rzekł Sam ze spokojem. - Usiądź i napij się herbaty. Zaraz ci naleję. Czy dwór był ubezpieczony?

- Ubezpieczony - skrzywiła się znowu. - Boże święty, nie! Posądzałeś mnie o takie rzeczy? Nie asekurowałam go już od wieków. Pieniądze potrzebne mi były na coś innego.

- Jaka szkoda! - wyszeptał.

- Ach, głupiec! - zawołała Lilian.

I nagle wybuchnęła śmiechem, śmiechem pełnym tragizmu, który był bardziej bolesny od łez. Przeniknął ją dreszcz od stóp do głowy i nie mogła już stać dłużej. Padła na krzesło i oparła się o stół z chusteczką przy ustach, usiłując odzyskać równowagę, podczas gdy Sam stał za nią, głaszcząc ją po głowie i pragnąc, żeby raczej płakała.

Lecz Lilian nie mogła zdobyć się na łzy. Wiadomość gospodyni złamała ją do tego stopnia, że coś się w niej zacisnęło i zamarło. Wreszcie opanowała chwilową słabość, poprawiła się na krześle i zaczęła pić herbatę.

- Biedny Sam! Jak mi przykro - wyszeptała. - Jest to najlepszy żart, jaki znam. Powinieneś być podarować mi tę podkowę o dzień wcześniej. Jaka szkoda!

- Przekłęte szczęście - rzekł Sam z wściekłością.

Powstrzymała nowy wybuch śmiechu.

- Sprawiłbyś mi wielką ulgę, gdybyś wyrzekł te słowa na samym początku - oznajmiła.

# ROZDZIAŁ IX

## Debora

Ranek zaświtał szary i mglisty. Lilian wraz z Samem zasiedli do śniadania w małym pokoiku, którego okno wychodziło na ulicę.

Lilian była blada i milcząca. Jadła to, co jej Sam podsuwał, chociaż właściwie nie miała ani odrobiny apetytu. Powieki jej ciążyły, a na twarzy odzwierciedlał się wyraz znużenia.

- Czy naprawdę chciałabyś zaraz wyruszyć do Rossingdon? - zapytał, gdy kończyła pić herbatę.

- Muszę - odparła.

- Wcale tak nie jest. Mogę sam tam pójść i po powrocie zdam ci relację.

Obserwował ją dobronliwym wzrokiem, czyniąc tę propozycję. Lecz ona nań nawet nie spojrzała.

- Muszę - powtórzyła.

Wyszli więc w ten szary mglisty poranek grudniowy, aby poszukać jakiejś komunikacji.

Sytuacja nie była tak beznadziejna, jaka się wydawała wczorajszego wieczoru. Znalazł się w Hackstone człowiek, który posiadał nawet małego Forda, przeznaczonego specjalnie do przewożenia przyjezdnych. Na szczęście Ford był wolny. Bez zastanowienia wynajęli ów rozklekotany samochódzik i znaleźli się wreszcie na gościńcu, prowadzącym do Rossingdon.

Droga biegła u podnóża góry, poniżej płynęła rzeka wąskim korytem, urozmaicając krajobraz. Powietrze było wilgotne i chłodne, toteż Lilian z drzeniem wtuliła się w kąt auta.

Drobny deszczyk zaczął padać, wnikając wilgotnymi kroplami aż pod budę samochodu. Sam pochylił się, aby otulić swym płaszczem żonę.

- Daj spokój! - wyszeptała. - Nic mi się nie stanie.

Nie zwrócił na to uwagi. Ona również nie bardzo przejęła się tym, że tak dbał o nią, zaabsorbowana w zupełności swymi niewesołymi myślami. Sam zdawał się orientować, że uczynił błąd, pozwalając jej na taką podróż.

- Każdy kawałek drogi był jej dobrze znany, lecz prawie nie zważała na to. Myśli jej kłębiły się dokoła całkiem innych tematów.



Szofer był człowiekiem małomównym i rzadko kiedy potrafił udzielić informacji na zadawane pytania. Tak, to prawda, że dwór Rossingdon spłonął doszczętnie. Nikt właściwie dokładnie nie wiedział, dlaczego to się stało, lecz często zdarzają się takie rzeczy. Niektóre domostwa mają już takie nieszczęście. To było wszystko, co mógł im powiedzieć.

Po pół godzinie dotarli do wsi Rossingdon, miejsca niezwykle barwnego, które często odwiedzali artyści. Małe drewniane domki tuliły się do skał, obrośniętych zieleniejącym lasem. Poprzez las mknęła wartko niezbyt szeroka rzeka.

- Pięknie jest latem - zauważył Sam.

- Tutaj jest zawsze pięknie - odparła Lilian.

Przejechali główną ulicę wsi i poczęli się wspinać po gościńcu, prowadzącym teraz pod górę. Droga z obydwóch stron okolona była karłowatymi drzewami i po ujechaniu następnej mili stanęli wreszcie u bramy dworskiej.

Brama ta stała otworem, jak zazwyczaj przed laty. Mały domek dozorczy sprawiał wrażenie pustki, szyby były wybite i prawdopodobnie od lat wielu nikt tu zupełnie nie mieszkał.

- Każ mu wjechać do ogrodu! - odezwała się Lilian.

Wjazd zarośnięty był trawą i mchem, w którym tonęły głęboko koła samochodu. Zatoczyli koło w szerokiej alei i nagle auto zatrzymało się tuż przy pniu zwalonego drzewa.

- Lękam się, że dalej będziemy musieli iść pieszo - rzekł Sam.

- Bardzo chętnie pójdę - odparła.

Wysiedli z auta i przeskoczywszy pień drzewa, poszli wolnym krokiem przed siebie. Aleja była dość długa. Lilian kroczyła nią jakby z wysiłkiem, lecz nie przyjęła ramienia, które jej zaofiarował Sam.

- Nie troszcz się o mnie - wyszeptała - mogę swobodnie iść sama!

Szedł tuż za nią, aż wreszcie spoza zarośli wyłonił się front mieszkalnego domu.

Stali tuż u wejścia do dworu, który był raczej ruiną. Dachy nie było zupełnie, a blade promienie, przedzierające się przez chmury słońca, wnikały otworami okiennymi do wnętrza. Lilian zadrżała na ten widok.

Podeszła do schodów, które prowadziły niegdyś na obszerny ganek i zatrzymała się, zajrzawszy do środka. Wiatr hulał po dawnych pokojach, zawodząc żałośnie. Gdy stała tak bezradnie, Sam zbliżył się do niej.

- Nie wchodź tam! - prosił. Ściany na pewno nie trzymają się bardzo mocno.

Nie zwróciła nań najmniejszej uwagi. Któż by w takiej chwili miał czas zwracać uwagę na Sama? Nie ruszyła się jednak ani krokiem. Zdawać się mogło, że jakaś siła tajemnicza powstrzymuje ją od tego. I w owej chwili, gdy tak stała na progu swego zrujnowanego domu, z wnętrza usłyszała jakiś szmer, potem odgłos kroków i wreszcie z ciemnej czeluści wyłoniła się postać ludzka.

Lilian zadrżała na ten widok.

- Debora! - wyszeptała. - Stara Debora!

Jakiś niewyraźny krzyk był jedyną odpowiedzią, gdy z wnętrza spalonego dworu wyszła stara kobieta w łachmanach i poczęła wolnym krokiem schodzić po załamujących się stopniach ganku. Twarz jej była tak brązowa, jak liście jesienne, poorana tysiącem zmarszczek, a w twarzy tej błyszczało niesamowitym ogniem dwoje czarnych oczu.

- Któż to u licha... - zawołał Sam.

Lilian powstrzymała go.

- Uspokój się, Sam! To stara cyganka, którą kiedyś znałam.

Nędzarka zatrzymała się na schodach, tuż ponad Lilian.

- Mała panienska przyszła wreszcie! - zawołała piskliwym głosem, który Samowi przypomniał głos ściganego szczura. - Tyle razy wzywałam cię, panienko! Ty jednak nie przychodziłaś. A teraz już jest za późno... za późno. Stara Debora nie może już nic więcej dla ciebie uczynić. Pilnowałam... pilnowałam długie lata. Zgubiłam moje karty pewnej nocy w tej dużej sali, gdzie stoi Czarny Rycerz. Wiedziałam, że jakieś zło nadejdzie. I nadeszło... nadeszło! Panienska przyszła za późno!

Jej cieniutki głos przeszedł nagle w wycie. Lilian pobladła i wzniosła ku górze dłoń.

- Jak długo tu byłaś, Deboro?

- Moja panienko, nigdy nie opuszczałam tego miejsca - rzekła stara cyganka już spokojniej. - Spałam tu, budziłam się, budziłam się i spałam, czekając na ciebie. Ktoś przecież musiał pilnować, a nikogo oprócz mnie nie było. Teraz wszystko już przeszło! Teraz mogę złożyć spokojnie moje stare kości. Dwór poszedł z dymem i nigdy już Devereux'owie nie będą tu mieszkali. Ech, panienko! Nic z tego nie pozostało. Minęła dawna sława! - uderzyła się w piersi wyschniętą, poczerniałą ręką. - A ty, panienko, coś była taka piękna, co się z tobą stało? Pamiętam, jak czytałam z twej ręki przed laty, kiedy byłaś jeszcze prawie dzieckiem i był taki rycerz, który czekał na ciebie od lat. Czy przyszedł on do ciebie, panienko? Czy to jest ten

twój rycerz? - Zdawała się dopiero w tej chwili dostrzec obecność Sama i spojrzała nań przenikliwym wzrokiem spod zmarszczonych czarnych brwi, stojąc wciąż na schodach. - Pan jest szlachetnym człowiekiem, jak widzę - rzekła. - W pierwszej chwili nie zauważyłam pana. Znam pana teraz. Stara Debora nie widzi już dobrze, ale wie... dużo wie. Wie również o panu! Jesteście małżeństwem, prawda? Niech Bóg ześle wam swe błogosławieństwo, niech dzieci wasze wyrastają, mając w sobie krew poczciwych Devereux'ów, chociaż nie będą Devereux'ami! Słyszysz mnie, panienko? On jest twoim władcą i panem, wielki rycerz, jak ci już niegdyś mówiłam. I oddasz mu wszystko, co masz, jak czyniły te pobożne żony w Piśmie Świętym, a Bóg udzieli ci swego błogosławieństwa, da ci zdrowie i siły, abyś przeżyła to wszystko, panienko! Będiesz szczęśliwa, tak, będziesz szczęśliwa, gdy oddasz mu wszystko, co masz. Ale do tej chwili, dopóki mu wszystkiego nie oddasz, panienko, szczęścia nie zaznasz! Między mężem i żoną nie istnieje szczęście, dopóki jest między nimi coś, czym się podzielić nie mogą. Oddaj mu to, panienko! Oddaj! Oddaj mu wszystko, a wówczas znajdziesz swe szczęście! Stara Debora wie, stara Debora widziała twego rycerza przed laty, on wie, gdzie twoje szczęście się kryje!

Odwróciła się i zaczęła schodzić na dół, lecz po chwili zatrzymała się znowu, spoglądając poza siebie.

- Czy jest coś, co mogłabym dla pana uczynić? - zapytała. - Czy mam panu pomóc, czy też sam pan potrafi ją zdobyć? Lepiej bez pomocy cyganki, ale bywają takie rzeczy, których samemu zdobyć nie można.

- Ach, powiedz jej, żeby sobie poszła! - wyszeptała nagle Lilian. Sam otoczył ją ramieniem, drugą rękę wyciągnął do cyganki.

- Dziękuję wam, matko! Sam sobie dam radę - rzekł ze spokojem.

Stara Debora uśmiechnęła się swymi bezzębnymi ustami i odchodząc, swym piskliwym głosem przesłała im ostatnie błogosławieństwo.

Sam począł iść z Lilian w stronę auta, otaczając ją ciągle ramieniem.

- Cóż za dziwna staruszka! - rzekł. - I zdaje się, że nie jest wcale chciwa na pieniądze! Znasz ją od dawna?

- Znałam ją jeszcze, będąc dzieckiem - odparła Lilian. - Zawsze tak strasznie wyglądała! Lubiła mnie, bo ja jedna nie odczuwałam przed nią lęku. Oczywiście od wielu już lat jest obłąkana. Mieszkała dawniej w ciemnej pieczarze u podnóża góry, lecz potem przeniosła się

tutaj, i odtąd już miejsca tego nie opuszcza. Jestem pewna, że to ona ze swymi kartami wywołała pożar! Ach, daj spokój!

Wypowiedziawszy te ostatnie słowa z pewną niechęcią, Lilian wyswobodziła się z uścisku Sama.

- Szkoda, że jej czegoś nie dałem - odezwał się Sam po chwili.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za to! - oznajmiła Lilian. - Przez cały dzień nie dawałaby nam już spokoju. Zresztą wątpię, czy należy jej się coś za to, co uczyniła. Obrzydliwa stara wariatka. Dzięki Bogu, żeś nie dał jej pieniędzy.

Przystanęła na schodach swego spalonego dworu. Twarz jej pałała gorączkowo, a oczy świeciły jak gwiazdy.

Sam patrzył na nią. Ten błysk w jej oczach zabijał na chwilę zimną rozpacz i otaczał ją jakąś magnetyczną tajemniczą siłą. Jego własna twarz również zapłonęła.

- Przecież jest obłąkana, jak sama mówisz! - oświadczył. - Sama nie zdaje sobie sprawy ze swej winy. Okrucieństwem byłoby karać taką kobietę. Mam wrażenie, że jest ogromnie do ciebie przywiązana.

Lilian odwróciła się od niego z niechęcią.

- Takie przywiązanie na nic się nie zdaje. Powiedziałam ci, że jest wariatką razem ze swymi czarami i przepowiedniami. Najlepszym dowodem chyba są uwagi, które kierowała w twoją stronę. Czy ktokolwiek mógłby cię wziąć za rycerza?

- Mnie? - zdziwił się Sam. S

pojrzała nań znowu.

- Tak, ciebie! Czy ktoś przy zdrowych zmysłach, mógłby cię nazwać rycerzem?

- Nie mam pojęcia.

Powstrzymała głośny śmiech, który wśród tych ruin dobył się z jej piersi niby okrzyk rozpacz.

- Jeśli chcesz, to ci powiem - rzekła. - Jesteś tak podobny do rycerza jak ta stara nędzarka może przypominać kobietę. Prawda, żeśmy się pobrali, lecz tak samo dobrze wiesz jak ja, że małżeństwo nasze było raczej związkiem zawartym dla wygody, że zawsze uważałam cię tylko za swego przyjaciela. Nigdy między nami nie mogło być mowy o miłości i nigdy o tym, ani ja ni ty myśleć nie będziemy. Będziemy żyli ze sobą jak mąż i żona, może długie lata, ale o miłości lepiej nie myśleć.

Spojrzał na nią spokojnie. Na twarzy jego ukazał się rumieniec, lecz w oczach żaden błysk się nie zaczął.

- Dlaczego jesteś taka zagniewana? - zapytał. - Czy kiedyś prosiłem cię o miłość?

Zacisnęła mocno dłonie, nie mogąc już dłużej ukrywać swej niechęci.

- Nie, nigdy nie prosiłeś! - odparła. - Zadawałaś się tym, co ci dać mogę. Zresztą jesteś bardzo mało wymagający i nie posiada to dla ciebie żadnego znaczenia. Nie zastanawiasz się nawet nigdy nad tym, że ja mogę umrzeć z tęsknoty!

- Lilian! - dobyło się z jego piersi.

- To jest prawda! - zawołała. - Myślisz, że czynisz wszystko dla mego dobra. Sądzisz, że to wszystko, co ta wariatka przed chwilą powiedziała, jest słuszne i normalne, że gdybym miała dziecko, nic by mi już do szczęścia nie brakowało. O Boże! Dziecko! - ukryła nagle twarz w dłoniach i wybuchnęła głośnym szlochaniem. - O Boże, uchron mnie od tego! - wyszeptała.

- Najdroższa moja! - szepnął Sam. Otoczył znowu żonę ramieniem, a ona z uścisku tego nie próbowała się uwolnić. Była zupełnie bezsilna. - Najdroższa! - powtórzył, pochylając się tuż nad nią. - Nie płacz! Nie płacz! Ja rozumiem.

- Nie rozumiesz! - szlochała. - Nie rozumiesz! Nigdy nie rozumiałeś! - I nagle, wiedzioną jakimś impulsem, przytuliła się doń całym ciałem. - Sam! Sam! Zapomnij o tym, co mówiłam! Przebacz mi!

Przyciągnął ją do siebie, opasując drugim ramieniem.

- Uspokój się, kochanie, wszystko będzie dobrze - rzekł. - Nigdy się nie martw o mnie! Ja przecież niczego innego się nie spodziewałem.

- Naprawdę, Sam, jaki ty jesteś szlachetny! - wyszeptała. - Musisz mieć naprawdę dobre serce. Ale nie powinieneś być nigdy się ze mną żenić.

- Przecież sam tego pragnąłem - rzekł Sam.

Otarła twarz mokrą od łez dłonią i usiłowała odzyskać równowagę.

- Strasznie mi przykro - rzekła, podnosząc głowę z wyrazem błagania w oczach. - Strasznie mi przykro, mój biedny chłopcze. Wątpię, czy zechcesz mnie teraz pocałować, i czy w ogóle uczynisz to kiedyś. Jeżeli chcesz, to pocałuj mnie!

Spoglądał na nią, a w oczach jego również ukazały się łzy.

- Lilian, Lilian! - zawołał i pocałował ją w same usta.

Nie zaszło między nimi nic więcej, jeden zwykły pocałunek, na który nawet nie odpowiedziała, lecz na który po raz pierwszy nie zareagowała niechętnie!

## ROZDZIAŁ X

### W domu

Lilian wreszcie zdecydowała się po długich namowach Sama, że za dom swój będzie musiała uważać majątek męża - Chinnery i postanowili natychmiast tam powrócić. Pocięszała ją tylko jedna myśl, że będzie tam miała własnego wierzchowca i nie będzie skazana na ciągle przebywanie w towarzystwie męża, a częstokroć rozkoszować się będzie mogła tak upragnioną samotnością.

Przecież Sam miał w Chinnery rozmaite drobne zajęcia, które go jednak absorbowały.

Zaledwie tydzień został do świąt Bożego Narodzenia, a święta prawdopodobnie przyniosą jakieś urozmaicenie. Peggy pisała, że obydwój z ojcem zamierzają spędzić urlop świąteczny u państwa Gillespie. Wprawdzie Jack nie będzie mógł przyjechać, ale Peggy cieszyła się myślą świąt w towarzystwie Lilian. List jej był pełen sympatii i ubolewania nad spalonym dworem w Rossingdon, lecz znać było, że Peggy uradowana jest perspektywą, że Lilian na stałe zamieszkała w Chinnery.

- Jestem pewna, że obydwój z Samem również się z tego cieszyć! - zaznaczyła i chociaż Lilian uczyniła nieprzyjemny grymas, odczytując te słowa, postanowiła nie sprzeczać się na ten temat z przyjaciółką.

- Dopomożesz mi wszystko tam jakoś urządzić - odpisała w liście do Peggy.

I obecnie w wigilię wyjazdu do Chinnery doszła do wniosku, że właściwie nie przejmowała się zbytnio urządzeniem swego nowego domu. Przy pomocy Peggy załatwi się to jakoś, aby można tam było, chociaż na pewien czas zamieszkać. Na dalszą metę nie należało się martwić.

Skończyła pakowanie rzeczy i postanowiła wyjść. Sam wyszedł jeszcze przed pół godziną, ona zaś zamierzała przyjrzeć się wystawom sklepowym. Rzadko kiedy miała okazję wybrania się na spacer bez towarzystwa Sama, więc tym razem chętnie skorzystała ze sposobności.



- W każdym razie nie będę go widziała do drugiego śniadania - pomyślała, wychodząc.

Sklepy przepelnione były podarunkami świątecznymi, więc Lilian również kupiła kilka drobnostek dla Joyce i dzieci, oraz naszyjnik dla Peggy. Załatwiła już swe sprawunki i postanowiła wrócić do hotelu, gdy nagle przyszło jej na myśl, że zapomniała zupełnie o upominku dla Sama.

Myśl ta przejęta ją dziwnym zmieszaniem. Dotychczas nie otrzymał od niej jeszcze nigdy żadnego подарunku. Czyż nie zrozumie tego fałszywie? Stała w zamyśleniu przed wystawą jubilera. Sam na pewno kupi coś dla niej, ale czy ona musiała koniecznie odwzajemnić mu się także upominkiem? Właściwie przecież Sam nie miał żadnych pragnień, a przynajmniej nigdy ich nie wypowiadał. Nonsensem byłoby darować mu coś, na co nie ma ochoty albo czego nigdy używać nie będzie. Postanowiła iść dalej.

Nagle ten sam wewnętrzny głos odezwał się w niej znowu. Sam był przecież taki dobry, że na pewno uraduje się każdą drobnostką. Zawróciła pośpiesznie.

- Jestem kompletne zwierzę! - pomyślała, wchodząc do sklepu.

Kupiła parę złotych spinek, które właściwie wybrała tylko dlatego, że odznaczały się prostotą. Pośpiesznie załatwiła sprawunek i pobiegła do hotelu, gdzie spotkała Sama u wejścia.

- Hallo! - zawołał. - Czekam już na ciebie od dawna. Spłonęła rumieńcem, słysząc tę delikatną wymówkę.

- Ty zawsze czekasz na mnie - odparła. - Uważam, że lepiej byłoby, gdybyś mnie od czasu do czasu zostawił samą.

Zaśmiał się dobrodusznie.

- Pozwól, że zaniosę ci te paczki, skoro już tu jestem! Widzę, żeś załatwiła sprawunki? Dobrze spędziłaś czas?

Nie odpowiedziała. Przykrość sprawiło jej to, że po raz pierwszy schwytał ją w takiej chwili, kiedy trzymała w ręku podarunek właśnie dla niego. Nieznacznie wsunęła pakuneczek głęboko do kieszeni płaszcza, oddając mu wszystkie inne paczki.

- Ja także załatwiałem sprawunki - odezwał się po chwili wesoło. - Co byś chciała dostać na święta?

W duszy jej zrodził się dziwny bunt. Po co mu kupowała ten prezent?

- Niczego nie pragnę! - odparła niechętnie. - Najlepiej będzie, jak mi nic nie kupisz!



- Ach, daj spokój! - oburzył się.

- Mówię zupełnie poważnie! - oznajmiła. - Nonsensem jest ofiarować sobie wzajemnie prezenty, wówczas gdy się przebywa stale razem. Prezenty są pewnego rodzaju pamiątką.

- Albo też znakiem sympatii - uśmiechnął się Sam.

- Nie lubię znaków sympatii! - zaprotestowała, aczkolwiek znać było, że czyniła to bez wiary. - Takie rzeczy nie przemawiają do mnie.

- Ale gwiazdka jest gwiazdką - próbował ją przekonać. Wiedziała, że dalsze argumenty nie zdadzą się na nic, więc postanowiła temat ten zakończyć. Weszli razem do wnętrza hotelu i więcej już o gwiazdce nie było między nimi mowy.

Podróż do Ledbury zajęła im prawie cały dzień i wreszcie przybyli do Chinnery wynajętym samochodem.

Przybycie to dla Lilian było niejako chwilą przełomową. W późniejszych latach niejednokrotnie opowiadała, że w owej chwili, gdy po raz pierwszy przestąpiła progi swego nowego domu, zdawało jej się, iż jedna faza zamyka się za nią, druga zaś, ta tonąca w mrokach rozmaitych przykrości, otwiera przed nią swą ciemną otchłań. Nigdy do tej pory nie była w Chinnery i nigdy nie widziała wnętrza domu. Właściwie dotychczas dworu Courtenaye również nie uważała za swój dom, ale doszła do wniosku, że mieszkanie w Chinnery było zupełnie jakieś inne. Powiało na nią atmosferą serdecznego powitania, gdy wchodziła w te progi. Prawdopodobnie była to tylko woń palącego się na kominku drzewa sosnowego.

Jim i żona jego, Marta, przygotowani byli na przyjęcie państwa. Obydwoje znali Lilian jako panienkę z Courtenaye tylko z opowiadania. Toteż obydwójce byli dziwnie zmieszani, gdy ją witali. W bawialni palił się wesoły ogień na kominku. Czy państwo zechcą wejść tam i rozgościć się, gdy tymczasem Marta przygotowuje herbatę?

Pili wprawdzie herbatę przed godziną na dworcu, ale filiżanka domowej herbaty na pewno dobrze im zrobi. Lilian przyjęła tę propozycję z zadowoleniem.

Weszli do bawialni, oświetlonej tylko blaskiem płonącego ognia i umeblowanej po staroświecku.

Błysk radości pojawił się w oczach Lilian na widok staroświeckiego kominka.

- Nigdy mi o tym nie wspominałeś - wyszeptała z wyrzutem.

- Lękam się, że ci się to prędko znudzi - rzekł Sam.

Podeszła do ognia i stanęła w jego blasku.

- Uważam, że to jest najmiłszy pokój, jaki w życiu widziałam - wyszeptała.

- Naprawdę? - ucieszył się Sam.

- Żeby tylko ten pokój był o kilkaset mil stąd! - westchnęła.

- O, nie martw się o to! - uspokajał ją. - Nikt nie będzie miał prawa tu wejść bez twego pozwolenia.

- Ach! - westchnęła znowu. - Nie zrozumiałeś mnie. Ale naprawdę jest tu bardzo miło. Pojmuję teraz, dlaczego nie chciałeś się rozstać z tym domem.

- Rozstałbym się na pewno, gdybyś ty tego zażądała.

Ta jego ciągła uległość! Uczyniła nieznaczny ruch zniecierpliwienia, lecz nie przeciągała już dalej tego tematu. Z doświadczenia wiedziała, że wszelkie argumenty nie działają na Sama. Twierdził zazwyczaj, że najlepiej wie, co jest dla niego dobre i tak widocznie będzie już przez całe życie. Prawdopodobnie poświęciłby swoje ukochane Chinnery, gdyby można było zamieszkać w Rossingdon, lecz nie poświęciłby go dla żadnego innego miejsca na świecie. ,

- Nigdy go do tego nie będę nakłaniać - pomyślała, lecz po chwili już zapomniała o tym zupełnie.

Domek ten wywierał na nią jakiś dziwny urok, jaki wywiera dom rodzinny, gdy się wraca doń po długich latach nieobecności. Czuła, mimo woli, że spokojnie będzie spać wśród tych gościnnych ścian.

Wypili razem herbatę, po czym po starych dębowych schodach udali się do górnych pokoiów.

- Możesz tutaj gospodarować, jak ci się podoba - rzekł Sam. - Nie czyniłem tu żadnych ulepszeń, ale ty będziesz najlepiej umiała urządzić te pokoiki, jakoś wygodnie i przytulnie.

Wprowadził ją do pokoju, który sam zawsze zajmował. Pokój ten był obszerny, lecz niski, o dębowej podłodze zasłanej prostym chodnikiem. I tutaj wesoły ogień płonął na kominku, a u okien zwisały czerwone zasłony. Na stoliczkach stało kilka świec, na biurku zaś mała stojąca lampka.

- Najgorsze to, że nie mamy elektryczności - zauważył Sam - lecz Marta jest specjalistką od lamp naftowych.

Lilian rozejrzała się dokoła. Objęło ją przyjemne ciepło i znowu czuła się jak we własnym domu. Przed kominkiem stał głęboki niski fotel.

- Usiądź tu! - zaproponował Sam. - Pozwól, że ci zdejmę pantofle.

Usiadła prawie automatycznie.

- Czy to jest twój dawny pokój? - zapytała.

- Tak - odparł. - Tutaj ostatnio mieszkałem. Okno wychodzi na drogę, prowadzącą do Courtenaye. Często w nocy lubiłem myśleć, że ty jesteś tam w swoim pokoju i że między nami jest tylko pusta przestrzeń.

Ukląkł przy niej i począł jej odpinać pantofle.

- Co za dziwny pomysł! - zawołała nagle po chwili.

- Jak to?

- No tak - mówiła z oczami utkwionymi w ogień. - Nie zdajesz sobie sprawy, że jestem teraz bliżej ciebie niż byłam dawniej?

- Owszem - odparł Sam z prostotą. - Im dłużej jestem przy tobie, tym lepiej się orientuję.

- Nie powiedziałam ci tego, aby cię dotknąć. Wiem, że jesteś dobry dla mnie. Ale, Sam, czy nigdy nie przyszło ci na myśl, iż pewnego dnia zaczniesz się nużyć ta moja obecność?

- Nie.

- Dlaczego nie? - Nuta zdenerwowania zabrzmiała w jej głosie.

- Przecież jesteś tylko człowiekiem. Sam miałeś przykłady tego. Czyjeś grymasy rzadko kiedy sprawiają ludziom przyjemność. Może jeszcze dotychczas nie orientujesz się w tym.

- O tak, wiem doskonale - odparł.

Zajęty był zdejmowaniem pantofli. Jasne jego włosy w blasku ognia były prawie białe. Zdjął delikatnie pantofel z jej nogi i zabrał się do zdejmowania drugiego.

- I nigdy nie będę ci mogła dać z siebie więcej - rzekła Lilian.

- Jeżeli liczysz na coś...

- Nie liczę.

Uczyniła ruch pełen znużenia.

- Więc cóż chcesz?

Zdjął najprzód drugi pantofel, po czym spokojnie podniósł głowę.

- Nic nie chcę, kochanie - odparł. - Mam wszystko, czego pragnąłem. Dałaś mi więcej niż sądzisz i jestem zupełnie zadowolony.

- Nic ci nie dałam - zawołała - nic, co by się liczyć mogło.

- Dałaś mi wszystko, co mogłaś dać.

- Och, cóż z tego? Grymasy! Grymasy!

- Nie - rzekł Sam. Klęczał jeszcze z rękami wspartymi na poręczach fotela. - Dałaś mi siebie!

- Nie! - zaprotestowała pośpiesznie. - Nie! To, co ci dałam, nie jest mną. Jestem więźniem, który zasadniczo, należy do wszystkich.

- Więźniem, możliwe! - wyszeptał Sam i nagle dostrzegła na twarzy jego blady uśmiech. - Lecz na tym świecie należysz tylko do mnie.

- Mylisz się! - zawołała.

- Nie, kochanie - odparł stanowczo. - Nie myślę się. Nadejdzie dzień, kiedy przyznasz mi słusność. Ale jeszcze nie teraz, nie teraz.

Wypowiedziawszy te słowa, podniósł się z klęczek. Ona pochyliła się do ognia.

- Nie wiem, co masz na myśli - szepnęła po chwili. - Mam wrażenie, że okłamujesz sam siebie, a jeżeli to czynisz, to nie ma w tym mojej winy.

- Nie kochanie, to nie twoja wina - przyznał łagodnie. - Ty masz swoje marzenia, a ja mam moje. Może, kto wie, marzenia nasze staną się kiedyś rzeczywistością.

- Jakim sposobem? - zawołała Lilian.

Ale on nie odpowiedział. Wkrótce zapomniała o swym pytaniu i o obecności Sama, wpatrzona w płonące na kominku głownie.

Koniec Części Drugiej.

# CZEŚĆ TRZECIA



## ROZDZIAŁ I

### Rada

Zima była niezwykle surowa i w tygodniu świątecznym nie mogło być mowy o udaniu się na polowanie. Największym to było zmartwieniem dla Lilian, która myślą o polowaniu cieszyła się od kilku tygodni. Wierzchówka jej, San Toy, znajdowała się teraz w Chinnery, lecz stała spokojnie w stajni, gdyż ze względu na mrozy i ślizgawice nie można było nawet marzyć o wybraniu się chociażby na najkrótszą przejażdżkę.

Dwór Tristramów stał pustkami, mieszkańcy bowiem wyjechali do St. Moritz, a z sąsiedztwa również nikt nie zaglądał, gdyż mróz zdawał się wszystkich paraliżować. W Courtenaye Joyce radowała się obecnością dzieci i chociaż chętnie odwiedziłyby nieraz Lilian, to jednak urosła między nimi jakaś przeszkoda, niewidzialna wprawdzie, ale trzymająca je od siebie z daleka. Joyce nie miała czasu na częste wyjazdy do Chinnery, Lilian zaś nie zdradzała ochoty zbyt częstych odwiedzin Courtenaye. Ku wielkiemu zmartwieniu Joyce, między siostrami nie było teraz ani odrobiny zażyłości. Lilian nie zwracała się do niej z niczym na temat swego nowego życia, otaczając się dziwną tajemnicą. Aczkolwiek obydwójce z Samem w tydzień po przybyciu do Chinnery byli na obiedzie w Courtenaye, to jednak Joyce podczas wizyty tej nie dowiedziała się absolutnie nic o obecnym trybie życia siostry. Na szczęście nie miała zbyt wiele czasu na rozmyślanie, zajęta codziennymi swymi obowiązkami.

Hildebrand ponuro wypowiadał swe zadowolenie. Przekonał się, że Lilian mimo wszystko, dostała się w dobre ręce. Sam Gregory nie był taki głupi, na jakiego wyglądał.

Ten wspólny obiad w gronie rodziny był niejako zakończeniem przyjaźni obydwu siostr. Joyce wprawdzie potem przyjechała na herbatę wraz z dziećmi do Chinnery i wyrażała głośno swój zachwyt, oglądając stary dom, lecz w głębi duszy szczęśliwa była, że sama nie jest zmuszona tu mieszkać.

Namawiała Lilian, aby obydwój z Samem przyjechali na święta Bożego Narodzenia do Courtenaye, jednakże młodsza siostra odmówiła jej tak stanowczo, że więcej już o tym Joyce nie wspominała. Usiłowała sobie wytłumaczyć, że najzupełniej naturalnym objawem jest to, iż młoda para pragnie spędzić święta we dwoje, jednak w zachowaniu Lilian było coś takiego, co stanowczo przeczyło temu mniemaniu. Po prostu Lilian była w jednym ze swych nastrojów, kiedy nie lubiła, gdy jej ktoś przeszkadzał.

Rozkoszowała się tym, że Sam, zajęty swym drobiem i gospodarstwem, pozostawiał ją bardzo często samą, nie troszcząc się nawet o to, jak mijał jej czas. W chwilach, gdy się spotykali okazywał jej, jak zwykle, dużo dobroci i wyrozumiałości. Dbał o jej zdrowie, nie wtrącając się do jej świata duchowego. Lilian zresztą uspokoiła się nieco w Chinnery, sypiała lepiej i zdawała się powoli przyzwyczajać do monotonnego trybu życia.

W wigilię Bożego Narodzenia przyjechała Peggy, jak zwykle serdeczna, wesoła i uśmiechnięta, a w towarzystwie jej Lilian ożywiła się nieco. Opowiedziała Peggy całą historię o dworze Rossingdon, nie tając również przepowiedni starej Debory. Łatwo było zdobyć się na szczerą względem Peggy, która nigdy nie wkraczała do duszy zbyt głęboko i zawsze miała dla przyjaciółki tylko słowa pociechy i sympatii.

- I biedny Czarny Rycerz dał znać o sobie znowu - mówiła Lilian. - Prawdopodobnie po tym wszystkim rozpadł się na proch! Czekał tylko, aby mnie zobaczyć.

- Chciałabym być tam - westchnęła Peggy.

- Tak, ja też żałuję, że się spóźniłam - przyznała Lilian. - Opowiadanie to dobiło mnie do reszty. Powiedziałam Samowi, że nie chcę już nigdy tam wracać. Folwark zostanie sprzedany zaraz po Nowym Roku i mam nadzieję, że uzyskam za niego chociaż niewielką sumkę. W obecnej chwili strasznie mi są potrzebne pieniądze.

- Tobie? - zdziwiła się Peggy. - Po co?

Lilian zaśmiała się.

- Ach, ty głuptasie! Pieniądze zawsze są potrzebne. Od Bóg wie jak dawna nie miałam swojego grosza, mimo to jednak przygotowałam ci prezent gwiazdkowy. Dostaniesz go przed wyjściem.

- Jesteś naprawdę nieoceniona! - zawołała Peggy z rumieńcem na twarzy. - I ja przywiozłam ci jakąś drobnostkę.

- Nie powinnaś była wydawać pieniędzy na takie rzeczy - zganiła ją Lilian surowo. - Powinnaś teraz odkładać na wyprawę.

- O tak - zawołała Peggy, rumieniąc się jeszcze bardziej. - Dużo rzeczy sama sobie uszyłam. Przywiozłam tu niektóre suknie, aby ci pokazać.

- Co takiego! Już szykujesz wyprawę? Kiedy zamierzasz wziąć ślub?

- Prawdopodobnie wkrótce, kochanie - rzekła Peggy, a twarz jej płonęła teraz karminem rumieńca. - Widzisz, okręt Jacka prawdopodobnie wysłany zostanie na Wschód. Postanowił, a właściwie postanowiliśmy oboje, że lepiej będzie pobrać się przed jego wyjazdem. Ojciec jest taki kochany, że od razu nas zrozumiał. Podczas nieobecności Jacka będę nadal mieszkała u ojca.

- Idealne załatwienie kwestii! - pochwaliła Lilian. - Szkoda, że ja nie jestem żoną Jacka. Mogłabym chociaż korzystać z wolności! Sądzę, że raz do roku będziecie uroczyście obchodzili miodowy miesiąc.

- O, mam nadzieję, że częściej. Gdy weźmiemy ślub w lutym, spędzimy ze dwa tygodnie w Anglii, zanim Jack wyjedzie. Wynajmę sobie pokój w Portsmouth, aby być blisko niego.

- Jakie to romantyczne! - uśmiechnęła się Lilian.

- Tak, to będzie wspaniałe - rzekła Peggy. - Możliwe, że potem pojedę za nim na Wschód. Tymczasem jednak zostanę z ojcem, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

- Gdybym była na twoim miejscu, zostałabym na stałe z ojcem - wtrąciła Lilian.

Peggy zaśmiała się.

- Zawsze tak mówisz, chociaż myślisz zupełnie inaczej. Gdybyś ty i Sam...

- Moja droga, nie mów mi o Samie! - zaprotestowała Lilian. - Ten temat jest już stanowczo nudny. Nie mam właściwie nic przeciwko niemu, jest bezwarunkowo wzorem wszelakich poświęceń, ale to nie zawsze bawi. Jak mały chłopak w sklepie ze słodyczami, tak ja mam dosyć jego dobroci.

- Jaka szkoda, że cię od czasu do czasu nie bije - uśmiechnęła się Peggy.

- Ach, owszem! - zapewniła ją Lilian. - Potrafi być stanowczy. Często nawet zdziwiona jestem jego energią.

- Ogromnie mnie cieszy ta wiadomość - rzekła Peggy. - Lękam się, że Sam cię zupełnie zepsuje.



- Rzadko jednak może sobie poradzić ze mną, chociaż twierdzi, że wie najlepiej, co jest dla mnie dobre.

- Bardzo lubię Sama - szepnęła Peggy.

Lilian rozpostarła ramiona nad głową.

- Ja także, moja droga, zawsze go lubiłam. Ale czy nie mogłybyśmy pomówić o czymś bardziej interesującym? Chociażby o twojej wyprawie!

Peggy przystała na zmianę tematu. Było przecież tyle rzeczy do omówienia, związanych z jej nowymi sukniami, co do których chciała zasięgnąć rady Lilian. Toteż wkrótce ożywiły się obydwie, zastanawiając się nad rozmaitymi fatalaszkami.

Peggy została u Lilian do obiadu, po czym Sam miał ją odwiedzić swym samochodem do domu doktorstwa.

- Jak znajdujesz Lilian? - padło pierwsze pytanie z ust Sama, gdy wyjechali na gościnniec.

- Uważam, że się poprawiła - odparła Peggy.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Stanowczo lepiej wygląda niż w dniu waszego ślubu.

- Dzięki Bogu za to! - westchnął z ulgą Sam.

Zamilkł na chwilę, a Peggy również nie przerywała ciszy.

- Peggy! - zagadnął wreszcie przyciszonym głosem.

- Co takiego? - zapytała.

- Czy sądzisz - zaczął Sam po chwili wahania - że ona jest szczęśliwa?

- Niezupełnie - odparła Peggy ze szczerością.

- Nie - przyznał Sam. - Masz słuszość. A czy kiedykolwiek była szczęśliwa?

- Tak, przypuszczam... gdy byliśmy dziećmi...

- Nie to miałem na myśli. Nie gniewasz się, że pytam, Peggy? Bardziej pragnę jej szczęścia niż czegokolwiek w życiu. Pytam, czy kiedykolwiek była szczęśliwa, gdy już się stała dorosłą.

- Ach! - westchnęła Peggy. Twarzyczka jej w srebrzystych promieniach księżyca zasepiła się nieco. - Nie, Sam. Od tamtego czasu, wątpię.

- Od kiedy?

Peggy milczała.

- Nie jestem pewna, czy powinnam z tobą o tym mówić - wyszeptała wreszcie.

Sam zatrzymał nagle auto po prawej stronie gościńca.

- Peggy! - rzekł znowu.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Peggy. - Popsuło się coś w aucie?

- Nie, działa doskonale. Chciałem tylko na chwilę przystanąć. Słuchaj, moja droga!

Możesz mi nie odpowiedzieć wcale, jeżeli nie chcesz. Lecz zastanów się naprzód nad odpowiedzią.

Głos jego drżał nieco. Serduszko Peggy zabiło mocniej.

- Co byś chciał wiedzieć? - zapytała.

- Chciałbym wiedzieć - odparł Sam - pod wpływem czego Lilian utraciła swe szczęście.

Wiem na ten temat niewiele, ale chciałbym wiedzieć więcej. Stało się to, gdy Lilian była za granicą, prawda?

- Tak - odrzekła Peggy, po chwili zastanowienia. - Właściwie nie opowiadała mi dokładnie, co się tam stało, więc nie czynię nic złego, jeżeli z tobą mówię o tym.

- Oczywiście, że nie! - przyznał Sam. - Wiesz tak samo niewiele, jak i ja. Może te nasze domysły połączone razem, wyjaśnią wreszcie sytuację.

- Jeżeli uważasz, że tak będzie dobrze - wyszeptała Peggy powątpiewająco.

- Słuchaj! - rzekł Sam z niezwykłą u niego stanowczością. Wiem, że spotkała tam mężczyznę, którym dotychczas jeszcze jest zajęta. Wiem, że nie może o nim zapomnieć. Peggy, powiedz mi całkiem szczerze, czy wierzysz w to, że ten człowiek mógłby jej dać szczęście?

- O tak - odparła Peggy.

- Czy wiesz, jaki to był rodzaj człowieka?

Zawahała się

- Powiedz mi! - domagał się.

Zaczęła mówić wolno, zastanawiając się nad każdym słowem:

- Nie wiem dlaczego, ale zawsze łączyłam go jakoś dziwnie w wyobraźni z Lancelotem.

- Któż to jest ten Lancelot? - zapytał Sam.

Zarumieniła się nagle.

- To jest tylko mój głupi przydomek, który mu nadałam. Mam na myśli majora Bullivanta.

- Boże święty! Cóż za dziwny pomysł! Czyś mówiła kiedyś o tym Lilian?

- Nie - szepnęła Peggy dziwnie zmieszana. - Tobie tylko teraz wypowiadam swe myśli.

- O, dziękuję ci - rzekł Sam, dostrzegając nagle jej zmieszanie. - Tego tylko pragnąłem, Peggy. Jeszcze jedno mi powiedz. Chodzi mi o tego wymarzonego rycerza. Uczyniłbym wszystko, aby go zdemaskować, gdybym wiedział, że nie wyrządę jej tym samym przykrości.

- Ale w jaki sposób? - zastanowiła się Peggy z powagą. - To musiał być jakiś nadzwyczajny człowiek, niezwykle odważny. Lilian widziała, jak wyciągnął dziecko spod pociągu.

- Ach, więc tak było? - zamyślił się Sam. - Jednym słowem przywidzenie!

- Nie, mylisz się - odparła Peggy stanowczo. - Był to czyn niezwykle śmiały i pozbawiony wszelkiego egoizmu. Prawdopodobnie tym czynem zdobył on podświadomie miłość Lilian. Opowiadała mi, że człowiek ten uratował zupełnie biedne dziecko, na którym mu absolutnie nie mogło zależeć. Uczynił to po prostu, wiedziony jakimś wewnętrznym impulsem.

- Dziwne! - wyszeptał Sam.

- Nie masz powodu wątpić w to - zauważyła z pewną niechęcią. - Musisz przyznać, że czyn tego człowieka był niezwykle szlachetny.

- Ach, oczywiście, oczywiście! - przyznał Sam, nie patrząc na nią. - Lecz czyn ten nie wskazuje jeszcze, że człowiek ów jest wzorem wszelkich cnót.

- W każdym razie musi posiadać szlachetną duszę - upierała się Peggy.

- Bez wątpienia! Bez wątpienia! Chciałbym jeszcze jedno wiedzieć. Na przykład, gdyby Lilian spotkała znowu tego człowieka i zorientowała się, że on jest tylko takim samym mężczyzną jak inni czy nie doznałaby rozczarowania?

- Dlaczego o to pytasz?

- Bo zaczynam przypuszczać, że to byłby jedyny sposób - odparł Sam.

- Widzisz - spojrzała nań z niemą naganą - to byłoby po prostu nieludzkie, gdyby ci się to nawet udało.

- Przecież uczyniłbym to tylko dla jej dobra!

- Uważam, że to by było stanowczo okrutne - oburzyła się Peggy. - Wątpię jednak, czyby ci się to udało.

- Więc radzisz, abym zostawił wszystko czasowi? - zapytał.

- Oczywiście, że tak - odparła z przeświadczeniem.

- I sądzisz, że ona się z tego kiedyś wyleczy? Sądzisz, że jeżeli będę cierpliwy, to ona kiedyś o nim zapomni?

Peggy złość znowu stopniała. Nieme błaganie brzmiało w bezradności Sama.

- Uważam, że to jest jedyne wyjście z sytuacji - rzekła. - Wspomnienie zasnuje się wkrótce mgłą, jeżeli nic takiego nie zajdzie, co by to wspomnienie na nowo powołało do życia.

- Może to i dobra rada. Myślę, że z niej skorzystam. Będę jednak musiał zużyć jeszcze dużo wysiłku, ażeby się zdobyć na cierpliwość.

- I tak już dużo trudu sobie zadałeś - zauważyła Peggy. - Oczywiście pomogę ci, jeżeli tylko na coś się przydam. Zawsze pragnęłam, żeby Lilian została twoją żoną, chociaż nie przypuszczałam, że ona się na to zgodzi.

- Dlaczego tego pragnęłaś? - zapytał.

- Bo ci zawsze ufałam, ceniłam twoje zalety.

- Jak wspaniałomyślnie z twojej strony! Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie, wcale tak nie jest. Zawsze cię bardzo lubiłam, zresztą Lilian też cię lubi. Ale, Sam... - urwała nagle.

- Co takiego?

Zawahała się.

- Jeżeli ci teraz coś powiem, to postarasz się dobrze to zrozumieć.

- Oczywiście!

- Wobec tego - cedziła Peggy wolno słowa - chciałabym, abyś nie był dla Lilian zbyt łagodny.

- Co to znaczy?

Zwróciła się doń ruchem pełnym zaufania.

- Mówię to bardziej dla jej dobra niż dla twego. Sam, nie wolno ci pozwolić na to, aby tobą pogardzała. Jeżeli tak będzie, to jest tylko własna twoja wina.

- A czy mną mogłaby pogardzać?

- Mam wrażenie, że tak - odparła Peggy. - Jeżeli dopuścisz do tego, na pewno cię nigdy nie pokocha. - Krwawy rumieniec wypłynął znowu na jej policzki, otrząsnęła się z chwilowego zmieszania i rzekła już całkiem spokojnie: - To jest mniej więcej wszystko. Zechcesz mnie teraz odwieźć do domu?

- Niech cię Bóg błogosławi, Peggy! - wyszeptał Sam i puścił w ruch motor swego samochodu.

## ROZDZIAŁ II

### Wiadomość

Ślub Peggy oznaczony został na połowę lutego. Na wyraźne życzenie siostry, do dnia ślubu Peggy miała pozostawać w domu państwa Gillespie, Jack zaś przebywać miał kilka dni w Chinnery. Mróz zelżał nieco i rozpoczął się sezon polowań. Lilian prawie codziennie wyruszała na przejażdżkę na San Toy, ale przeważnie w towarzystwie Sama. Nie lubił puszczać jej bez opieki, chociaż usiłował nigdy nie narzucać jej swojej osoby. Lilian ostatnio okazywała mu posłuszeństwo, żyjąc wewnętrznym swym życiem, w którym on nie brał żadnego udziału. Pozwalała mu nawet na pieszczoty, które teraz ze strony Sama były mniej niewolnicze, a bardziej władcze.

Poza polowaniem i układaniem planów przed ślubem Peggy, właściwie nic nie było innego do roboty. Wszyscy z sąsiedztwa wyjechali, a dwór Tristramów był jeszcze także zamknięty. Hildebrand zabrał Joyce na parę dni do Londynu, po wakacjach dzieci i dopiero poprzedniego dnia stamtąd wrócili. Spodziewano się przyjazdu Peggy i jej ojca. Tegoż samego dnia Lilian udała się do Courtenaye, aby powitać siostrę po powrocie z Londynu, zamierzała jednocześnie w powrotnej drodze wstąpić do domu doktorostwa. Przyjazdu Jacka spodziewano się w dniu następnym.

Zastała Joyce w niezwykle dobrym humorze i spędziły całe popołudnie sam na sam, po raz pierwszy od ślubu Lilian. Joyce miała jej tyle do opowiadania, że prawie nie dopuszczała młodszej siostry do słowa. Wreszcie zorientowała się, że należałoby i Lilian zapytać, co się u niej dzieje.

- Czujesz się dobrze, kochanie, prawda? - zagadnęła. - I Sam także? O, dzięki Bogu. Właściwie jesteście już dość starym małżeństwem. A jak w Chinnery? Pomyślałaś już o firan-  
kach?

- Nie, absolutnie - odparła Lilian.

Siostra jej zaśmiała się.

- Wiedziałam, że tak będzie. Ale ja nie zapomniałam o tym i znalazłam naprawdę prześliczny materiał na jakiejś wyprzedaży, który ci się na pewno spodoba. Muszę zdjąć miarę i kazać Hammond uszyć te firanki.

- Bardzo ładnie z twojej strony - pochwaliła Lilian.

- Ależ to żaden ambaras, kochanie. Chciałam ci koniecznie czymś się przysłużyć. Szeroka firanka zupełnie inaczej wygląda. Będiesz mogła pozawieszać takie we wszystkich pokojach.

- Chyba, że ty to zrobisz - uśmiechnęła się Lilian. - Muszę przyznać, że poza kilku poduszkami i chodnikami, nie poczyniłam żadnych zmian w Chinnery. A jak tam stary podgac? Wybuchowy, jak zwykle?

Zwróciła znowu rozmowę na temat osobistych trosk siostry, z czego Joyce nie była bardzo zadowolona. Właściwie przecież Lilian powinna była więcej jej ufać. Pocieszała się tylko nadzieją, że młodsza jej siostra nie zwierza się z niczego nawet przed Samem.

- Ach miałam strasznie zabawną historię - zawołała nagle Joyce. - Zaproszeni byliśmy na brydża do Goodwins'ów. Ja tam nie specjalnie lubię brydża po południu, ale Hildebrand nie miał nic lepszego do roboty. Poznaliśmy tam sporo ciekawych ludzi. Między innymi była również pani Silver, która pytała o ciebie. Nigdy jej dotychczas nie widziałam, lecz z nazwiska domyśliłam się, że to ona. Przecież to ta sama pani Silver, z którą odbyłaś podróż dookoła świata, prawda?

- I cóż ona chciała?

- Nic, kochanie - odparła Joyce ze zdziwieniem. - Pytała tylko o ciebie. Ach tak, powiedziała jeszcze coś, co uważałam za niezbyt taktowne wystąpienie.

- Niemożliwe!

- Na pewno nie byłabyś nią taka zachwycona, gdybyś ją zobaczyła teraz. Jest to bardzo dziwna kobieta i wcale nie robi wrażenia Angielki. Tak, pytała o ciebie, a potem rzekła: „Niech jej pani powie ode mnie, że rycerz, którego zna, ma nadzieję ujrzenia jej znowu w tym samym czasie i na tym samym miejscu!” Uważam, że to była bardzo niemądra wiadomość - ciągnęła dalej Joyce - i nie zapytałam nawet, co pani Silver miała na myśli. Powiedziałam jej tylko, że szczęśliwie wyszłaś za mąż i dlatego przypuszczam, że taka wiadomość już teraz cię nie zaciekawia.

- Jakże dyskretnie! - zawołała Lilian. Odwróciła się pośpiesznie do kominka, podnosząc rozpalony węgielek, który upadł na blachę. Potem nagle spojrzała na siostrę z dziwnym blaskiem w oczach. - Czy to było wszystko, co powiedziała?

- Tak, kochanie - odparła Joyce. - Nie sądzisz chyba, abym wysłuchiwała jakichś plotek w tym rodzaju. Dodałam tylko, że rycerz musiał być jednym z twoich starych flirtów, który jednak już dawno minął. Przypuszczam, że nie byłabyś zadowolona, gdybym jej odpowiedziała jakąś impertynencją. W każdym razie uważam, że pani Silver nie jest osobą sympatyczną!

Takie określenie z ust Joyce było podyktowane najwyższą niechęcią. Lilian wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Miałaś zupełną słuszość, żeś zachowała się grzecznie - pochwaliła. - Zawsze lepiej postępować taktownie. Bardzo ci dziękuję za informację!

Joyce spoglądała na siostrę wzrokiem pełnym zaciekawienia.

- Czy wiadomość ta była istotnie impertynencją, kochanie?

Lilian poprawiła się na krześle. Chociaż śmiała się jeszcze, na twarzy jej odzwierciedlił się wyraz dziwnego znużenia, który nie uszedł uwagi siostry.

- O, to zależy, jak się na to patrzy - odparła tajemniczo. - Emilia Silver, Nemezis, jak żeśmy ją nazywali, zawsze była osobą znaną ze swej impertynencji. Przeważnie zajmuje się plotkami.

- Więc ty także jej nie lubisz - skonstatowała Joyce z ulgą.

- Darzę ją takim samym uczuciem, jak wszystkie kobiety wampy - odparła Lilian chłodno. - Przyznasz, że trzeba być wybitnie wyrafinowaną, aby w ten sposób psuć ludziom krew, powtarzając im tego rodzaju wiadomości.

- Lilian, co za straszny pomysł! - zaniepokoiła się Joyce. - Czyżbyś sądziła, że ta osoba chciała cię tylko zdenerwować?

- Tyś sama podejrzewała ją o to od początku - rzekła Lilian obojętnie. - Naprawdę, Judy, dla kobiety światowej i zamężnej, możesz być uosobieniem niewinności. Nemezis prawdopodobnie miała w tym jakiś cel, ale celu tego nie osiągnęła. Należy ona do tych kobiet, które najbardziej zadowolone są wtedy, gdy mogą komuś zrobić przykrość.

Głos jej załamał się. Przez cały czas mówiła, patrząc w ogień. Oczy jej miały wyraz dziwnie szklany i błędny. Ręce spoczywały na kolanach w skurczu bezradności.



Joyce nagle zauważyła to wszystko i ogarnął ją jeszcze większy niepokój.

- Lilian! Kochanie, jak ty strasznie wyglądasz! Co się stało? Jest ci niedobrze? Mam ci przynieść wody?

Porwała się z krzesła, chcąc zbliżyć się do dzwonka, lecz w tej samej chwili Lilian bezsilnie osunęła się na podłogę. Joyce uklękła przy niej i przytuliła ją do piersi.

- Lilian! Moja najdroższa! Co się stało? - pytała czule.

Lilian nie mogła już utrzymać równowagi. Z piersi jej wydobył się głuchy szloch, lecz oczy były suche.

- Moja droga, mała dziewczynko! - powtarzała Joyce, nie wiedząc, w jaki sposób ma uspokoić siostrę.

Ręce Lilian były zimne i sztywne. Siły opuściły ją zupełnie. Od czasu do czasu tylko wstrząsnął nią spazm jakiegoś głuchego płaczu. Nawet Joyce orientowała się, że należy ją teraz zostawić w spokoju.

Klęczała wciąż przy siostrze, trzymając ją mocno w objęciach, a w pewnej chwili po bladej twarzyczce Lilian poczęły spływać łzy.

- Moja najdroższa Lilian! - szeptała Joyce, pochylona nad siostrą. - Co ci się stało, kochanie? Zaufaj mi i powiedz!

Lecz Lilian zdawała się nie słyszeć.

Głuchy szloch ustawał, a na jego miejscu zjawily się łzy, które sprawily jej widoczną ulgę.

- Moja kochana, już się czujesz lepiej? - szeptała Joyce z macierzyńską czułością. - Nie ruszaj się! Ja cię trzymam. Jestem pewna, że za chwilę ci to przejdzie. Co się stało? Nie możesz mi powiedzieć? Mam zgadnąć? - a potem szeptem, tuż do ucha Lilian: - Czy Sam się czegoś domyśla?

Lilian przyłgnęła głową do jej piersi.

- Właściwie sama nie wiem, Judy. W każdym razie jest to moja tajemnica i nikt o niej nie ma pojęcia. Jestem pewna, że i ty ją zachowasz. Już teraz czuję się lepiej.

- Będziesz się czuła zupełnie dobrze, kochanie - przekonywała ją Joyce z powagą. - Po pewnym czasie będziesz nawet wesola. To tylko początek, który jest najtrudniejszy. Pozwól, Lilian, że ci otrę oczy. Nie powinnaś płakać, dziecino.

Lecz Lilian nie mogła powstrzymać łez. Płakała bezradnie, cichutko, aż wreszcie nie mogła już więcej płakać. W pewnej chwili siostra położyła ją na kanapie, aby wypoczęła nieco.

- Nie martw się o nic - prosiła. - Odeślę cię autem do domu. Do tej chwili zupełnie się uspokoisz. Przymknij oczy i spróbuj zasnąć!

Lilian nie spała, lecz odczuła jakąś dziwnie niewytłumaczoną ulgę. Joyce krzątała się koło niej, przyniosła gorącą herbatę i uspokajała, jak mogła. Kochana, staroświecka Joyce, ze swą prostotą i słodyczą, tego właśnie Lilian w danej chwili łaknęła!

Gdy nadeszła pora pożegnania, wstała z kanapy, zbierając resztki sił. Uśmiechnęła się nawet przy pożegnaniu do Joyce.

- Pamiętaj, Judy - rzekła - że to wszystko, co dzisiaj było, musi pozostać między nami!

- Oczywiście, kochanie! - odparła Joyce.

- Nie szepniesz ani słowa nawet podżegaczowi? Joyce spojrzała na nią z wymówką.

- Na pewno nie, kochanie. Ale ty przyrzekniesz mi, że będziesz już rozsądniejsza, prawda? To znaczy, że nie będziesz miała więcej tajemnic przed Samem?

- Nie mogę się starać o coś, co jest niemożliwe - odparła Lilian. - Byłaś dla mnie bardzo dobra, Judy. Ale pamiętaj o sekrecie. Sądzę, że nie zawiedziesz mego zaufania.

Pocałowała ją lekko przy tych słowach i zdało jej się nagle, że owym pocałunkiem przypieczętowała milczenie siostry.

Z ciężkim sercem Joyce zegnała Lilian. Stanowczo stan siostry bardzo ją niepokoił. Nigdy jeszcze dotychczas nie widziała jej w takiej rozterce duchowej, a chwilowy lepszy humor również nie zwiastował nic dobrego.

Jadąc eleganckim autem Hildebranda, Lilian obawiała się najbardziej tego, że ktoś może zauważyć ślady płaczu na jej twarzy. Postanowiła wstąpić do doktorostwa Gillespie, aby z Samem spotkać się nieco później, wiedziała bowiem, że on jeden może w niej dostrzec jakąś zmianę.

Przykrą niespodziankę sprawił jej widok dobrze znanego samochodu, stojącego przed domem doktora, a po chwili ujrzała Sama, wychodzącego na jej spotkanie.

Fala gniewu owładnęła nią zupełnie. Charakterystyczne było z jego strony, że zjawiał się zawsze wtedy, kiedy najbardziej go unikała!

Otworzył drzwiczki samochodu.

- Ach, to ty jesteś! Bardzo się cieszę, żeś przyjechała autem. Lękałem się, że będziesz zmęczona, więc przyjechałem, aby cię zabrać do domu.

- Nie powinieneś się tak troszczyć - mruknęła niechętnie.

- To jest przecież moim obowiązkiem - odparł Sam dobrotliwie. - Peggy z ojcem przyjechali przed pół godziną, a pani Gillespie czeka na nas z herbatą. Wejdź do mieszkania!

Pomógł jej wysiąść z auta i chociaż mrok już zapadał, to jednak była pewna, że ślady płaczu na jej twarzy nie ujdą jego uwagi. Z niechęcią wysunęła rękę z jego uścisku.

- Ach, daj już spokój tej ciągłej opiece! - zawołała. - Jestem wystarczająco dorosła, aby sobie radzić.

- Przepraszam cię, kochanie - wyszeptał Sam.

Wesołe głosy i śmiechy dochodziły do obszernego hallu od strony salonu. Lilian weszła tam pośpiesznie.

Peggy wybiegła na jej powitanie i ucałowała ją serdecznie. Podszedł również ojciec Peggy, wysoki, starszy pan, którego wszyscy lubili.

Owionęła Lilian atmosfera ciepła, serdeczności i wesela i już po chwili zdawać się mogło, że jest znowu tą wesołą i beztroską Lilian, odpowiadającą rezolutnie na każde zadawane jej pytanie. A czy on dostrzegł, czy wysnuł z tego jakie wnioski? Na samą myśl uczuła zimny dreszcz, lecz usiłowała nadal być wesoła. Za nic na świecie nie odda się uczuciu bojaźni, za nic na świecie nie pozwoli, aby Sam był jej panem i władcą!

# ROZDZIAŁ III

## Druga wiadomość

Nie było to winą Sama, że nie pozostali tego wieczora zbyt długo, lecz Peggy obiecała im, spędzić następny dzień w Chinnery. Wszedł na chwilę z mieszkania doktorostwa Gillespie, aby sprawdzić coś w motorze swego auta i chociaż Olivia namawiała go, aby pozostawił Lilian i sam wrócił potem do nich na obiad, odmówił stanowczo, nie argumentując tej odmowy żadną specjalną przyczyną.

Lilian nie odzywała się. Rozmawiała wesoło przy kominku z panem Clarke, nie wiedząc nic o zaproszeniu. Peggy jednak pojęła całą sprawę i stanęła w obronie Sama.

- Sam chce zabrać Lilian do domu - rzekła z powagą. - Nie namawiaj ich, Olivio! On wie lepiej. Widzisz przecież, że Lilian jest zmęczona.

Swą wdzięczność wyraził jej gorącym uściskiem dłoni. On i Peggy byli teraz serdecznymi przyjaciółmi.

- Przyjdź jutro jak najwcześniej! - prosił. Peggy przyrzekła.

Podbiegła potem do Lilian, komunikując jej o jutrzejszej swojej wizycie.

- Myślę, że nie masz nic przeciwko temu! - dodała naiwnie. - To był pomysł Sama. Chciałabym pomówić z tobą przed przybyciem Jacka.

- Sądzę, że Sam chce ci pokazać swoje małe kurczęta w Chinnery. Myślimy, mówimy i śnimy tylko o tym!

- To nie z tego powodu - oznajmiła Peggy z zapalem. - Po prostu pragnę z tobą pogadać.

Lilian ucałowała jej zarumienione policzki, ciągle się śmiejąc.

- Wiedziałam, że cię to rozgniewa. Muszę nauczyć Jacka, w jaki sposób wyprowadzić cię z równowagi. Sądzę, że on jeszcze na tym się nie zna.

- Głuptas jesteś! - zawołała Peggy, lecz roześmiała się również, a w oczach jej pojawiły się wesołe ogniki.

Ciemno już było, gdy jechali do domu, a Lilian siedziała w milczeniu, drżąc z zimna, chociaż Sam otulił ją ciepłym pledem. Gdy dotarli do Chinnery, nie mówili także ze sobą. On orientował się doskonale w sytuacji i domyślił się tego, co ona pragnęła przed nim ukryć.

Wszedł za nią do hallu i pomógł jej zdjąć okrycie.

- Najlepiej położyłabyś się zaraz do łóżka, kochanie - rzekł.

Odezwał się w niej duch przekory.

- Głupstwa pleciesz! Dlaczego? - zapytała, chociaż w głębi duszy pewna była, że powinna była tak uczynić.

- Widzę, że jesteś przemęczona - odparł Sam łagodnie. - Idź na górę! Przyjdę za pół godziny, czy ci czegoś nie potrzeba.

Nie opierała się dłużej. Zwróciła się w stronę schodów.

- Może ci mam pomóc? - zapytał.

Wstępowała na schody powolnym krokiem, jakby nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Pośpiesznie odwróciła głowę.

- Och, na miłość boską, nie! - zawołała.

Stanął na dole, patrząc na nią, aż wreszcie zniknęła na górnej platformie.

W pół godziny potem zjawił się w jej sypialni i zastał ją leżącą w łóżku. Pokój tonął w zupełnych ciemnościach. Zapalił lampę, zasłaniając ją abażurem, po czym zbliżył się do łóżka.

- Bardzo źle się czujesz? - zapytał.

- Nie - odparła.

Dotknął jej ręk i zorientowała się, że uważnie spoglądał w jej twarz.

- Najlepiej będzie, jak poślę po doktora Gillespie - wyszeptał.

Poruszyła się niespokojnie.

- Och nie bądź głupi, Sam! Przecież nic mi nie jest. To tylko przez ciebie leżę w łóżku. Mnie by to nawet na myśl nie przyszło.

Łagodnie położył dłoń na jej ramieniu i uśmiechnął się tylko.

- Niech i tak będzie, kochanie. Leż spokojnie. Zmęczyłaś się przez dzisiejszy dzień. Zobaczymy, jak się będziesz czuła rano.

- Na pewno będę się czuła zupełnie dobrze, jeżeli zechcesz mnie zostawić samą - odparła, drżąc pod wpływem dotyku jego ręki. - Ty... ty zawsze tak robisz, żebym czuła się gorzej!

- Bardzo mi przykro - wyszeptał bezradnie. - Ale sama za mało dbasz o siebie. Przykro mi patrzeć szczególnie wtedy... - umilkł.

- Kiedy? - zagadnęła.

Twarz jej odcinała się śmiertelną bladością od białej poduszki, lecz oczy błyszczały niesamowitym płomieniem i rzucały iskry. Sprawiała wrażenie dzikiego zwierzęcia, schwytanego do klatki, lecz gotowego zawsze walczyć o swą wolność do ostatniej kropli krwi.

Sam wytrzymał wzrok jej w ciągu kilku sekund, po czym ukląkł przy niej i ukrył twarz w poduszce.

- Biedne dziecko! Biedne dziecko! - wyszeptał. - Gdybym ja ci mógł pomóc!

Te słowa zbudziły jakieś życzliwsze uczucie w jej sercu i mimo woli zadrżała cała.

- Ach, Sam, wybacz mi!

Otoczył ją ramieniem, lecz nie patrzył na nią. Zdawało się, że czeka na coś więcej.

Lecz ona nie poruszyła się i nie wyrzekła ani słowa, leżąc spokojnie, prawie bez oddechu, otoczona jego ramieniem. Wreszcie on westchnął głęboko i wstał z klęczek.

- Dobrze, kochanie, pójdę zobaczyć, co Marta przygotowała na obiad.

Pozwoliła mu odejść bez słowa. Wszelkie rozmowy sprawiały jej kompletny fizyczny ból. Przeniknął ją zimny dreszcz, gdy wyszedł z pokoju i za wszelką cenę usiłowała odzyskać równowagę. Gdy wrócił po chwili, leżała znowu spokojnie z brwiami zmarszczonymi nieco pod wpływem głębokiego zamyślenia.

Przyniósł jej na tacy obiad. Na odgłos jego kroków odwróciła się i blady uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Nie jestem głodna - rzekła.

- O, nie - odparł Sam. - Ale przyniosłem ci coś ciekawszego niż obiad. Jest tutaj list, który ci zapomniałem oddać!

- Dziękuję! - wyszeptała, wyciągając rękę po list. - Nie przypuszczam, aby było w tym liście coś ważnego. Od kogo on jest? Ach, pisany na maszynie - obejrzała list i odłożyła go. - Może sobie poleżeć.

- Lepiej otwórz go - poradził Sam.

- Może ty to uczynisz. Jestem pewna, że treść nie jest zbyt ciekawa.

Wziął list z jej ręki i zawahał się.

- Może to coś osobistego - zauważył z niepokojem. Lilian zaśmiała się nieszczercze.

- Nic takiego nie może być w takiej prostej kopercie!

Otworzył list, siadając na krawędzi łóżka.

- No i cóż? - zapytała Lilian po chwili.

Zastanowił się przez chwilę, po czym jej list podał.

- Nic nie rozumiem - rzekł.

Wsparała się na łokciu, aby przeczytać treść. Na maszynie wypisane było tylko jedno zdanie:

*Czarny Rycerz czeka na ciebie.*

*Nemesis*

Spojrzała na Sama dziwnie skamieniałym wzrokiem.

- Tak, osobista wiadomość - wybąkała. - Proszę cię, zapomnij o tym!

Pochylił się nad nią.

- Lilian!

- Proszę cię, zapomnij! - powtórzyła i zgmiotła arkusz w dłoni.

- Ależ ja nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

- Nie mogę ci powiedzieć - wyszeptała posiniałymi wargami.

Podniósł się.

- Lilian! Wydaje mi się, że ktoś ma ochotę cię szantażować. Jeżeli tak jest, to chyba ja powinienem załatwić tę sprawę.

- Ta sprawa jest wyłącznie moją osobistą sprawą - odparła.

Wyciągnął do niej rękę i dostrzegła, że ręka ta drżała.

- Ależ dziecko - szepnął - to musi być kłamstwo! Sama się chyba orientujesz.

Nie dotknęła jego reki.

- Powiadają, że prawda jest czasem dziwniejsza niż kłamstwo - rzekła.

Pochylił się znów nad nią.

- Lilian, jestem twoim mężem. Nie możesz mi zaufać, nie możesz mi powierzyć swojej tajemnicy? Przysięgam, że nie zmieni to mego uczucia do ciebie.

Głęboka tkliwość drżała w jego głosie. Obrzuciła go pośpiesznym spojrzeniem i odwróciła twarz.

- O, to jest tylko stary żart - rzekła. - Oczywiście, że nie ma w tym ani słowa prawdy. Proszę cię, nie bądź tragiczny! Jestem strasznie zmęczona. Nie masz się czego martwić. Ta wiadomość absolutnie mnie nie obchodzi.



Wyprostował się znowu i zajęty był przez chwilę zdejmowaniem talerzy z tacy. Gdy ustawił już wszystko przed nią, skierował się ku wyjściu.

- Nie fatyguj się tu potem - rzekła Lilian. - Przyślij Martę!

Nie odpowiedział. Wolnym krokiem wyszedł i ciężko począł schodzić po schodach.

Lilian spojrzała na list, który trzymała zgnieciony w ręku.

- Tak, to jest kłamstwo! - szepnęła. - To musi być kłamstwo. Ale po co... po co mnie o tym zawiadamiała?

Zobaczyła Sama, gdy udawał się na spoczynek, a sen zmorzył ją wtedy, gdy przez zasłonięte okna począł wnikać do pokoju szary świt.

## ROZDZIAŁ IV

### Wyjaśnienie

Nazajutrz rano o dziesiątej zjawiła się Peggy, wesola, uradowana i promieniejąca szczęściem. Był to jeden z tych cieplejszych dni lutego, gdy cały świat zdaje się trwać w oczekiwaniu pierwszych zwiastunów nadchodzącej wiosny. Peggy, ze swymi błyszczącymi radością oczami wyglądała, jak uosobienie przybranej kwieciami królowy i zdawała się również czekać na coś, co miało wkrótce nastąpić.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu przed przybyciem Jacka - rzekła Lilian, gdy stały obydwie, rozkoszując się blaskiem słonecznym przed domem mieszkalnym w Chinnery.

- To chodźmy na spacer! - zaproponowała Lilian.

- Nie masz chyba dość siły - odparła Peggy, obserwując przyjaciółkę krytycznym wzrokiem. - Może byśmy wzięły powozik?

- Ani mi się śni! - oburzyła się Lilian. - Sam gotów nam jeszcze zaproponować swój samochód!

Peggy zaśmiała się.

- Bardzo lubię jego starego Roarera. Ale, Lilian, tyś naprawdę wychudła. Po prostu cień został z ciebie. Jaka jest przyczyna?

Lilian usiłowała to pytanie obrócić w żart.

- Wychudniesz także, jak będziesz już starą, jak ja, mężatką! Nie masz pojęcia, jak mężczy człowieka to ustawiczne czyjeś towarzystwo. Zabierzemy ze sobą drugie śniadanie i umkniemy Samowi, który jak zwykle rano, jest zajęty swoim drobiem!

Peggy przystała na tę propozycję z radością. Ogromnie lubiła przebywać sam na sam z Lilian. Gdy wyszły poza bramę ogrodu, z westchnieniem zadowolenia orzekła, że przypominają jej się dawne szczęśliwe lata.

- Chciałabyś, żeby wróciły? - zagadnęła Lilian.

- Sama nie wiem - rzekła Peggy, spłonawszy rumieńcem. - Przyznasz, że było wtedy bardzo wesoło, prawda?

Lilian uśmiechnęła się nieznacznie.

- Straszne dziecko z ciebie - rzekła. - Wątpię, czy kiedyś staniesz się dorosłą i nie mogę w to uwierzyć, że wychodzisz za mąż.

- Tak samo i ja o tobie myślałam! - zawołała Peggy nieoczekiwanie. - Ale nie można już tego odrobić, co się stało.

- Myślisz, że ja bym odrobić nie mogła?

- I wróciłabyś do dawnego życia w Courtenaye? Nie, tego byś nie uczyniła! - oznajmiła Peggy z przekonaniem.

- Najlepszy dowód, że wcale mnie nie znasz - wyszeptała Lilian.

Wspięły się na pagórek, gdzie na małej polance wschodziły wczesne fiołki, lecz na próżno wśród młodych listków szukały rozwiniętego kwiatka.

- Jaki prześliczny dzień! - mówiła Peggy. - Słońce zdaje się być pełne obietnic! Nigdy tego dnia nie zapomnę.

Jakiś cyniczny żart cisnął się na usta Lilian, lecz powstrzymała go, spojrzawszy na słodką twarzyczkę przyjaciółki.

- Użyj tego dnia do syta, kochanie! - rzekła.

Przeszły jeszcze kilka kroków dalej i w pewnej chwili usiadły na starym gumowym płaszczu Sama, który Peggy przed wyjściem zabrała z sobą. Poczęły rozmawiać o różnych abstrakcyjnych rzeczach.

- W takim dniu jak dzisiejszy człowiek doskonale odpoczywa - odezwała się nagle Lilian, a gdy Peggy spojrzała na nią pytająco, odparła: - Ty zawsze musisz pytać o przyczynę.

- To nie znaczy, że się czemuś dziwię - usiłowała się wytłumaczyć Peggy.

- Widzisz, Peggy, są takie sprawy, o których nawet tobie nie umiałabym powiedzieć.
- Sądysz, że mogłabym ich nie zrozumieć?
- Tak, mniej więcej. - Głos Lilian miał jakieś dziwne, obce brzmienie.
- Jak to dobrze, że wychodzę za męża! - zawołała Peggy.

Lilian wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Czy sądzisz, że Jack będzie uważał mnie za odpowiednią przyjaciółkę dla ciebie? - zapytała.

Peggy otworzyła szeroko oczy ze zdziwieniem.

- A uważasz, że ja nawet Jacka będę się radziła, jeżeli chodzi o moją najlepszą przyjaciółkę?

Lilian pogłaskała jej rękę.

- To byłoby jedyne wyjście z sytuacji - odparła.

- Nie, ależ, Lilian... - Peggy protestowała z oburzeniem, po czym nagle zwróciła się do przyjaciółki: - Czy rozumiesz mnie?

- Lepiej, niż przypuszczasz, kochanie - odparła Lilian. - Znajdźmy sobie teraz jakieś wygodne miejsce, gdzie byśmy mogły zjeść spokojnie śniadanie!

- Głowa cię boli - dorzuciła Peggy z przekonaniem.

- Tak, trochę - przyznała Lilian. - Ostatnio boli mnie bardzo często. Zapalę papierosa, może mi to pomoże.

Znalazły niewielką polankę po słonecznej stronie pagórka i tutaj usadowiły się, pieszczone ciepłymi promieniami słońca.

- Czyż tu nie jest cudownie? - zachwyciła się Peggy.

Lilian paliła papierosa w milczeniu. Miała oczy dziwnie szkliste i zmęczone, co wzbudzało niepokój Peggy. Po pięciu minutach odrzuciła niedopałek papierosa i zaczęła rozpakowywać koszyk.

- Jak przyjemnie móc nie wracać do Chinnery na śniadanie! - zauważyła.

- To byłby wstyd w taki piękny dzień - rzekła Peggy. - Chociaż ja osobiście lubię Chinnery.

Lilian odwróciła się i zaśmiała głośno.

- Nic dziwnego! Przecież to jest miejsce, gdzie przekonałaś się do swojej pierwszej miłości, prawda? Dla mnie nie ma ono takiego znaczenia.

- Ale także je lubisz - przekonywała ją Peggy. Lilian przygotowywała jedzenie.

- Przyznaję, że nie pozbyłabym się Chinnery tak łatwo jak każdego innego mieszkania - rzekła.

- Chciałabym, żebyś się czuła szczęśliwszą, kochanie - zauważyła Peggy z prostotą Lilian podała jej jajko na twardo.

- Moja kochana, przeznaczony dla mnie puchar nie zawierał szczęścia, a jeżeli je kiedyś posiadał, to wypiałam to szczęście już bardzo dawno i na starość już mi nic nie zostało.

Peggy zmarszczyła swoje delikatne brewki.

- Nie rozumiem dlaczego nie można byłoby tego puchara na nowo napełnić.

Lilian zaśmiała się znowu.

- Jest wiele rzeczy, których nie rozumiesz, Peggy, może na moje szczęście. Jedz śniadanie w spokoju i zachowaj swą radość!

Peggy przyjęła propozycję i jadły już nadal w zupełnym milczeniu.

Pod koniec Lilian wyciągnęła się na płaszczu, wsunawszy ramię pod głowę. Peggy siedziała przy niej z podwiniętymi nogami, wodząc rozmarzonym wzrokiem po zielonej dolinie.

Przyciszony głos Lilian wytrącił ją z chwilowego zamyślenia.

- Peggy!

Peggy odwróciła głowę i spojrzała na przyjaciółkę.

- Słucham, kochanie?

Lilian wyciągnęła rękę w stronę Peggy, ta zaś ujęła jej dłoń w gorący uścisk. Przez chwilę panowało milczenie, które Peggy pierwsza przerwała.

- Jaki śliczny pierścionek, Lilian! Strasznie się cieszę, żeś dostała znowu podkówkę.

- Ach, ta! Sam dał mi ją na szczęście, ale mi jakoś szczęścia nie przyniosła.

- Przyniesie - rzekła z przekonaniem.

Lilian obdarzyła ją serdecznym uściskiem dłoni.

- Wczoraj wieczorem zrobiłam straszne głupstwo - wyszeptwała.

- Ty? - zdziwiła się Peggy.

- Tak. Wróciłam do domu bardzo zmęczona i pozwoliłam Samowi otworzyć jeden z moich listów. - Dziwny niepokój brzmiał w głosie Lilian.

- Czy miało to jakieś znaczenie?

- Tak. Bardzo wielkie nawet. Był to list od kogoś, którego znałam niegdyś i wolałabym, aby Sam o tym kimś nie wiedział. - Ręka Lilian spoczywała ciągle jeszcze w dłoni Peggy, wsparła się teraz tylko na łokciu i utkwiała wzrok w świeżym mchu, który porastał całą polankę.

- Gdybym była na twoim miejscu, nigdy bym się nie martwiła, że Sam o czymś wie - rzekła Peggy.

Lilian poruszyła się niespokojnie. Zesztywniałymi nieco palcami poczęła gładzić mech.

- Gdybyś była na moim miejscu, na pewno nigdy nie zostałabyś jego żoną - rzekła.

- Owszem, na pewno bym to uczyniła. Zawsze uważam, że to było jedno z twoich naj-  
mądrzejszych posunięć.

- Dlaczego?

- Bo potrzebny był ci ktoś bliski, ktoś, kto by się tobą opiekował, a Sam jest do tego stworzony - brzmiała niepewna odpowiedź Peggy.

Lilian stłumiła głośny śmiech.

- Wyglądało to tak, jakby ktoś zamknął stajnię za wierzchowcem, który został skradziony - oznajmiła.

- Czy powiesz mi, co było w tym liście? - zapytała Peggy.

- Jeśli chcesz, sama go możesz przeczytać. Jest w kieszeni - odparła Lilian.

Peggy odwróciła się i wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza przyjaciółki. Po chwili wyciągnęła zgnieciony kawałek papieru.

- Czytaj! - zachęcała ją Lilian.

Odczytała krótką treść, po czym list odłożyła na dawne miejsce.

- I Sam to czytał? - zapytała.

- Tak, czytał - odparła Lilian szeptem.

- Czy powiesz mi, co ta treść znaczy? - zagadnęła Peggy.

- Sama nie wiem. Może to być zwykłe oszustwo.

- Kto to jest, ta Nemezis?

Lilian milczała przez chwilę, leżąc bez ruchu.

- Peggy - wyszeptała wreszcie - jeżeli powiem ci coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam czy przysięgniesz mi... Ale nie! - Obruszyła się nagle. - Nie mogę cię obrażać taką przysięgą.

- Chciałam ci tylko jedno powiedzieć - rzekła Peggy bardzo stanowczo - zanim się przekonasz, czy jestem godna zaufania, czy nie. Kilka tygodni temu Sam prosił mnie, abym mu powiedziała wszystko, co wiem o Czarnym Rycerzu, mam na myśli tego twego rycerza wymarzonego. Nie chciałam mu nic powiedzieć, lecz przekonałam się, że on wie mniej więcej to samo, co ja i ponieważ prosił mnie o to, mając na względzie twoje dobro, więc mu powiedziałam. Od tego czasu myśl ta dręczyła mnie i chciałam cię prosić o przebaczenie.

- Ależ moja droga - uśmiechnęła się Lilian - przecież nic złego nie uczyniłaś.

- Dziękuję ci. Sądzę, że wiesz, iż nie powtarzam takich rzeczy, których powtarzać nie powinnam.

- Wiem o tym - odparła Lilian, nie ruszając się z miejsca - że jeżeli nawet będziesz znała całą prawdę, umrzesz przedtem, niż byś miała mnie zdradzić.

- Dziękuję ci - powtórzyła Peggy znowu i swój rozpalony policzek przyłożyła na chwilę do dłoni Lilian.

- To jest jeden z powodów - rzekła Lilian - dla których nie wiem, czy powinnam ci wszystko powiedzieć.

- Ach, Lilian! - zawołała Peggy z najgłębszą powagą. - Gdybyś tylko chciała!

- Nie wiesz sama, o co mnie prosisz - szepnęła Lilian. - Do tej pory sama dźwigałam mój ciężar. Nie powinnam składać go na twoje barki. To bardzo ciężki balast, Peggy. Na pewno będziesz się pod nim źle czuła.

- Podzielę go chętnie z tobą.

Lilian potrząsnęła głową.

- Peggy... jeżeli powiem ci o wszystkim... że byłam... trędowata, czy nie będziesz się bała zbliżyć do mnie?

Zadała to pytanie, cedząc słowo po słowie. Gdy skończyła je, twarz swą odwróciła ku ziemi.

- Nie, kochanie - rzekła Peggy z zupełnym przeświadczeniem. - A czy to jest prawda?

- W przenośni - odparła Lilian szeptem.

- Jakąż może ona stanowić różnicę dla tych ludzi, którzy cię kochają?

Zimny dreszcz przeniknął leżącą bez ruchu Lilian.

- A gdy powiem ci wszystko, czy nie będę tego żałowała?

- Możesz być pewna, że przy mnie to wszystko pozostanie.

- Tylko przy tobie!

- Tak, kochanie, przy mnie - zapewniła ją Peggy z prostotą. - Nikt na świecie nie może mi zabronić cię kochać.

Ręka Lilian zacisnęła się mocniej na dłoni przyjaciółki.

- I nie będziesz mnie nakłaniać, żebym powtórzyła wszystko Samowi?

- Nie, dziecinko - odparła Peggy łagodnie.

Lilian przysłoniła twarz dłonią i leżała tak, oddychając ciężko.

- Więc ci powiem - wyszeptała. - Niejednokrotnie chciałam ci powiedzieć i nikomu więcej. Peggy, czy pamiętasz, jak kilka lat temu wyjechałam za granicę z Silverami?

- Owszem, pamiętam.

- I mówiłam wszystkim, że odbyłam podróż dokoła świata. To było kłamstwo. Przebywałam cały czas na południu, w Valrosa.

- Tak, kochanie.

Twary Lilian nie było widać zupełnie.

- Peggy, znajdowałam się wówczas w krytycznej sytuacji - wyszeptała.

- Więc Silverowie byli tacy źli dla ciebie? - zapytała Peggy?

Znowu zimny dreszcz przeniknął ciało Lilian.

- Ludzie ci żyli z własnego sprytu. Ja nie byłam dla nich odpowiednim obiektem. Ona, Emilia Silver, to kobieta-diabeł, Peggy. Zwabiła mnie tam. Myślałam, że spędzę czas przyjemnie. Pragnęłam nade wszystko, poznać życie. Wiesz, jaka byłam wówczas.

- Tak, kochanie - szepnęła Peggy.

Nogi Lilian zadrgały nerwowo. Zdawało się, że każde wypowiedziane słowo sprawia jej niezwykłą trudność.

- Pojechałam z nimi... wpadłam w zasadzkę... byłam strasznie głupia. Znalazłam się w tłumie graczy i straciłam wszystko do ostatniego szylinga. Był tam jegomość, który obserwował mnie po kątach, przyjaciel Silverów. Gdy straciłam wszystko, zaofiarował mi swą pomoc. Nemezis miała mnie już dosyć albo też udawała, że się mną znudziła. Wszystko to było zwykłą grą. Jegomość ów pożyczył mi pewną sumę, którą znowu przegrałam. Między jedną grą, a drugą, w mieszkaniu Silverów odbywały się istne orgie, jedni pili, inni wączali kokainę. Starałam się trzymać od tego z daleka, lecz wreszcie i na mnie to przyszło. Silverowie twierdzili, że są zrujnowani i że nie mogą mnie odesłać do domu. Czułam się strasznie. Pewnej nocy zdecy-



dowałam się na kokainę, a następnego rana przekonałam się, że ów jegomość w nocy mnie posiadał. Byłam teraz jego własnością. Stara to historia, a ciągle nowa. Zazwyczaj dziewczęta, które twierdzą, że wiedzą dużo, wpadają w przepaść, bo w gruncie rzeczy nic nie wiedzą. Nie mogę mieć do nikogo urazy. Byłam wówczas jeszcze bardzo niedoświadczona i otrzymałam karę, na którą zasłużyłam. Wydawało mi się to wszystko długim, męczącym snem. On nie miał litości, zresztą ja się jej z jego strony nie spodziewałam. Maltretował mnie w zwierzęcy sposób. Zabrał mnie od Silverów do hotelu nad morzem i tam żyliśmy razem, jak byśmy byli małżeństwem. Z początku myślałam, że zamierza mnie poślubić, lecz wkrótce przekonałam się, że w tym kraju, w którym byłam wówczas, nikt o małżeństwie nie myśli i każdy popełnia największe szaleństwa pod wpływem chwili. Gdy próbowałam się bronić lub buntować, dawał mi znowu kokainę. Pamiętam, że gdy pewnego popołudnia nie chciałam kokainy zażyć, zmusił mnie do tego siłą. Umiał być brutalny, a ja w owym czasie nie posiadałam zbyt wyrobionej siły fizycznej. Musiałam się poddawać. Dotychczasowa moja duma zniknęła bezpowrotnie.

Wstrząsnął nią głuchy szloch. Uderzyła zaciśniętą pięścią o ziemię. Twarz ukryła teraz w miękkim mchu.

Peggy nie wyrzekła ani słowa, ściskając tylko wciąż gorąco rękę przyjaciółki. Słuchała opowiadania z półprzymkniętymi oczami. Po chwili Lilian zaczęła opowiadać dalej.

- Wreszcie nadszedł karnawał, a wraz z nim bal maskowy w miejscowym kasynie. Miałam zielony kostium rusałki i on zażądał, abym poszła na bal. Lubił tańczyć. Wybrał się na bal w kostiumie jednego ze średniowiecznych gwardzistów. Wyglądał wspaniale. Silverowie byli tam także, lecz ja trzymałam się od nich z daleka. Sądziłam, że przez cały czas będę go miała przy sobie, lecz on spotkał jakichś znajomych i zostawił mnie samą. Do tej pory byłam jednak pod wpływem przemocy mego tyrana. Teraz, gdy na chwilę zostałam sama, poczęłam się zastanawiać, czym właściwie jestem. Po prostu szalałam z rozpaczy. Nie zastanawiając się dłużej, wybiegłam z sali balowej. Nikogo tu nie było, kto by się troszczył o to, dokąd poszłam. Nad brzegiem morza biegła alejka zwana „Dróżką klejnotów”. Otoczona była mnóstwem kwitnących drzew, obecnie iluminowanych światłami. Poszłam wzdłuż tej alejki, starając się oddalić od wszystkich. Na samym końcu dotarłam do małej altanki, w której usiadłam, zastanawiając się, co robić dalej. Byłam pewna, że wszyscy tańczą i że jestem tu zupełnie sama. Siły mnie opuściły zupełnie. Chciałam jak najprędzej skończyć z obecnym trybem życia i byłam już przygotowana na wszystko, gdy nagle zjawił się Rycerz. Nigdy nie zapomnę tego. Pocz-

łam na ramieniu czyjąś dłoń i ktoś po angielsku zapytał mnie, co się stało. Gdy zdobyłam się na podniesienie głowy, ujrzałam nad sobą Rycerza w czarnej zbroi, z krzyżem na piersiach. Było to dla mnie objawienie. Przyszła mi na myśl stara legenda i uwierzyłam, że on się zjawił, aby mnie wybawić. Do dzisiejszego dnia nie wiem, jak mu to wszystko opowiedziałam. On zdawał się wiedzieć o wszystkim. Okazał mi wiele dobroci, łagodności i przyjaźni, jakby mnie znał od dawna. Prosił, abym mu zaufała i zaufałam mu bez wahania. Był silny i potężny, a jednak posiadał prawdziwie kobiecą intuicję. Wstydziłam się powiedzieć mu swoje nazwisko, zresztą on wcale o nie nie pytał. Gdy skończyłam swe opowiadanie, orzekł, że mnie musi z tego wyratować. Kazał mi wrócić do hotelu, przebrać się, sam zaś miał na mnie czekać na dworcu. Powiedział, że odeśle mnie wczesnym pociągiem do Lyonu i prosił, abym się niczego nie lękała. Dodał mi odwagi i zapalił w mej duszy iskierkę nadziei. Przed wyjściem z altany opuścił przyłbicę, więc nie widziałam nawet jego twarzy. Gdy tylko pożegnałam się z nim, pomyślałam, że to musiał być sen. Uczyniłam jednak tak, jak mu obiecałam. Wróciłam do hotelu, aby się przebrać. Miałam twoją małą srebrną podkówkę którą spięłam uprzednio turban na głowie. Pomyślałam, że to ona przyniosła mi szczęście... I gdy już byłam zupełnie gotowa do wyjścia, wtedy zjawił się nagle mój tyran. Był strasznie zagniewany na mnie za to, że wyszłam z sali balowej bez jego pozwolenia. Zdobyłam się na odwagę, aby mu nie powiedzieć prawdy. Wiedziałam, że to jest jedyna moja szansa. Wytłumaczyłam, że byłam zmęczona i dlatego opuściłam kasyno. Tej nocy był dla mnie wyjątkowo łagodny. Przypuszczam, że wstydził się mego towarzystwa wobec znajomych, których spotkał. Wolał, że mnie nie było przy nim. Nie miałam jednak żadnej możliwości ucieczki, chociaż przez całą noc czuwałam. Nad ranem, gdy usłyszałam, że śpi, wstałam cichutko, ubrałam się i wymknęłam z pokoju. W ostatniej chwili zdążyłam wrzucić do woreczka moją podkówkę. Pieniądzy nie miałam. Przed hotelem nie spotkałam nikogo, z wyjątkiem jakiegoś mężczyzny, siedzącego pod palmą i zdającego się drzemać. W panicznym strachu pobiegłam na dworzec. Była to długa droga, biegnąca ciągle pod górę, lecz ja szłam wciąż przed siebie, gnana jakąś tajemniczą siłą. Opanowało mnie okropne uczucie, że jestem ścigana. Gdy dotarłam do dworca, panowała tam zupełna pustka. Weszłam na peron, gdzie również nikogo nie dostrzegłam. Przekonałam się, że pociąg już odszedł i utraciłam resztkę nadziei. Opanowała mnie rozpacz. Zdawało mi się, że wielkie żelazne wrota zamknęły się za mną i że nie może być już mowy o ucieczce. Nagle usłyszałam zbliżający się pociąg z przeciwnej strony, pociąg pośpieszny; wiedziałam, już, co

zrobię. Coś mnie do tego pociągu pchało. W następnej chwili byłam już na szynach, zastanawiając się nad tym, kiedy mnie pociąg przewróci. Nagle raczej wyczułam niż zobaczyłam, że ktoś stoi już przy mnie, ściąga mnie z szyn i mówi: „Proszę się nie lękać! Spokoju!” Zorientowałam się, kto to był, wiedziałam... wiedziałam! Potem nastąpił szalony hałas, hałas, który potrafi zabić nawet człowieka. Turkot kół, zgrzyt hamulców, lecz silne jakieś ramiona opasywały mnie i to była ostatnia chwila, jaką pamiętam...

Głos Lilian załamał się. Leżała przez chwilę spokojnie, lecz ręka jej wciąż mocniej zaciskała się dokoła dłoni Peggy. Peggy pogłaskała tę rękę czule, siedząc w zupełnym milczeniu, z oczami spuszczonej ku ziemi.

- Zechcesz mi skończyć swe opowiadanie, Lilian? - wyszeptała wreszcie przyciszonym głosem.

- Tak... tak - ciałem Lilian wstrząsnął głuchy spazm. - Już niewiele pozostało. Zachorowałam ciężko. Prawdopodobnie na zapalenie mózgu. A gdy wróciłam do przytomności w kilka tygodni potem, znajdowałam się w klasztorze w Ivre, w okolicy Valrosa. Przecież nie chciałam żyć, a znowu mnie do życia powrócono. Wszyscy byli tam dla mnie bardzo dobrzy i gdy pewnego dnia mogłam już siedzieć o własnych siłach, stara matka przeorysza oddała mi moją torebkę, mówiąc, że jest w niej wiadomość od mego brata, który wyjechał przed kilku dniami, gdy się przekonał, że niebezpieczeństwo minęło. Matka przeorysza była miła i nie zadawała żadnych pytań, prawdopodobnie przez delikatność. W torebce znalazłam pieniądze - była to suma, wystarczająca na zapłacenie wszystkiego i powrót do domu - oraz kartkę z kilku słowami: „Proszę zapomnieć o wszystkim i rozpocząć nowe życie! Zabieram maskotkę pani na pamiątkę, lecz zwrócę ją kiedyś, gdy zobaczymy się znowu”. Taka była treść kartki. Wiedziała, że dotrzyma słowa, i zjawi się kiedyś przede mną. Czekałam na niego, pojechałam do domu i wciąż czekałam. Lecz on się nie zjawił. A potem nastąpiła ta okropna sobota, czy pamiętasz? Gdy Tristramowie zostali zaproszeni na obiad... i ten człowiek... ten człowiek...

- Ach! - zawołała Peggy, otwierając szeroko oczy. - Major Bullivant!

- Tak... Major Bullivant. Znałam go tylko, jako kapitana Ronalda. Czy wiesz, że byłam bliska omdlenia owego wieczoru przy stole? Nie mam pojęcia, w jaki sposób się powstrzymałam. A potem ten następny tydzień, kiedy on mnie prześladował i wreszcie druga sobota, kiedy mówił ze mną. Powiedział mi, że chce mnie poślubić. Ach, Peggy! - Lilian poruszyła się niespokojnie.

- Odmówiłaś mu - wtrąciła Peggy.

- Usiłowałam, lecz on nie słuchał. Postanowił mnie znowu zdobyć. A potem przyszedł Sam, był bardzo dobry dla mnie podczas balu myśliwskiego, więc powiedziałam mu w chwili szalonej rozpacz, że poślubię go, jeżeli się załatwi z majorem Bullivantem.

- I on spełnił twe życzenie - szepnęła Peggy.

- Tak, spełnił. Skąd wiesz?

- Znam Sama. I potem poślubiłaś go. Lilian, przecież ty tego nie żałujesz!

- Żałowałam od pierwszej chwili - rzekła Lilian twardo.

- Ach, Lilian! - Głęboka rozpacz drżała w głosie Peggy.

Lilian poruszyła się znowu na te słowa.

- Wiem, Peggy, wiem. Lecz popełniłam błąd, zostając jego żoną. I jestem ukarana... gorzko. Nigdy się nie przekonasz, co to znaczy, gdy się poślubia człowieka niekochanego. To jest straszne. Nazajutrz po ślubie widziałam tę kobietę... Nemezis... w hallu teatralnym. Usiłowała mnie napastować. Sam o niczym nie wiedział. Od tej chwili nic nie wiedziałam o niej, aż do otrzymania tej wiadomości. Czy jest ona prawdziwa? Czy to żart? Peggy, Peggy, umrę chyba, jeżeli się nie dowiem.

Wzrok Peggy spoczął na pogniecionym arkuszu papieru.

- To na pewno jest nieprawda - rzekła. - Ona nie jest twoją przyjaciółką. To musi być szantaż.

- Otóż właśnie - przyznała Lilian. - Lecz nie należy ona do tych kobiet, które potrafią tracić czas na żarty. Zaciekawia ją tylko zarobek. Namiętnością jej jest ciułanie pieniędzy. Pieniądze uwielbia. Nigdy nie traci na próżno czasu.

- To znaczy - szeptała Peggy w zamyśleniu - że jakimś dziwnym sposobem prosił ją, aby wysłała ten list. Znaczy to również, że ktoś szpiegował cię w ogrodzie kasyna i wie o wszystkim, co się stało.

- Mógł nas ktoś widzieć, gdy szliśmy razem - odparła Lilian. - Może wspomniałam mu o Silverach i zwrócił się do nich o wiadomość o mnie. Może obiecał jej nawet zapłatę.

- Nie przypuszczam, aby szlachetny człowiek tą drogą przesyłał wiadomości - rzekła Peggy z przeświadczeniem.

- To może była jej robota, nie jego - rzekła Lilian. - Może sama się zaofiarowała, że się ze mną skomunikuje i przekona, czy chcę go widzieć znowu. Przecież jest tysiące możliwości,

Peggy. Jestem jednak pewna, że nigdy nie zbliżyłby się do mnie, gdyby wiedział, że za to wszystko, co uczynił dla mnie, pragnę mu się odwdziżyć. Pozostawiłby mnie w spokoju, jestem przekonana. Może właśnie z tego powodu nie chce się ze mną skomunikować bezpośrednio. Nic nie wiem. Tonę w zupełnych ciemnościach. Jakbym miała bandaż na oczach, z którego muszę się wyswobodzić. - W głosie jej była rozpacz. Podniosła się, jakby nie mogła już dłużej znieść bezczynności, a blask słoneczny, który padł teraz na jej twarz, zbudził niepokój w duszy Peggy. - Muszę się przekonać - szepnęła Lilian. - Muszę to wyświetlić.

- Ale jak, kochanie, jak? - zagadnęła Peggy.

- Nie wiem. Musi być jakaś droga, a ja ją znajdę.

Chciała podnieść się z ziemi, lecz ramiona Peggy zapobiegły temu zamiarowi.

- Kochanie - rzekła Peggy swoim przyciszonym, poważnym głosem. - Nie uczynisz nic sama. Słyszysz, Lilian? Nie wiem, co zamierzasz robić, lecz cokolwiek by to nie było, nic sama nie przedsięwzięmiesz. Musisz teraz postępować ostrożnie. On na pewno też by tego pragnął. Czy kochasz Sama czy nie, to wiedz, że on cię kocha i gotów jest zawsze stanąć w twojej obronie. Jesteś mu coś winna za to. Nie wolno ci go okłamywać.

- A tamtemu nic nie zawdzięczam? - szepnęła Lilian.

- Tak, tak. Lecz sądzę, że Samowi więcej - ramiona Peggy zacisnęły się mocniej dokoła szyi przyjaciółki. - Lilian, czy nigdy nie próbowałaś pokochać Sama? Przecież to nie byłoby takie trudne.

Lilian westchnęła głęboko i oparła głowę na ramieniu Peggy.

- Och, Peggy, jestem strasznie zmęczona! - rzekła. - Życie moje było jedną wielką omyłką. Tak, myślę, że może mogłabym Sama pokochać, gdyby okoliczności inaczej się ułożyły. Ale czuję teraz, że jest tylko jedyna rzecz, której pragnęłabym szczerze. Sam wie o tym. Powiedziałam mu jeszcze przed ślubem.

- I co on na to?

- Powiedział, że nie będzie mi przeszkadzał.

- To podobne do niego! - szepnęła Peggy.

- Tak, podobne do niego, nieprawdaż? Ale nie mam pojęcia, o czym myślał wtedy. Teraz będzie wystawiony na próbę.

- Jestem pewna, że właśnie o tym myślał - przekonywała Peggy. - I cokolwiek zrobisz, Lilian, cokolwiek zrobisz, musisz to uczynić z jego wiedzą. Przymierz mi! Przymierz mi, kochanie!

- Nie mogę ci przyrzec, że mu o wszystkim opowiem - broniła się Lilian.

- Nie, tylko, że nie przedsięweźmiesz nic bez jego wiedzy. Lilian, musisz mi to przyrzec. - Peggy mówiła z zapalem, trzymając wciąż w objęciach Lilian, jakby ją chciała zasłonić przed całym światem.

- Dobrze. Przymierzam. Lecz nie wiem sama, jakie to posiada znaczenie. Teraz wiesz już o wszystkim, nie pojmuję dlaczego ci na tym zależy. Przecież i tak nie będziesz mnie mogła kochać, jak dawniej.

W odpowiedzi Peggy drżała czułość i namiętny entuzjizm:

- Lilian, Kocham cię, jak nigdy dotąd cię nie kochałam. Czy to rozumiesz?

- Nie pojmuję dlaczego - szepnęła znów Lilian zmęczonym głosem. - Chyba tylko litujesz się nade mną.

- Mylisz się - zaprotestowała Peggy. - Mam wrażenie, że raczej dlatego, iż wiem ile przecierpiałaś. I jestem pewna, najzupełniej pewna, że Sam czułby to samo, gdyby wiedział o wszystkim.

Lilian potrząsnęła głową.

- Nie, nie! Mężczyźni nie są tacy.

- Sam jest taki - oznajmiła Peggy.

- Cóż ty możesz wiedzieć o Samie? - w głosie Lilian brzmiało zaciekawienie.

- Wiem, że jest szlachetny - odparła Peggy. - Jest taki sam jak twój Czarny Rycerz. Postąpiłby na pewno w ten sam sposób, gdyby nadarzyła się do tego sposobność.

- I nie wytrzymałby - dorzuciła Lilian. - Znam Sama.

- Nigdy go nie znałaś. Ale mam nadzieję i będę się modlić gorąco, abyś go poznała jak najprędzej.

- Dziwna z ciebie dziewczyna! - wyszeptała Lilian.



# ROZDZIAŁ V

## Powrót

W pół godziny po tej rozmowie, przyjaciółki opuściły swą polankę i poczęły kierować się w stronę domu.

Słońce powoli zachodziło, ozłacając jeszcze jasnym blaskiem wierzchołki drzew.

- Wyraz rozpaczyny pierzchnął z twarzy Lilian, ustępując miejsca pogodzie i spokojowi. Szły, trzymając się za ręce, jak dawniej, gdy były dziećmi. Szły w milczeniu, które było bardziej wymowne od słów.

- Jesteś bardzo zmęczona - rzekła Peggy, gdy zbliżały się już do Chinnery.

Lilian odpowiedziała:

- Nie tak zmęczona, jak w owej chwili, gdy wychodziłyśmy z domu.

Gdy ujrzały już z daleka kontury domu mieszkalnego, zatrzymała się i chwyciła przyjaciółkę w ramiona.

- Muszę się tutaj z tobą pożegnać, kochanie - rzekła. - Nie mogę się oprzeć uczuciu, że nigdy już nie będziemy same. Przyjaźń nasza była prawdziwą przyjaźnią, wzniosłą i świętą, jaką sobie tylko w życiu można wyobrazić. Nigdy się nie zorientujesz, coś uczyniła dla mnie, ale ja ze swej strony nigdy tego nie zapomnę.

- Lilian, moja najdroższa! - oczy Peggy napełniły się łzami, a ramiona zacisnęły mocniej dokoła szyi Lilian. - To nie jest pożegnanie. To jest raczej początek czegoś wielkiego.

Lilian ucałowała ją z czułością.

- Możliwe - przyznała. - Nie wiem. Lecz cokolwiek by się stało, przypomnę ci, że przyjaźń twoja należy do mnie nawet w chwili największego zwątpienia. Peggy, powiedziałaś, że modlić się będziesz za mnie i wiem, że tak uczynisz, bo zawsze się za mnie modliłaś. Gdyby tak nie było, na pewno już dawno utraciłabym wiarę w Boga.

- Ach, Lilian, więc ty jeszcze wierzysz! - wyszeptała Peggy.

- Tak, wierzę. Czasami tylko, gdy przestajesz się za mnie modlić, mam wrażenie, że zapadam w przepaść. To twoja wiara trzyma mnie na powierzchni. Sama modlić się nie potrafię.

- Nigdy nie zawiedziesz się na mnie - oznajmiła Peggy ze stanowczością. - Ale, Lilian, nie zapominaj, że to nie tylko ja modłę się za ciebie. Nie zapominaj o tym!



- Ty jesteś jedyną osobą, która rozumie - rzekła Lilian. - To mi wystarczy. Chciałam ci właśnie o tym powiedzieć. Wyjdiesz za mąż i będziesz bardzo szczęśliwa. Ja osobiście mało będę miała wspólnego z twoim nowym życiem. Lecz serce moje zawsze będzie czuło to samo, Peggy, i chociaż nie potrafię się modlić za własne szczęście, to wierz mi, że zawsze się będę modlić za ciebie do końca życia.

- Ach, Lilian, Lilian, ty musisz być taka nieszczęśliwa! - wyszeptała Peggy prawie błagalnie. - Dotychczas nigdy jeszcze nie zaznałaś szczęścia. Nie wiesz, co ono znaczy. Lecz któregoś dnia, kiedyś, przyjdzie ono do ciebie. Moje szczęście nic dla mnie nie znaczy, jeżeli ty swego nie poznasz.

Lilian powstrzymała śmiech, który był przepełniony łzami.

- Peggy, co ty pleciesz! Jutro jest dzień twojego ślubu! Słuchaj! Dzwon kościelny bije! Peggy, spóźniłaś się! On na pewno już na ciebie czeka.

- Mniejsza o to! - oznajmiła Peggy obojętnie, lecz rumieniec mimo woli okraślił jej twarzyczkę. - Moja droga Lilian, jeżeli dbasz naprawdę o moje szczęście, to będziesz się starała, aby być także szczęśliwa. Lilian, będziesz się starać?

Lilian ujęła twarz przyjaciółki w obydwie dłonie. Pochyliła się i ucałowała ją czule.

- Będę się starała o coś więcej niż o szczęście, Peggy - rzekła. - Będę się starała, aby być dobrą.

Nagle usłyszały od strony Chinnery głośny marynarski okrzyk, który był powodem nowego rumieńca na twarzy Peggy.

- Lilian, on już przyjechał! Lilian odsunęła ją od siebie.

- Mówiłam ci. Idź, dziecko, idź! Koszyk zostaw! Znam Jacka. Wszystko pofrunie w powietrze, z wyjątkiem ciebie.

Peggy zamierzała odejść, lecz po chwili podbiegła znowu do przyjaciółki.

Przez dłuższą chwilę Lilian trzymała ją w serdecznym uścisku, po czym odsunęła się od niej znowu.

- Peggy, idź, idź! Chcę, żebyś poszła.

I Peggy pobiegła, jakby miała skrzydła u ramion. W dziesięć minut potem Lilian podeszła wolnym krokiem do szopy, w której Sam zamykał na noc kurczęta.

- Kładziesz swe dzieci do łóżka? - zagadnęła, stając u drzwi.

Odwrócił się z wyrazem zamyślenia i po chwili już był przy jej boku.

- Dziecino! Wyglądasz strasznie zmęczona! Za daleki spacer odbyłaś.

- Nie, nie zdaje mi się. - Otoczyła jego szyję ramieniem, spoglądając mu prosto w twarz.

- Nie gniewaj się na mnie, Sam! Bądź dobry jak dawniej!

- Moja najdroższa! - wyszeptał.

Otoczył ją ramieniem, a ona oparła się o niego z widoczną ulgą.

- Jestem... trochę... zmęczona - wyszeptała, cedząc słowa. - Pozwolisz mi usiąść?

Podsunał dużą skrzynię, na której usiadła i oparła się o niego plecami.

- Przyniosę ci coś do picia! - zaproponował.

- Nie - szepnęła - nie! Pozwól mi trzymać swoją rękę! Zaraz mi siły wrócą. Ach, Sam!

Pochylił się nad nią pośpiesznie.

- Lilian, ty jesteś chora! Oprzyj się o mnie. Co ci jest?

Uczyniła słaby ruch, przytulając się mocniej do niego.

- Drogi, kochany Sam! Jak mi przykro! - wyszeptała i zemdląła w jego ramionach.

# ROZDZIAŁ VI

## Próba

Ślub Peggy i Jacka odbył się nazajutrz, lecz mimo układanych planów na spędzenie miesiąca miodowego, młoda para wyjechała tymczasem zaledwie do sąsiedniego miasta Ledbury na kilka dni. Powodem było to, że przyjaciółka Peggy była chora i Peggy obawiała się, że w każdej chwili może być jej potrzebna, nie miała sumienia wyjechać zbyt daleko.

Trzeciego dnia jednak nadeszła konkretna wiadomość, pisana własnoręcznie przez Lilian:

*Wyjedź, kochanie i bądź szczęśliwa! Czuję się lepiej i nie potrzebuję twojej pomocy.  
Twoja na zawsze,*

*Lilian*

Był jeszcze w tym liście dopisek Sama donoszący o tym, że Lilian czuje się lepiej i że prawdopodobnie wkrótce zupełnie wróci do zdrowia. Z ciężkim sercem Peggy zdecydowała się wyjechać.

Wiadomość Sama była najzupełniej prawdziwa. Lilian istotnie powracała do zdrowia z każdym dniem. Lecz wraz z jej chorobą dawna porywczność widocznie zaniknęła zupełnie. Cechowała ją dziwna łagodność podczas tej choroby, gdy leżała w staroświeckim, dębowym łóżku. Nie okazywała nigdy zniecierpliwienia. Pielęgniarka, którą specjalnie przyjęto, twierdziła, że nigdy jeszcze nie widziała podobnie spokojnej pacjentki. Lilian leżała spokojnie, milcząc przeważnie i rozmyślając.

Joyce, która odwiedzała siostrę codziennie, płakała ukradkiem na widok zmiany, jaka zaszła w chorej.

- Zupełnie jest do siebie nie podobna - mówiła prawie z wyrzutem do Sama. - Nigdy jej jeszcze w takim stanie nie widziałam.

- Za kilka dni wszystko będzie w porządku - pocieszał się Sam, pełen nadziei.

I Joyce odchodziła, nie mając na to żadnych argumentów. Sam, który godzinami całymi siadywał w sypialni swej żony, nie zdradzał ani cienia niepokoju. Lilian rzadko kiedy odzywa-

ła się doń, z wyjątkiem tych kilku słów powitania lub też drobnych zapytań o rzeczy codzienne. Widocznie wszelkie rozmowy ją męczyły. Bywały i takie dni, że nie wypowiadała ani jednego słowa. Doktor przychodził i odchodził, wyrażając swe zadowolenie, chociaż często marszczył brwi z niepokojem. Twierdził, że nie należy się śpieszyć z leczeniem, że należy chorą zostawić w spokoju.

- Niech się wyleży i odpocznie - mówił. - Niech jej pan pozostawi pielęgniarkę, jeżeli chce tego. Potrzebny jej jest stanowczo odpoczynek.

Sam stosował się do jego zaleceń, pielęgniarka pozostała na następny tydzień, aż wreszcie pewnego dnia Lilian zapytała Sama, dlaczego tak długo trzyma pielęgniarkę.

- Sądziłem, że chcesz, aby była przy tobie, kochanie - wyjaśnił.

- O nie. Mogę się obyć bez niej. Przecież i tak wkrótce wstanę.

- Nie należy się śpieszyć - prosił Sam.

- Odpraw ją! - nastawała Lilian. - I tak dość dużo kosztowała moja choroba. Ty także nie powinieneś zbytnio się przemęczać. Zobaczysz, że wszystko przyjmie jak najlepszy obrót.

- Moja najdroższa - wyszeptał - tego przecież najbardziej pragnę.

Uśmiechnęła się i zapytała o kurczęta.

- Jim się nimi opiekuje - odparł. - Przypuszczam, że dzieje im się jak najlepiej.

Otworzyła szeroko oczy.

- Więc nic o nich nie wiesz? Myślałam, że są głównym celem twego życia!

- Ach, nie bądź dziecinna, kochanie! - rzekł Sam łagodnie.

Pielęgniarka wyjechała następnego dnia, lecz Lilian pozostała ciągle jeszcze w łóżku. Sprawiała wrażenie zmęczonego wędrowca, który zażywa zasłużonego odpoczynku. Sam pielęgnował ją, a ona przyjmowała jego wszystkie usługi z prostotą, z tą nieznaną dotychczas łagodnością, która ją teraz cechowała. Obecność jego nie męczyła jej już. Leżała często pogrążona w drzemce, podczas gdy on siedział przy jej łóżku.

Cierpliwość Sama była nadzwyczajna. Wypełniał polecenia doktora z największą skrupulatnością. Po wyjeździe pielęgniarki kazał sobie wstawić polowe łóżko do sypialni żony, na którym spędzał noce, gotów na każde skinienie chorej.

Nastał marzec ze swymi słotnymi dniami i Sam kazał częściej palić w pokoju, aby chora nie odczuwała wilgoci.

Pierwszy tydzień marca minął. Nastąpiły dni prawdziwych huraganów, kiedy wiatr północnowschodni przerażał swym wyciem, wnikając przez każdą szczelinę do wnętrza domu.

Podczas jednego z takich dni, przed wieczorem przyjechał Donald Gillespie i po raz pierwszy naprowadził rozmowę na temat opuszczenia przez chorą łóżka.

- Już jest pani prawie zupełnie zdrowa - rzekł do Lilian w obecności Sama. - Nie powinna pani dłużej leżeć, o wiele przyjemniej i weselej będzie na dole.

- Mogę wstać? - zapytała Lilian.

Sam podszedł do okna, za którym hulał wiatr i wielkie płatki śniegu uderzały o szyby.

- Oczywiście - odparł doktor - bo jeżeli ma pani zamiar czekać wiosny...

- Tak? - wyszeptała Lilian obojętnie.

- Radzę tego nie czynić - zakończył Gillespie.

Po tych słowach odjechał, a Sam po chwili przyniósł Lilian herbatę.

- Przyniosłem ci także list - oznajmił. Leżała z twarzą odwróconą do okna.

- Możesz go otworzyć - rzekła.

- Wolałbym, żebyś ty to uczyniła - rzekł spokojnie.

Nie upierała się dłużej i rozerwała kopertę. Po chwili odwróciła się doń, podając mu arkusz papieru.

- Przeczytaj - prosiła. - To w sprawie Rossingdon, propozycja kupna.

Wziął z jej rąk list i przeczytał. List pochodził z miasta od jednego z agentów i zawierał propozycję sprzedaży, za którą można było osiągnąć siedem tysięcy funtów.

- To nie jest wielka suma - rzekł Sam. - Zamierzasz się zgodzić?

- Tak - odparła Lilian.

Wzrok skierowała znowu w stronę okna, za którym padał śnieg z deszczem. Oczy jej miały dziwny wyraz. Po dwóch minutach odezwała się znowu:

- Musimy to załatwić, wobec tego. Napijesz się herbaty? Odwróciła się, wzięła z rąk jego filiżankę i piła herbatę w milczeniu.

- Ty to załatwisz, Sam - rzekła po chwili.

- Oczywiście, kochanie - odparł. - Potrzebny mi tylko będzie twój podpis, a potem już wszystko sam zrobię.

- Dziękuję ci - wyszeptała, po czym dodała, odstawiając filiżankę - To prawda, suma nie jest wielka. Ale mam dziwne uczucie, że nigdy nie zaznam szczęścia, dopóki Rossingdonu nie sprzedam.

- Rozumiem cię, maleńka.

- Dziękuję - odparła, zapadając znowu w zamyślenie.

Odniósł na dół tacę, a gdy wrócił, ona leżała wciąż z twarzą odwróconą do okna.

Wszedł i usiadł przy niej, proponując papierosa, lecz odmówiła. Przyniósł z sobą książkę, otworzył ją teraz i zaczął czytać, przypuszczał, że w ciągu reszty wieczoru Lilian nie wypowie już ani słowa.

Lecz po pięciu minutach, ku wielkiemu zdziwieniu Sama, Lilian odwróciła się, wyciągnęła rękę i położyła ją na otwartej stronicy.

- Już ciemno - wyszeptała. - Jestem pewna, że nic nie widzisz.

Spojrzał na nią.

- Chcesz, żebym zapalił światło?

- Nie - odparła. - Chcę z tobą pomówić.

Spokojnie odłożył książkę i ujął jej rękę w swoje dłonie.

- Słucham, kochanie - zachęcił ją.

- Chcę - rzekła Lilian wolno, a słowa padały z jej ust jakby z trudnością - chcę powiedzieć ci, Sam, jak mi przykro, że to wszystko się stało.

- Co takiego, najdroższa? - zdziwił się Sam, a potem dodał - ach, wiem, co masz na myśli. Lecz nie myśl o tym! Może pomówimy kiedyś, innym razem.

- Dlaczego? - upierała się, a on mimo woli odwrócił wzrok od jej twarzy. - Zamierzasz, zamierzamy pójść tą samą drogą, jak wrócę do zdrowia?

- Nie wiem, kochanie - odparł Sam łagodnie. - Możesz mi powiedzieć, co masz na myśli?

Zawahała się przez chwilę.

- Nie chciałabym cię urazić, Sam. Lecz czuję, że ten spokój był niby cisza po burzy, a staje się on coraz bardziej niebezpieczny. Sam, wiem, że należę do ciebie i że możesz ze mną postępować, jak chcesz. Lecz gdybyś się zdobył tylko na trochę cierpliwości i nie żądał więcej niż ci mogę ofiarować!

- Czy byłaś ze mną bardzo nieszczęśliwa? - zapytał Sam ze spuszczoną głową.

Milczała.

- Czy to była moja wina? - zapytał znowu.

- Nie - odparła.

- Dziękuję ci za to - wyszeptał spokojnie. - To stanowi pewną różnicę. Oczywiście, orientuję się, że odbiegam bardzo daleko od twego ideału, ale...

- Byłeś dla mnie zawsze dobry.

Przyjął to wyznanie z bladym uśmiechem.

- Pragnąłem dla ciebie jak najlepiej - oświadczył.

- Wiem. I dlatego źle mi było. Czułam przez cały czas, że jestem nie warta ciebie.

- Nie wiem dlaczego to czułaś.

- Nie? - Dłoń jej poruszyła się niespokojnie w jego uścisku, jakby chciała się z niego wydostać - Sam - głos jej był teraz jeszcze cichszy - jestem stanowczo niewarta ciebie.

- Już mi to powiedziałaś, kochanie. Nie zgadzam się z tobą.

- A jednak to jest prawda - upierała się Lilian. - Gdybyś w to uwierzył, byłoby ci o wiele lepiej beze mnie.

- Bardzo mi przykro, ale wątpię, czy w to uwierzę.

- Czy nic by cię nie skłoniło do tego, abyś mi pozwolił odejść? - zapytała.

Podniósł głowę i spojrzał na nią w półmroku.

- Czy możesz mi wytłumaczyć, o co mnie prosisz? - zapytał. - Przypuszczam, że wówczas byłoby lżej nam obojgu.

- Proszę cię, abyś mi pozwolił odejść od siebie na pewien czas.

- Tylko na pewien czas?

Zawahała się.

- Tak - odparła. - Potem wrócę. Wrócę, choćbym nie miała tu zostać.

Sam milczał przez kilka chwil.

- Czy byłoby możliwe, żebym poszedł z tobą, jeżeli przyrzeknę, że nie będę ci przeszkadzał?

- Ach, Sam! - zawołała z wewnętrznym szlochem. - Gdybyś ty się ożenił ze szlachetną kobietą!

- Proszę cię, najdroższa! - zaprotestował łagodnie. - Nie chcę słyszeć takich rzeczy nawet od ciebie. Istniejesz dla mnie tylko ty. Tylko ciebie pragnąłem i pragnę. Przypuszczam, że



orientuję się w twoich myślach. Lilian, jeżeli chcesz odnaleźć Czarnego Rycerza, możesz odejść. Pragnę tylko, abyś mi obiecała jedno.

Lekki dreszcz przeniknął ją, gdy usłyszała te słowa.

- Sam! Masz to na myśli?

- Tak - odparł stanowczo. - Zaczynam sądzić, że to jedno mi pozostało. Staraj się odnaleźć go, dziecino, jeżeli może ci on dać szczęście. Przysięgam jeszcze raz, że nie będę ci przeszkadzał. Jednego tylko wymagam od ciebie, abyś nie wyjeżdżała sama. Peggy wróci niedługo. Czy zgodzisz się, aby pojechała z tobą?

- Peggy! Wątpię, czy będzie mogła! - Po raz pierwszy w głosie Lilian zabrzmiał entuzjazm.

- Na pewno będzie mogła.

- A wówczas się zgodzisz? - zapytała.

- Tak - odparł. Znowu przez chwilę trwało milczenie, po czym on dodał z czułością. - Nie wiem, czy się orientujesz, że twoje szczęście odgrywa w moim życiu największą rolę.

- Szczęście! Szczęście! - dłoń jej poruszyła się w jego uścisku, jakby powołana na nowo do życia. - O, Sam - zawołała - nie wierz w to, że dążę do szczęścia! Rozstałam się z nim już bardzo dawno. Jest to tylko pewne zadowolenie. Jeżeli on naprawdę czeka, to muszę pojechać. Myślisz pewno, że oszalałam, możliwe że tak jest w rzeczywistości. Lecz istnieją w życiu takie rzeczy, których nie można wytłumaczyć. Nie jest to popęd fizyczny, który mnie ciągnie. Jest to uczucie czysto duchowe, którego dotychczas nie znałam. Uczuciu temu muszę się poddać.

- Czujesz, że należysz do niego? - zapytał Sam.

Zawahała się.

- Możesz mi powiedzieć szczerze, kochanie! Chciałbym to zrozumieć.

- A więc tak - odparła słabym głosem.

- Dziękuję ci - wyszeptał łagodnie. - To mi bardzo wiele mówi. Czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? Zniesiesz je?

- Mogę nie odpowiedzieć - wyszeptała.

- Nie, kochanie. Nie odpowiadaj, jeżeli nie będziesz mogła! - mówił miękko, jak się przemawia do dziecka. - Zastanawiam się tylko nad tym, co się stanie, co się stanie, jeżeli się

rozczarujesz. Jeżeli na przykład on będzie bardziej ziemski niż przypuszczałaś. Lilian, wybacz mi! Ale jest przecież tak mało snów, które się urzeczywistniają.

- O, wiem o tym - rzekła. - Wiem. Ale, Sam, ja nie powiedziałam ci wszystkiego. Nie mogę. Mówiłeś, że pozwalasz mi zachować tę tajemnicę.

- Słusznie, kochanie. To, co minęło, należy do przeszłości i nie wchodzi w rachubę. Najważniejszą kwestią jest teraźniejszość i przyszłość. Chciałbym cię uchronić od smutku i rozczarowania.

- Ale nie możesz, nie możesz. Nikt nie jest w stanie. Sam, ja ci to powiem. Może kiedyś, gdy wrócę, powiem ci wszystko. Ale teraz nie. Nie mogę nawet myśleć o tym. Powiem ci tylko, że zawdzięczam temu człowiekowi więcej niż życie i że nawet mu nigdy za to nie podziękowałam.

- Czy sądzisz, że on pragnie tego podziękowania?

- Nie - odparła. - Nie. Lecz wiem, że pragnie mnie znowu zobaczyć, a gdy nadarzy się okazja, to trudno mi się będzie cofnąć.

- Gdzie masz nadzieję spotkać się z nim? - zapytał. Odpowiedziała mu z taką samą prostotą, z jaką ją pytał.

- Na balu karnawałowym w kasynie Valrosa.

- Rozumiem - odrzekł. Milczał przez chwilę, po czym wypuścił jej rękę ze swego uścisku. - Może wreszcie moja i twoja łódź zawiną szczęśliwie do portu! - wyszeptał.

Chwyliła go za rękę jakby w obawie, że zamierza od niej odejść.

- Sam, dziękuję ci za twoją dobroć i za twoje zrozumienie. - Głos jej załamał się przy tych słowach.

- Lilian, dziecino! - szepnął wzruszony, po czym pocałował ją w czoło.

Nie powiedział jednak nic więcej. Widocznie w tej chwili i jemu słowa przychodziły z trudnością.

# ROZDZIAŁ VII

## Valrosa

Słoneczne promienie ozłacały wybrzeże morskie, igrając figlarnie w delikatnych liściach plam. Tafla morza była błękitna jak niebo zawieszone nad nią. Po piaszczystym wybrzeżu, tak zwanej promenadzie, spacerowały różnobarwne tłumy, szukając ożywczego cienia. Nikt się nie spieszył, z wyjątkiem kilku mknących powozów, pozostawiających za sobą tumany kurzu.

Celia Barnaby siedziała, zajęta pisaniem listów pod rozłożystym cedrem w ogrodzie hotelu des Anglais, marszcząc od czasu do czasu brwi. Upał i szum dochodzący z promenady, męczyły ją dziwnie i właściwie załatwianie korespondencji prawdopodobnie byłoby o wiele przyjemniejsze w hotelowym pokoju lub hallu. Chciała jednak zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza i dlatego usadowiła się w tym cieniściej kątku pod drzewem. Kurz wprowadzie tutaj nie docierał, a krzesło ustawiła w ten sposób, że i promienie słońca nie dokuczały jej zbyt.

Tuż obok stał drugi fotel trzciniowy, równie wygodny, lecz pusty, na którym spoczywała torebka Celi. Celia ustawiła obydwie te fotele wówczas jeszcze, kiedy wszyscy niemal goście w hotelu spali. Aczkolwiek lubiła ogromnie przebywać na południu, to jednak posiadała tak żywy temperament, że nie umiała zastosować się do panującego tu zwyczaju leżenia w łóżku do późna.

Sir Burton i Lady Tristram rzadko kiedy ukazywali się przed śniadaniem, lecz Celia nie stosowała się do ich codziennego programu. Na twarzy jej odzwierciedlał się wyraz spokojnego skupienia, gdy siedziała pochylona nad swymi listami. Siwawe jej włosy, okalające młodą jeszcze twarz, nadawały jej wygląd Francuzki, kobiety pełnej dystynkcji. Rzadko kiedy, któryś z przechodniów nie spojrział na nią wzrokiem pełnym zachwytu. Aczkolwiek Celia Barnaby nie była piękna, to jednak posiadała pewien powab kobiety. Było w jej ruchach coś imponującego, coś takiego, co musi zwrócić uwagę mężczyzn. Zresztą Celia potrafiła wzbudzać ogólne zachwyty.

Teraz nie siliła się zupełnie na to i pióro jej szybko wędrowało po kartce kremowego papieru. Celia nie rzucała nigdy słów na próżno. Chociaż zajęta na pozór załatwianiem korespondencji, dostrzegła jednak wysoką postać męską, która właśnie w tej chwili ukazała się na

hotelowych schodach, kierując się wyraźnie w jej stronę. Spojrzała ku nadchodzącemu, witając go serdecznym uśmiechem.

- Ach, to ty jesteś! Robi się tu jakoś zbyt gorąco. Myślałam o przeniesieniu się pod inne drzewo.

- Nie rób tego! - odparł, podnosząc jej torebkę i siadając na trzcinowym fotelu.

Zaśmiała się, napisała jeszcze kilka słów, po czym zakręciła pióro i odłożyła ukończone już listy.

Mężczyzna obserwował ją leniwym wzrokiem.

- Lubisz tę miejscowość? - zapytał po chwili milczenia.

Pochyliła się na krzesło, zacierając swe drobne dłonie.

- Jest ona wymarzona dla tych, którzy nie mają nic do roboty - odparła.

Cień zasnuł jego opaloną twarz.

- Ja już mam tego zupełnie dosyć - mruknął. - Siedzenie tutaj dogadza mojej matce i ojczymowi. Stworzeni są do tego. Ale ty, Celio? Często zastanawiam się nad tym, jak możesz tu wytrzymać.

- Mój drogi Ronaldzie, potrafię wytrzymać prawie wszędzie.

- Oczywiście, dopóki ci się nie znudzi! - zaprotestował.

- Zawsze tak bywa.

- Jaka jest przyczyna twojej cierpliwości? - zapytał z odrobiną ciekawości. - Przecież nie grasz nigdy i nigdy nie tańczysz po północy. Nienawidzisz upału, kurzu i tłumów, jak każda zresztą stateczna osoba. Nie znosisz również lenistwa, tak mi się przynajmniej zdaje. A jednak przyjechałaś tutaj po pobycie w Szwajcarii i siedzisz solidnie przez trzy miesiące, nie narzekając zupełnie. Daję słowo, że nic a nic nie rozumiem.

- A dlaczego ty także siedzisz? - zapytała.

Opuścił kapelusz na oczy.

- Ze mną kwestia przedstawia się całkiem inaczej. Mam już tego dosyć, jak ci przed chwilą powiedziałem. Nie mam zamiaru zostać tu po karnawale.

Cień przemknął po twarzy Celii, lecz zachowała pozorny spokój, siedząc w swym fotelu przez chwilę w zupełnym milczeniu. Wreszcie odezwała się całkiem obojętnie.

- Dziwię się, że nie wyjedziesz wcześniej.

- Nie mogę - próbował się tłumaczyć. - Sprawiłoby to przykrość mojej matce.

- Rozumiem - odparła szeptem Celia.

- Poza tym - ciągnął dalej w zamyśleniu - urlop mój już prawie się kończy i uważam, że nie sprawi wielkiej różnicy, czy go spędzę tutaj, czy gdzie indziej.

- Wracasz potem do Indii - zapytała.

- Przypuszczam, że tak - odparł.

Uczyniła jakiś niewyraźny ruch.

- Zasadniczo nie powinnam się w to wtrącać, lecz czasami dziwię się, że nie zmieniłeś dotąd miejsca pobytu.

- I że trwam w takim lenistwie? - dorzucił. - Uważam, że dość już tego było podczas ostatnich kilku miesięcy.

- Służba wojskowa nie jest jedynym zajęciem na świecie - zauważyła Celia.

- O nie - przyznał. - Jest jeszcze Parlament. Ale ja się tak mało interesuję polityką. Nie potrafiłbym się zadowolić takim stanowiskiem, jakie osiągnął mój ojczym. Musiałbym mieć pewne dane, że zdobędę od razu sam szczyt.

- A nie możesz?

- Mogłbym, gdybym miał rozsądną żonę.

Zaśmiała się z lekką ironią.

- I musisz aż szukać jej w Indiach? - zapytała.

Nasunął kapelusz jeszcze niżej.

- Właściwie jeszcze poważnie się tym nie zajmowałem.

- A szkoda - uśmiechnęła się znowu.

- O, nigdy nie jest za późno.

- Nie? - wyszeptała Celia znowu z ironią. - To zależy od szczęścia.

Wyciągnął przed siebie nogi.

- Najgorszą rzeczą jest, gdy się człowiek zalicza do nieprzeciętnych mężczyzn - rzekł. - Przez czas mego pobytu tutaj miałem chyba z pięć propozycji.

- Mogłeś przecież za każdym razem odmówić! - zawołała wesoło.

- Mogłem i odmawiałem. To, czego pragnę, jest dla mnie nieosiągalne.

- Stałeś się dziwnie zblazowany - zauważyła.

- Nie, zdaje ci się. Zawsze taki byłem. Nie pojmuję tylko dlaczego ty zawsze jesteś szczęśliwa. Ja osobiście nie potrafię.

- Najpraktyczniej jest nie żądać zbyt wiele od życia - rzekła. - Mądrzy ludzie potrafią się jakoś w życiu urządzić.

- Nie zgadzam się z tym. Mądrzy ludzie osiągają zawsze to, czego pragną. Nazwałbym ich głupcami, gdyby do swego celu nie dążyli.

Jej szare oczy zabłysły nagle.

- A jak wygląda to twoje pragnienie?

Milczał wymownie, ona zaś wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Biedny Ronaldzie! Czy to idzie o tę kobietę, która ci nigdy nie uległa.

- Za mądra jesteś - uśmiechnął się.

- Mylisz się! Jestem tylko dobrą obserwatorką i mam dla ciebie dużo sympatii. - Celia wypowiedziała te słowa łagodnie. - Ale wierz mi, że bez wszystkiego w życiu można się obyć. Nie należy tracić czasu na próżno. Pragnienia w pewnej chwili mogą stać się martwymi popiołami.

- Widocznie znasz te rzeczy dokładnie - zauważył.

- Człowiek żyje i uczy się - odparła Celia.

- Masz słuszość! - przyznał ponuro i zapadł znowu w milczenie z rękami skrzyżowanymi ponad głową i oczami spoglądającymi niechętnie spod nasuniętego kapelusza.

Z miejsca, w którym siedzieli widać było dokładnie wybrzeże, oraz piaszczystą drogę, okoloną z obydwu stron palmami. Wybrzeże przepelnione było ludźmi i dochodził stamtąd zmieszany szmer głosów, niby szum wzburzonych fal, a wszystko razem tonęło w głośnym turkocie przejeżdżających powozów i aut.

- Nadzwyczajny widok! - szepnęła Celia na pół do siebie. - Ach, nadchodzi ta straszna, purpurowa niewiasta z kasyna. Jaki to przydomek nadał jej ktoś wczoraj wieczorem? Purpurowa księżniczka, nieprawdaż?

- Wśród najbliższych przyjaciół znana jest jako Nemezis - dorzucił towarzysz tym samym rozleniwionym głosem. - Prawdopodobnie dlatego, że wszędzie i zawsze zjawia się całkiem nieoczekiwanie.

- Ach, zapomniałam, że ją kiedyś znałeś - wyszeptała Celia.

- Kto jej tu nie zna?

- Ale nie wszyscy znają ją tak dobrze - dorzuciła kuzynka z odrobiną ironii.

Zaśmiał się.

- Znam ją tak, że mógłbym coś niecoś powiedzieć o niej.
- Zdaje się, że posiada niezbyt dobrą opinię - zagadnęła znowu.
- O niewielu kobietach warto mówić - mruknął.
- Dziękuję! - uśmiechnęła się.

Wyjął z kieszeni papierośnicę.

- Nie bądź zła! Ty oczywiście w tym wypadku nie wchodzisz w rachubę! Byłaś zawsze ponad poziomem tych wszystkich kobiet. Zapalisz?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, dziękuję ci, Ronaldzie. Nie palę nigdy przed drugim śniadaniem.
- Przeszedłbym się trochę. Pójdiesz ze mną? Odmówiła znowu stanowczo.
- Dobrze - mruknął. - Zostań w domu, bądź grzeczna, a ja wracając przyniosę ci trochę

kwiatów!

Obdarzyła go uśmiechem, w którym była pełnia przebaczenia.

- Jak ładnie z twojej strony! Niechaj to będą róże, bardzo cię proszę!

Złożył jej głęboki ukłon.

- Ależ naturalnie, mademoiselle! Czyż przyniosłbym ci inne kwiaty?
- Przecież inne także istnieją - zauważyła z uśmiechem.
- Ale nie dla ciebie! - oznajmił z galanterią i oddalił się.



# ROZDZIAŁ VIII

## Dróżka klejnotów

Zgubiwszy Peggy w tłumie gości, Lilian weszła do obszernego hallu kasyna, usiłując ją odszukać, lecz nagle zatrzymała się jak wryta. Energicznym ruchem zarzuciła woal szala na twarz, bo oto tuż przed nią, w oddaleniu zaledwie kilku jardów, stały Lady Tristram i Celia Barnaby.

Była niezwykle zadowolona, że te panie jej nie dostrzegły, sama zaś postanowiła obserwować je z daleka, aby się przekonać, w którym towarzystwie przybyły do kasyna. Czekwała jednak na próżno, bo w kilka sekund później obydwie damy skierowały się w stronę sali balowej, skąd dochodziły przyciszone dźwięki orkiestry.

Gdy zniknęły za drzwiami, Lilian opanowało dziwne uczucie. Obecność tych pań w kasynie nie zaskoczyła jej zbyt, bo przecież Lady Tristram, prawie co roku spędzała zimę za granicą i Lilian mogła być przygotowana na to, że ją tu spotka. Przejęta była tylko możliwością spotkania kogoś innego, kogoś, kogo naprawdę nienawidziła.

- Wiedziałam, że on tu będzie - szepnęła do siebie, przejęta dreszczem. - Czułam to każdym nerwem. Wiedziałam, że to nastąpi.

Poszukiwanie Peggy w przepełnionym gośćmi gmachu, było po prostu niemożliwością, Lilian więc automatycznym krokiem skierowała się do ogrodu. Tutaj chociaż można odechnąć swobodnie w powodzi miliona kwiatów i całego mnóstwa pachnących drzew.

Szła przed siebie, nie myśląc prawie zupełnie. Nie mogła umknąć z tego miejsca, choć była pewna, że prędzej czy później, spotka tu swego wroga. Dźwięki orkiestry słyszała jeszcze dokładnie, gdy zstępowała z ostatniego stopnia marmurowych schodów. W tej samej chwili opadło ją niedawne wspomnienie. Samochód z warczącym motorem czekający na nią na ulicy, postać męska pochylona nad kierownicą i ta sama melodia, płynąca za nią spoza zamkniętych drzwi balowej sali.

Idąc żwirową alejką, mimo woli złożyła dłonie.

- Ach, Sam! - wyszeptała. - Jaki ty zawsze byłeś dla mnie dobry.

Weszła do ogrodu, płonącego tysiącem lamp umieszczonych na pomarańczowych drzewach. Szła, jak we śnie, w stronę czarodziejskiej Dróżki Klejnotów, która zdawała się oczekiwać tej nocy, szukających samotności kochanków. Wspomnienia omotały ją zupełnie.

Delikatny szmer fal morskich upajał ją łącząc się z melodia upojnego tanga, która powoli zamierała w oddali.

- Ach! Sam! - wyrzekła znowu. - Jaki dobry byłeś! Taki silny i stanowczy, a ja nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy!

Szła wciąż dalej. Było jeszcze stosunkowo wcześniej i Dróżka Klejnotów, biegnąca tuż nad brzegiem morza, była zupełnie pusta. Kolorowe lampiony niby płonące kwiaty, rzucały barwne refleksy na jej poruszającą się wolno postać. Sprawiała teraz wrażenie prawdziwej rusalki wodnej, przybranej zielenią wczesnych wiosennych roślin.

Szła wolnym krokiem, jakby pragnąc uciec od tłumu rozbawionych gości, tak samo jak owej nocy, kiedy nie mogła znieść dłuższego przebywania na sali balowej. Z gmachu ratusza wyгнаła ją rozpacz. I dzisiaj rozpacz była jej towarzyszką. Właściwie, co tutaj robiła? Jak się miało zakończyć to szaleństwo, które ją tu przygnało? Czyż miała jeszcze nadzieję, że nierealna wizja stanie się rzeczywistością, że rycerz przyjdzie do niej i zabierze ją do krainy nowego życia i szczęścia? Czy miała nadzieję, że to spotkanie oładnie nią do tego stopnia, że będzie zdolna zapomnieć o tym wszystkim, co przeżyła?

Znowu jakieś upojne dźwięki dosłyszała z daleka, dźwięki sennej melodii, której nie zapomni chyba nigdy! Zdawało jej się, że jest znowu na balu myśliwskim i że pragnie stamtąd uciec. I ten głos, stanowczy, spokojny głos przemawiał do niej:

- Myślisz, że cię tak samą pozostawię?

Z piersi jej wydarł się mimowolny szloch.

- Ach, Sambo! Żebyś mógł mnie stąd zabrać?

Teraz dopiero zdała sobie sprawę! Serce mówiło, że to była prawda. Cały świat mógł się od niej odwrócić, tak, nawet Czarny Rycerz, lecz on - nigdy!

Szła, gnana losem do swego przeznaczenia. A wraz z nią niby refren, biegły jej własne słowa:

- Nie będziesz mógł odwiązać węzła!

I jego odpowiedź, spokojna, przekonująca:

- Wówczas zerwę go...

- O, nigdy! - pomyślała - Nigdy, nigdy! - lecz szła ciągle dalej.

Zdawało jej się, że musiało upłynąć dość dużo czasu, zanim wreszcie dotarła do maleńkiej altanki na samym końcu dróżki. Może nie będzie mogła tutaj się zatrzymać! Może będzie musiała wracać! W każdym razie droga ta zmęczyła ją bardzo. Weszła wreszcie do środka i padła na ławeczkę, bo siły w tej chwili opuściły ją zupełnie.

Altanka była pusta i żaden szmer, z wyjątkiem spokojnego szumu morza nie wnikał do środka, jakby świat cały trwał w uśpieniu. Panował tu spokój i samotność, a upojna woń kwiatów zdawała się przynosić ulgę. Lilian odpoczywała, nie myśląc prawie o niczym. Dotarła wreszcie do celu swej podróży i osiągnąwszy ten cel, mogła odpocząć.

Znowu zdawało jej się, że mnóstwo czasu upłynęło, a ona siedziała w milczeniu, czekając. Lecz Czarny Rycerz nie zjawiał się i nadzieja zaczęła gasnąć w jej sercu. Podniecenie minęło zupełnie, to podniecenie, które przywiodło ją tutaj i które naprowadziło wspomnienie Sama. Siedząc w altance, zdawała się zapadać w półsen. Duszą przebywała w Chinnery, owym domu, którym kiedyś tak pogardzała. Co Sam teraz porabia? Czy śpi sam w staroświeckim dębowym łóżku? Czy śni kiedyś o niej? Usiłowała przywołać jego obraz, pragnęła go zobaczyć takim, jakim był ostatnio, wówczas jeszcze, kiedy pielęgnował ją w chorobie. Jakież dobre był dla niej! Dlaczego go zostawiła?

Wielka łza spłynęła po policzku i opadła na złożone ręce. Dlaczego tutaj przyjechała? Dlaczego? Chciał przecież jechać z nią, by się nią opiekować, lecz ona mu stanowczo zabroniła. Teraz pragnęła mieć go przy sobie, choć dotychczas pragnienia takiego nigdy nie odczuwała. Tak, wreszcie oczy jej się otworzyły. Nie ma rycerza, tylko jest drogi, poczciwy Sam ze swą stanowczością i dobrocią! Sam, którego zawiodła tyle razy, który zdobył ją teraz, za późno!

Nie mogła go sobie wyobrazić podczas swej nieobecności. Owładnęło ją głębokie przekonanie, że nigdy go już więcej nie zobaczy, że jeżeli wróci nawet, zostanie dom stojący pustkami, że Sam wyjechał z Chinnery, bo ona go nie kochała. Może już nawet rozpoczął rozrywanie węzła. Sam, ten poczciwy, wielkoduszny człowiek, który nic by nie uczynił wbrew jej woli!

Łzy zaczęły spływać coraz szybciej, a były coraz smutniejsze, aż wreszcie stały się łzami rozpacz. Zdawała sobie sprawę, że przeznaczenie zesłało jej wielki dar, którego nie potrafiła przyjąć. Więcej razy już nie zostanie obdarowana. Była pewna, najzupełniej pewna,

że Chinnery, do którego jej serce rwało się teraz, stało puste. Sam wyjechał, aby rozerwać węzeł!

I wśród tych rozmyślań usłyszała jakiś szmer z zewnątrz. Zerwała się na równe nogi. Ktoś nadchodził! Ktoś odnalazł jej ustronie! Czy to był ktoś, kto jej szukał? Czy to był... serce jej zabiło nagle żywiej... czy to był wreszcie Czarny Rycerz?

Zwróciła się ku wyjściu. Nie wolno, aby zastał ją po raz drugi w takiej rozterce. Spotka go z pogodną twarzą. Będzie spokojna i opanowana. Powie mu całą prawdę.

Odchyliła woal z twarzy i blask księżyca oślepił ją nagle. Drżała nieco, lecz nie była przejęta strachem. Oczy jej płonęły jasno i spokojnie. Stała, jak ktoś oczekujący przyjaciela.

Usłyszała nagle brzęk ostróg. To na pewno był on! Postąpiła kilka kroków naprzód i nagle przystanąła!

- Pan! - wydarło się z jej krtani.

Szedł prosto do niej, pełen arogancji, ubrany we wspaniałą mundur starego gwardzisty.

- Oczywiście, że ja! - odpowiedział. - Kogóż innego mogłaby się pani spodziewać?

Ręce skrzyżowała na piersiach. Ujął je w swe dłonie i spojrział w jej oczy:

- Pani zawsze była tą, która walczy z przeznaczeniem - rzekł.

Cofnęła się nieco.

- Teraz nie może się pan ze mną ożenić! - wyszeptała.

Zaśmiał się półgłosem.

- Moje dziecko, to jest szczególnie nie wart dyskusji. Jestem pewien, że nie przybyła tu pani z zamiarem wyjścia za mąż - powiedział niedbale.

- Przybyłam tu na spotkanie szlachetnego człowieka - odparła.

- Otóż właśnie - przyznał. - Przybyła tu pani, aby mnie spotkać. Wszystko było dokładnie obmyślane. Plan się udał. Nikogo tu nie ma, oprócz mnie. Nikogo tu nigdy nie było.

Usiłowała wyswobodzić swe ręce z jego uścisku.

- To kłamstwo! - zawołała. - Zastawił pan znowu na mnie sidła!

Uścisk jego dłoni stał się mocniejszy.

- I schwytałem cię! - syknął. - Zawsze wiedziałem, że tak będzie. W chwili rozgoryczenia związałaś się z tym głupcem z Chinnery, lecz czy przypuszczasz, że to sprawiło jakąś różnicę?

- Poślubiłam go - wyszeptała.

- A teraz go porzuciłaś! - zaśmiał się nieprzyjemnie. - Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że nie wytrzymasz z nim długo. Czekałem cierpliwie. Wiedziałem, że w końcu będziesz moja. Należysz do mnie. Zawsze należałaś. To była tylko kwestia czasu.

Przyciągnął ją do siebie, lecz ona odsunęła się resztkami sił.

- Proszę mnie puścić! - zawołała.

Ramiona jego objęły ją silniej. Nie miała możliwości ucieczki. Uniósł ją w górę.

- Puszczę cię, jeśli będziesz chciała odejść jutro! - wyszeptał gorąco. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Gotów byłem nawet ożenić się z tobą! Lecz teraz odzyskam cię znowu. Z niczym innym się nie liczę. Jesteś moja, zawsze byłaś moja!

Tonęli teraz w zupełnych ciemnościach, bo promienie księżyca ominęły już altanę. Głowa jej spoczywała na jego ramieniu, a nie miała już siły, aby się wyswobodzić z tego kleszczowego uścisku. Usiłował spojrzeć w jej twarz.

- Lilian, Lilian! - szeptał. - Jak mogłaś sądzić, że pozwolę ci odejść?

Usta jego szukały jej ust i przywarły do nich na chwilę. Spoczywała w jego objęciach bezsilna, a ciemności ogarniały ich coraz większe.

Miała wrażenie w tej chwili, że ciało jej zamiera i że dusza wylatuje gdzieś w obłoki. Słyszała tylko z daleka szum morza, a wraz z szumem tym łączyły się słowa, wypowiedziane kiedyś czyimś bardzo bliskim i kochanym głosem:

- Może wreszcie nasze łodzie zawiną szczęśliwie do portu! Cały świat zdawał się kołysać przed jej oczami. Ostatnim wysiłkiem próbowała wydostać się z kleszczowych jego objęć...

A potem stał się cud, którego tak długo oczekiwała. Ktoś zdązał dróżką w jej stronę, ktoś, kto miał skrzydła u ramion, rycerz czarnej zbroi, z białym krzyżem na piersiach. Na widok jego wysokiej postaci, zdołała jeszcze podnieść ręce ku górze i zawołać:

- Ach, wiem, że to sen! Ale wybaw mnie, wybaw!

Zbliżył się do niej. Widziała, że w promieniach księżyca zbroja jego zabłysnęła jasnym refleksem.

A tuż ponad sobą usłyszał przyciszony głos:

- Jesteś bezpieczna!

Spowły ją potem zupełne ciemności.

# ROZDZIAŁ IX

## Czarny Rycerz

Gdy Lilian wróciła do przytomności, siedziała znowu w altance, jakby w międzyczasie godziny zupełnie nie upływały.

- Czy to był sen? - zapytała słabym głosem. - Czy ja jeszcze śpię?

Odpowiedział jej spokojny głos:

- Nie, przebudziłaś się.

Rozejrzała się dokoła i dostrzegła przy sobie postać Czarnego Rycerza. Na piersi jego wisiał biały krzyż. Z trudem odzyskiwała równowagę.

- Więc to Czarny Rycerz, prawda? - wyszeptała. - Pan, pan naprawdę przybył, aby się ze mną spotkać?

- Tak - odparł.

Nagle pochylił się nieco i położył jej na kolanach jakiś błyszczący przedmiot.

- Przybyłem, aby to pani oddać - rzekł.

- Ach! - zawołała. - Moja podkówka! Przez cały czas pan ją przechowywał!

- Przez cały czas.

Przeniknął ją zimny dreszcz.

- A ja myślałam, myślałam, że pan zapomniał.

- Nie, nie zapomniałem.

Siedziała bez ruchu przez kilka minut, on zaś stał w milczeniu, jakby czekając na coś.

Siły wróciły jej zupełnie, lecz ciągle zapytywała samą siebie, czy to nie był sen.

Wreszcie rzekła bezdźwięcznym głosem:

- Co... co się stało przed chwilą? Tu jeszcze ktoś był.

- Odszedł - odparł spokojnie Czarny Rycerz.

- To znaczy, że pan go wygonił? - zagadnęła.

- Nie, odszedł - powtórzył znowu.

- Ale pan mnie uratował! - zawołała, przypominając sobie wszystko. - Pan mnie uratował! To już po raz drugi, nieprawdaż? A ja nie mam nic, co bym panu mogła ofiarować w zamian!



- Tylko tę małą podkówkę! - odparł łagodnie.

Palce jej zacisnęły się na błyszczącym przedmiocie.

- Ach, po co mi ją pan zwrócił?

- Mam powiedzieć pani dlaczego?

- Tak, niech pan powie! - zawołała, jakby pragnęła, jak najszybciej usłyszeć odpowiedź.

Odpowiedź ta wyrzeczona została prawie szeptem:

- Bo pragnąłem... miałem nadzieję... zdobyć pani miłość.

- Ach!

Nastawała ostatnia najtrudniejsza próba. Lilian siedziała przez chwilę w zadumie, nie wiedząc, jak swe myśli wypowiedzieć. Potem podniosła się i śmiało spojrzała przed siebie.

- Zawsze, zawsze pana kochałam - rzekła z jakąś obcą stanowczością - za to wszystko, co pan uczynił dla mnie. Ale teraz muszę wyznać panu całą prawdę. Teraz jest ktoś, kogo kocham więcej.

Uczynił niewyraźny ruch i pod wpływem tego ruchu serce jej zabiło mocniej.

- Ach, proszę mi wybaczyć! - wyszeptała.

- Powie mi pani, kto to jest? - zapytał spokojnie. Wyciągnęła przed siebie rękę i przyłożyła ją do serca.

- To jest mój mąż - rzekła.

Ujął jej dłoń, pochylił się nad nią i ucałował ją.

- Lilian - wyszeptał - czy będziesz mi mogła kiedyś przebaczyć?

Powstrzymała okrzyk. Jej sen przechodził w rzeczywistość! Widocznie cały świat uległ jakiejś nagłej zmianie. Czowała, że coś chwyta ją za serce.

On chwycił ją w objęcia, podtrzymywał.

- Możesz mi wybaczyć?

Wybuchnęła głośnym szlochem, przez który przedzierał się śmiech.

- Sam! To ty! To nie możesz być ty!

- To zawsze byłem ja - odparł. - Podła, brudna gra! Tylko nie przypuszczałem, że w ten sposób się rozwikła. Pragnąłem nade wszystko cię zdobyć...

- Ach, zdejmij tę obrzydliwą zasłonę z twarzy! - zawołała. - Przestań mnie przepraszać! Sam, dzięki Bogu, że to jesteś ty! Jakaż ja byłam głupia!



- Nie, kochanie, nie! - odrzekł z powagą. - Z nas dwojga, ja byłem głupi. Lecz nie mogłem ci powiedzieć, nie miałem odwagi, więc musiałem tak postąpić. Pogardzałaś mną za to. Wiedziałem. Ale teraz, kochanie...

- Ach, przestań! - zawołała. - Przestań! Nie trzeba było odwagi. To twoja szlachetność nie pozwalała ci powiedzieć mi prawdy. Nie zaprzeczaj! Nie możesz zaprzeczyć. Wiesz sam najlepiej. Ach, Sam! - Nagle łzy poczęły płynąć po jej policzkach, a głowa opadła na ręce. - I ja tobą pogardzałam! Śmiałam pogardzać tobą!

Przytulił ją mocniej do siebie.

- Nie płacz! Nie płacz! - prosił - Lilian, najdroższa, zasłużyłem na to, grając tak podłą komedię.

Kolana pod nią drżały. Nie mogła stać o własnej sile. On podtrzymywał ją ciągle.

- Czekałem na ciebie - mówił. - Modliłem się za ciebie. A teraz, dzięki Bogu, zdobyłem cię!

Zaległa cisza. Ona podniosła nagle głowę.

- Sam, dlaczego tak pragnąłeś mnie zdobyć?

- Było coś w tobie takiego - odparł po chwili namysłu. - Przede wszystkim to, żeś mi zaufała. Czuję, że cała odpowiedzialność za twoją przyszłość spada na mnie. Gdybyś tak szybko nie biegła owego ranka, kiedy czekałem na ciebie przed hotelem, na pewno zdobyłbym cię prędzej.

Zadrżała.

- Więc to ty byłeś tym mężczyzną, siedzącym pod palmą? Szedłeś za mną?

- Tak - odparł. - Poszedłem za tobą na dworzec. Nie przypuszczałem, że masz zamiar to uczynić, bo szedłbym prędzej. Zawsze byłem głupcem!

W tych ostatnich słowach brzmiał humor pełen melancholii. Dłonie jej uniosły się ku jego ramionom, a potem objęły jego głowę.

- I w tej swojej głupocie zaofiarowałaś mi całe swe życie! Rycerzu mój, mój dzielny rycerzu, jak ja ci się za to odwdzięczę? Nie masz mnie jeszcze dosyć? Nie zepchniesz mnie z drogi swego życia i nie pójdiesz nią dalej sam? Jestem stanowczo niewarta ciebie.

- Ty jesteś wszystkim, czego w życiu pragnę - wyszeptał gorąco tuż nad jej uchem. - Bóg jeden wie, że ciebie tylko pragnąłem!

Spotkały się ich usta i po raz pierwszy Lilian odwzajemniła się swemu mężowi gorącym, namiętym pocałunkiem. Słowa w tej chwili były zupełnie niepotrzebne.



TLR